

Jenny Downham

Udostępniane na chomikuj.pl: SmakCzekolady

Zanim Umrę



Rozdział 1

Chciałabym mieć chłopaka. Mieszkałby w szafie na wieszaku. Mogłabym go wyjmować, kiedy zechcę, a on spoglądałby na mnie wzrokiem amanta filmowego, tak, jakbym była piękna. Nie mówiłby wiele, tylko oddychałby ciężko, zdejmując skórzaną kurtkę i rozpinając džinsy. Nosiłby białe majtki i wyglądałby tak bosko, że byłabym blisko omdlenia. Mnie też by rozebrał, szepcząc: „Tesso, kocham cię. Cholera, naprawdę cię kocham. Jesteś piękna”. Właśnie tak by mówił, zsuwając ze mnie ubrania.

Siadam i zapalam lampkę stojącą przy łóżku. Mam długopis, ale nie mogę znaleźć papieru, więc piszę na ścianie: „, Chcę poczuć ciężar jego ciała na moim”. Potem kładę się z powrotem i patrzę w niebo. Ma dziwny kolor- czerwony i brunatny jednocześnie, jakby dzień krwawił.

Czuję zapach kiełbasy. W sobotę na kolację zawsze są kiełbaski. Do tego ziemniaki, kapusta i cebula. Tata wyciągnie los na loterię, a Cal wytypuje liczby. Zasiadają przed telewizorem z tacami na kolanach i obejrzą „Czynnik X”, a potem „Milionerów”. Później Cal się wykąpie i pójdzie do łóżka, tata zaś będzie pił piwo i palił papierosy tak długo, aż poczuje się senny. Zajrzał do mnie wcześniej, niż się spodziewałam. Podszedł do okna i rozsunął zasłony.

- Spójrz tylko!- wykrzyknął, kiedy słońce rozświetliło pokój. Było popołudnie, widziałam wierzchołki drzew, niebo. Jego sylwetka rysowała się na tle okna. Stał z rękami opartymi na biodrach i wyglądał jak Power Ranger.- Jak mam ci pomóc, skoro nic nie mówisz?- spytał, podchodząc i przysiadając na krawędzi mojego łóżka. Wstrzymałam oddech. Jeśli robi się to dostatecznie długo, przed oczami zaczynają tańczyć białe plamki światła. Tata wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po głowie. Zaczął delikatnie masować ją palcami.
- Oddychaj, Tesso- szepnął.

Złapałam czapkę leżącą na stoliku i wepchnęłam ją sobie na oczy. Wtedy wyszedł. Teraz smaży kiełbaski na dole. Dobiega mnie dźwięk strzelającego tłuszczu, sos skwierczy na patelni. Nie jestem pewna, czy to możliwe, żeby docierały tu odgłosy z kuchni, ale nic mnie już nie dziwi. Słyszę, jak Cal rozpiną płaszcz; przyniósł musztardę ze sklepu. Dziesięć minut temu dostał funta i ostrzeżenie: „Nie rozmawiaj z obcymi”. Kiedy wyszedł, tata stał na ostatnim stopniu schodów przed domem i palił papierosa. Słyszałam szelest liści opadających na trawę u jego stóp. Inwazja jesieni.

- Powieś płaszcz i sprawdź, czy Tessa czegoś nie potrzebuje.- powiedział tata- Mamy pełno jagód, postaraj się ją zachęcić, żeby trochę zjadła.

Cal ma na nogach trampki; powietrze świszczące, kiedy wbiega po schodach i wpada do mojego pokoju. Udaję, że śpię, ale on nic sobie z tego nie robi. Nachyla się nade mną i szepcze:

- Nie będę zmartwiony, jeśli nie odezwiesz się do mnie nigdy więcej.

Otwieram jedną powiekę i widzę przed sobą parę niebieskich oczu.

- Wiedziałem, że udajesz.- oznajmia z szerokim, zniewalającym uśmiechem.- Tata pyta, czy zjesz jagody.
- Nie.
- Co mam mu powiedzieć?
- Powiedz, że chcę dostać słoniatko.

Śmieje się.

- Będzie mi ciebie brakowało- mówi i zostawia drzwi otwarte, nie troszcząc się o przeciąg ze schodów.

Rozdział 2

Zoey nie zawraca sobie głowy pukaniem, wchodzi i rzuca się na moje łóżko. Patrzy ze zdziwieniem, jakby nie spodziewała się, że mnie jeszcze zobaczy.

- Co robisz?- pyta.
- Nie rozumiem.
- Nie schodzisz już na dół?
- Tata dzwonił do ciebie?
- Boli cię?
- Nie.

Przygląda mi się podejrzliwie, a potem wstaje i zdejmuje płaszcz. Ma na sobie kusą czerwoną sukienkę pasującą do torebki, którą rzuciła na podłogę.

- Idziesz gdzieś?- pytam.- Na randkę?

Wzrusza ramionami, podchodzi do okna i patrzy na ogród. Rysuje palcem obwódkę na krawędzi szklanki i mówi:

- Może powinnaś postarać się uwierzyć w Boga.
- Powinam?
- Tak, może wszyscy powinniśmy uwierzyć. Cała rasa ludzka.
- Nie sądzę. On chyba nie żyje.

Odwraca się, żeby mi się przyjrzeć. Jest blada jak zima. Za jej ramionami wznosi się samolot.

- Co tam naskrobałaś na ścianie?- pyta.

Nie wiem, dlaczego pozwalam jej przeczytać. Chyba chcę, żeby coś się działo. Słowa napisane czarnym atramentem pod wzrokiem Zoey zmieniają się w małe pajęczki. Czyta raz po raz. Nienawidzę myśli, że bardzo mi współczuje.

- Życie to nie bajka, co?- pyta miękko.
- A mówiłam kiedyś, że tak jest?
- Sądziłam, że tak uważasz.
- Nie.
- Twój tata raczej spodziewa się, że poprosisz o kucyka, a nie o chłopaka.

Nasz śmiech brzmi dziwnie. Podoba mi się, chociaż jednocześnie boli. Z całą pewnością najbardziej lubię chichotać z Zoey, bo wiem, że obie mamy jednakowo głupie myśli.

Wystarczy, że powie: „Może powinnaś wybrać się do stadniny ogierów?”- i już pękamy ze śmiechu.

- Płaczesz?- pyta Zoey.

Nie jestem pewna. Chyba tak. Zachowuję się jak te kobiety pokazywane w telewizji, które straciły swoje rodziny. Ryczę jak zwierzę, które przytrzasnęło sobie łapę. Nagle dociera do mnie wszystko- moje palce przypominają już szpony, mam przeźroczystą skórę. Czuję, że w lewym płucu mnożą się komórki nowotworowe, gromadzą się jak proch wypełniający wazon. Już niedługo nie będę mogła oddychać.

- To normalne, że się boisz.- oznajmia Zoey.
- Nie boję się.
- Oczywiście, że się boisz. Cokolwiek czujesz, to jest w porządku.
- Możesz sobie wyobrazić, że strach przepęlnia cię cały czas, Zoey?
- Mogę.

Bzdura. Nie ma o tym pojęcia, całe życie jest przed nią. Znowu chowam się pod kapeluszem,

nie całkiem, bo będzie mi brakowało oddechu. I rozmów. Okien. Będę tęskniła za ciastkami. I za rybami. Lubię ryby. Lubię patrzeć, jak ich pyszczki otwierają się i zamykają na przemian. Tak, dokąd pójdę, nie można niczego zabrać. Zoey patrzy, jak ocieram oczy rogiem poduszki.

- Zrób to ze mną.- mówię.
- Co takiego?- Wygląda na przestraszoną.
- To, co powypisywałam na kartkach. Sporządę całą listę rzeczy, które chcę zrobić, a ty pomożesz mi ją zrealizować.
- Ale co? Chodzi ci o to, co napisałaś na ścianie?
- O to i o coś innego, przede wszystkim jednak o chłopaka. Ty tyłu ich już miałaś, a ja nawet się nie całowałam.

Obserwuję jej reakcję na moje słowa. Zapadły głęboko.

- Nie było ich znowu tak wielu.- stwierdziła w końcu.
- Zgódź się, Zoey. Nawet jeśli będę cię później błagała, żebyś tego nie robiła, nawet jeśli będę dla ciebie okropna, zmusz mnie. Mam długą listę rzeczy, których chciałabym doświadczyć.

Kiedy wreszcie mówi: „Dobra”, starała się, żeby zabrzmiało to tak lekko, jakby zgodziła się częściej mnie odwiedzać.

- Naprawdę?
- Przecież powiedziałam.

Zastanawiałam się, czy wie, co ją czeka. Siadłam na łóżku i patrzę, jak myszkuje w mojej szafie. Myślę, że ma już plan. To mi się właśnie podoba u Zoey. Musi się śpieszyć, bo w mojej głowie przesuwają się kolejne obrazy. Marchewki. Powietrze. Kaczki. Grusze. Aksamit i jedwab. Jeziora. Będę tęsknić za lodem. I za kanapą. I za salonem. I za magicznymi sztuczkami Cala. I za białymi rzeczami- mlekiem, śniegiem, łabędziami. Zoey wyciąga z głębi szafy obcisłą kieckę, którą tata kupił mi w zeszłym miesiącu. Nie oderwałam jeszcze metki.

- Pożyczę ją.- mówi- a ty możesz włożyć moją.- Zaczyna rozpinąć sukienkę.
- Wybieramy się gdzieś?
- Jest sobotni wieczór, Tess. Słyszałaś o czymś takim?

Jasne, pewnie, że słyszałam.

Nie stałam na nogach od wielu godzin. Dziwnie się czuję, tak, jakbym była pusta w środku, eteryczna. Zoey stoi przede mną w samej bieliźnie i pomaga mi włożyć czerwoną sukienkę przesiąkniętą jej zapachem. Miękki materiał przywiera do mojej skóry.

- Dlaczego się przebieramy?
- Miło jest poczuć się kimś innym przez chwilę.
- Kimś takim jak ty?

Zastanawia się.

- Być może kimś takim jak ja.

Przyglądałam się swojemu odbiciu w lustrze i cieszę się, że wyglądam zupełnie inaczej niż zwykle. Mam wielkie oczy, które spoglądają groźnie. Czuję, że teraz wszystko może się zdarzyć. Nawet moje włosy wyglądają lepiej, jakby zostały artystycznie przystrzyżone. Nikt się nie domyśli, że były zgolone i teraz odrastają. Patrzymy na siebie, stojąc ramię w ramię. Potem Zoey odciąga mnie od lustra i sadza na łóżku. Przynosi z łazienki koszyczek z kosmetykami i przysiadła obok. Wpatruję się w jej twarz, kiedy rozciera podkład na palcu i rozprowadza go na moich policzkach. Jest blondynką o bardzo jasnej karnacji, ma trądzik, który dodaje jej dzikości. Nigdy w życiu nie miałam pryszczki. Szczęściara ze mnie.

Zoey obrysowuje kontur moich warg i wypełnia go szminką. Znajduje tusz do rzęs i każe mi patrzeć jej prosto w oczy. Próbuję sobie wyobrazić, jak to by było być nią. Często tak robię, ale nigdy mi się to nie udaje. Uśmiecham się, kiedy znów prowadzi mnie do lustra. Jestem do niej trochę podobna.

– Dokąd chcesz pójść?- pyta.

Jest mnóstwo miejsc. Puby, kluby, dyskoteki. Pragnę się znaleźć w wielkiej, ciemnej sali, gdzie z trudem można się poruszać i ciała ocierają się o siebie. Chcę wysłuchać tysiąca piosenek puszcanych niewiarygodnie głośno. Marzę o tym, by tańczyć tak szybko, żeby moje włosy urosły do ziemi i żebym mogła je przydeptywać. Mam ochotę wrzeszczeć głośno, przekrzykując innych. Chcę być tak rozpalona, żeby móc topić w ustach kostki lodu.

– Chodźmy potańczyć- mówię.- Poszukajmy chłopaków, z którymi pójdziemy do łóżka.

– Dobra.- Zoey podnosi torebkę i wyprowadza mnie z pokoju. Tata wygląda z salonu i wchodzi po schodach. Udaje, że idzie do toalety i ujrawszy nas, wyraża na głos swoje zdziwienie:

– Wstałaś! To cud!- Kiwa głową, dziękując Zoey.- Jak tego dokonałaś?

Zoey uśmiecha się, kierując wzrok ku podłodze.

– Potrzebowała tylko małej zachęty.

– To znaczy?

Opieram rękę na biodrze i patrzę mu prosto w oczy.

– Zoey zabiera mnie na tańce na rurze.

– Zabawne.- mówi tata.

– Naprawdę.

Potrząsa głową i rysuje dłonią kółko na brzuchu. Żal mi go. Nie wie, jak zareagować.

– Wszystko w porządku.- uspokajam go.- Idziemy do klubu.

Tata zerka na zegarek, jakby on mógł mu coś podpowiedzieć.

– Będę się nią opiekowała.- wtrąca Zoey. Jest tak słodka i przekonująca, że prawie jej wierzę.

– Nie- protestuje tata. – Tessa potrzebuje spokoju. W klubie będzie pełno dymu i głośna muzyka.

– Skoro potrzebuje spokoju, to po co pan do mnie dzwonił?

– Chciałem, żebyś z nią porozmawiała, a nie wyciągała z domu!

– Spokojnie.- Zoey się śmieje.- Wrócimy na czas.

Czuję, jak opuszcza mnie cała radość, bo wiem, że tata ma rację. Jeśli pójdę do klubu, będę to potem odsypiała przez tydzień. Kiedy tracę za dużo energii, zawsze muszę za to zapłacić.

– Nic mi nie będzie.- mówię.

Zoey chwyta mnie za ramię i ciągnie za sobą po schodach.

– Przyjechałam samochodem mamy- oznajmia.- Odwiozę Tessę przed trzecią.

Tata się nie zgadza, twierdzi, że to za późno; każe odwieźć mnie przed północą. Powtarza to kilka razy, podczas gdy Zoey wyjmuję mój płaszcz z szafy. Wychodząc krzyczę: „Do widzenia!”, ale on nie odpowiada. Zoey zamyka za nami drzwi.

– Możemy wrócić o północy- mówię.

Odwraca się do mnie.

– Słuchaj, dziewczyno, jeśli chcesz spędzić przyjemnie wieczór, musisz się nauczyć łamać reguły.

– Powrót przed północą w niczym nam nie przeszkodzi. Po co tata ma się martwić?

- Niech się martwi. To bez znaczenia. Ktoś taki jak ty nie musi się przejmować konsekwencjami.

Nigdy nie myślałam o sobie w ten sposób.

Rozdział 3

Oczywiście idziemy do klubu. W sobotni wieczór nigdy nie jest tam za dużo dziewczyn, a Zoey ma świetne ciało. Bramkarze wyławiają nas z tłumu i machają do nas, żebyśmy ominęły kolejkę. Przepuszcza nas, a Zoey wykonuje przed nimi kilka tanecznych kroków. Odprowadzają nas wzrokiem, kiedy wchodzimy do szatni.

- Udanego wieczoru, dziewczyny!- wołają za nami.

Nie musimy płacić za wstęp. Czujemy się jak królowe. Zostawiamy płaszcze w szatni i podchodzimy do baru, żeby zamówić dwie cole. Zoey dolewa do swojej rumu z piersiówki, którą nosi w torebce. Robią tak wszyscy studenci z jej college'u. W ten sposób wychodzi taniej. Postanawiam przestrzegać zakazu picia napojów wysokokowych. Alkohol przypomina mi o radioterapii. Kiedyś skatowałam się mieszanką z barku taty i od tamtej pory kojarzę drinki z terapią. Alkohol ma smak napromieniowanego ciała.

Opieramy się o bar i dokonujemy inspekcji. Sala jest już pełna, na parkiecie podrygują młodzi ludzie o rozgrzanych ciałach. Światła reflektorów przesuwają się po piersiach, pupach i suficie.

- Mamy kondomy- szepcze Zoey.- Są w mojej torebce, na wypadek, gdybyś potrzebowała.- Dotyka mojej ręki.- Wszystko w porządku?
- Tak.
- Nie chcesz się wycofać?
- Nie.

O tym marzyłam. Wirująca sala w sobotni wieczór. Przystępuję do realizacji zadań z mojej listy, a Zoey mi w tym pomaga. Dzisiaj spełni się pierwsze życzenie- seks. Nie umrę, dopóki nie zrobię wszystkich dziesięciu zaplanowanych rzeczy.

- Popatrz- mówi Zoey.- Podoba ci się?- Pokazuje mi chłopaka na parkiecie. Dobrze tańczy, porusza się z zamkniętymi oczyma, jakby był tu zupełnie sam i nie potrzebował niczego oprócz muzyki.- Przychodzi tu co tydzień. Nie wiem, jak mu się udaje przemycić trawkę. Jest słodki, prawda?
- Nie chcę ćpuna.

Zoey marszczy brwi.

- O co ci chodzi?
- Jeśli jest na haju, nie będzie mnie pamiętał. Nie chcę też żadnego pijanego faceta.

Zoey odstawia szklankę.

- Mam nadzieję, że nie liczysz na znalezienie tu miłości. Nie mów, że to też jest na twojej liście.
- Niekoniecznie.
- W porządku. Nie chciałabym ci o tym przypominać, ale czas działa na twoją niekorzyść. Ruszamy!

Wyciąga mnie na parkiet. Tańczymy blisko tego ćpuna, starając się, żeby nas zauważył. Czuję się wspaniale. Jestem członkiem plemienia, które porusza się i oddycha w jednym rytmie. Ludzie rozglądają się, taksując innych wzrokiem. Nikt mi tego nie odbierze. Jestem

tutaj w sobotni wieczór, ubrana w czerwoną sukienkę Zoey, która ma przyciągać wzrok. Niektóre dziewczyny nigdy tego nie przeżyją. Nie dostaną nawet tyle.

Wiem, co nastąpi później, bo miałam mnóstwo czasu na czytanie. Znam scenariusz. Ćpun zbliży się, żeby nas obejrzeć. Zoey nie spojrzy w jego stronę, lecz ja owszem. Zatrzymam na nim wzrok o sekundę za długo, on nachyli się i zapyta, jak mam na imię.

„Tessa”- powiem, a chłopak powtórzy po mnie, wymieniając twardo „T”, sycząc przy podwójnym „s” i wyrażając nadzieję przy „a”. Skinę głową z aprobatą, żeby wiedział, że wypowiedział to słowo słodko i w zupełnie nowy dla mnie sposób. Wtedy on uniesie ręce, z dłońmi skierowanymi w moją stronę, jakby mówił: „Poddaję się. Jesteś absolutnie fantastyczna”. Uśmiechnę się skromnie i utkwię wzrok w podłodze. To go przekona, że może wykonać kolejny ruch, który spotka się z moją aprobatą, ponieważ znam reguły gry. Przyciśnie mnie do siebie, a ja położę głowę na jego piersi i będę słuchać w tańcu bicia jego serca, serca obcego chłopaka.

Jednak rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Zapomniałam i trzech sprawach. Po pierwsze, książki nie mówią prawdy. Po drugie, nie mam czasu na flirt. Zoey o tym wie. Po trzecie, zapomniałam właśnie o Zoey. Mimo to wkracza ona do akcji.

– To moja przyjaciółka!- krzyczy do ćpuna.- Ma na imię Tessa. Chce zapalić. Chłopak uśmiecha się i podaje mi skręta. Taksuje wzrokiem nas obie, jego spojrzenie prześlizguje się po długich włosach Zoey.

– To tylko trawka- szepcze Zoey. Cokolwiek to jest, gęsty, gryzący dym drapie mnie w gardle. Kaszlę, czuję, że zakręciło mi się w głowie. Podaję skręta Zoey, która zaciąga się głęboko i oddaje papierosa ćpunowi.

Tańczymy teraz w trójkę, rytmiczne dźwięki przenikają nasze ciała od stóp do głów i przedostają się do krwi. Kalejdoskopowe obrazy z taśmy wideo migoczą n ścianach. Skręt idzie w ruch jeszcze raz.

Nie wiem, jak długo to trwa. Godziny, może minuty. Wiem tylko, że nie mogę się zatrzymać. Jeśli będę tańczyć bez wytchnienia, ciemne kąty Sali nie wypełnią bliżej, a cisza zalegająca między kolejnymi utworami nie wyda się tak ogłuszająca. Jeśli nie przestanę się poruszać w rytm muzyki, znowu zobaczę statki na morzu, będę miała trądzik i zmarszczki i usłyszę skrzypienie śniegu pod nogami. Zoey podaje mi drugiego skręta.

– Dobrze się bawisz?- pyta bezgłośnie, poruszając jedynie ustami. Popiełam błąd i przystaję, żeby się zaciągnąć. Nieruchomieję o sekundę za długo. Zapomniałam o tańcu. I nagle czar prysł. Próbuję przywołać wcześniejszy entuzjazm, ale mam wrażenie, że wielki sęp usiadł mi na piersi. Zoey, ćpun i wszyscy inni odpływają daleko, stają się nierealni; czuję się tak, jakbym oglądała ich w telewizji. Wiem, że nie będę w stanie dalej się bawić.

– Za chwilę wracam.- mówię do Zoey.

W toalecie jest cicho. Siadam na sedesie i oddaję się kontemplacji swoich kolan. Podciągam sukienkę wyżej i oglądam brzuch. Wciąż mam na nim czerwone plamy. Na udach też. Moja skóra jest sucha jak skóra jaszczurki, nie pomagają żadne kremy. Po wewnętrznej stronie przedramion straszą ślady po igłach. Kończę załatwiać swoje potrzeby i obciążam sukienkę. Kiedy wychodzę z ubikacji, spostrzegam Zoey czekającą przy suszarce. Nie słyszałam, jak weszła. Jej oczy są ciemniejsze niż zwykle. Powoli myję ręce. Wiem, że mnie obserwuje.

– On ma kolegę- oświadcza. – Tamten jest fajniejszy, ale możesz go sobie wziąć, bo to twój wieczór. Nazywają się Scott i Jake. Pojedziemy do nich.

Przytrzymuję się krawędzi umywalki i patrzę na swoje odbicie w lustrze. Moje oczy wyglądają obco.

– Jeden z Tweenies ma na imię Jake- mówię.

- Słuchaj- Zoey jest wkurzona- chcesz seksu czy nie?

Dziewczyna stojąca przy drugiej umywalce zerka na mnie. Pragnę jej powiedzieć, że nie jestem taka, jak myśli. Tak naprawdę jestem bardzo miła i pewnie by mnie polubiła. Ale teraz nie ma na to czasu.

Zoey wyciąga mnie z łazienki i wlecze do baru.

- Tam są. Ten jest twój.

Chłopak, którego mi pokazała, oparł ręce na biodrach, kciuki zatknął za pasek od spodni. Wygląda jak kowboj o nieobecnym spojrzeniu. Nie widzi jeszcze nas, więc staję.

- Nie mogę.
- Możesz! Żyj szybko, umieraj młodo i wyglądaj świetnie!
- Nie, Zoey!

Mam rozpaloną twarz. Zastanawiam się, jak mogłabym złapać trochę powietrza. Gdzie są drzwi, którymi tu weszliśmy?

Zoey patrzy na mnie ze złością.

- Prosiłaś, żebym nie pozwoliła ci się wycofać. Co mam teraz zrobić?
- Nic. Nic nie musisz robić.
- Jesteś żalсна!- Potrząsa głową i przechodzi przez salę, a potem znika w holu. Biegnę za nią i widzę, jak wręcz szatniarzowi mój numer.
- Co robisz?
- Odbieram twój płaszcz. Wezwę taksówkę, żebyś mogła wrócić do domu.
- Nie możesz jechać z nimi sama, Zoey!
- Zobaczymy!

Otwiera drzwi i wygląda przez nie. Jest pusto, kolejka już znikła. Nie ma też taksówek. Na chodniku stadko gołębi dziobie resztki kurczaka z pudełka na wynos.

- Zoey, proszę cię, odwieź mnie do domu. Jestem zmęczona.

Wzruszyła ramionami.

- Ty zawsze jesteś zmęczona.
- Przestań być taka okropna!
- Przestań być taka nudna!
- Nie chcę jechać do jakiś obcych chłopaków. Nie wiadomo, co może nas tam spotkać.
- I dobrze. Mam nadzieję, że do czegoś dojdzie, bo gdzie indziej nie będzie już się nic działo.

Stoję. Nagle ogarnia mnie strach.

- Chcę, żeby było idealnie, Zoey. Jeśli pójdę do łóżka z kimś, kogo wcale nie znam, to kim się stanę? Dziwką?

Odwraca się do mnie z błyszczącymi oczami.

- Nie, odżyjesz. A kim będziesz, jeśli teraz wsiądziesz do taksówki i wrócisz do tatusia?

Wyobrażam sobie, że kładę się do łóżka i przez całą noc wdycham martwe powietrze w moim pokoju, a rano budzę się ze świadomością, że nic się nie zmieniło.

Zoey znów się uśmiecha.

- Chodź- mówi.- Możesz odhaczyć pierwszy punkt na tej swojej cholernej liście. Wiem, że tego chcesz.- Jej uśmiech jest zaraźliwy.- Powiedz: „Tak”, Tesso. No dalej, powiedz: „Tak”!
- Tak.
- Hurra!- Zoey łapie mnie za rękę i wciąga do środka.- Wyślij ojcu wiadomość, że zostajesz u mnie na noc i się zbieramy.

Rozdział czwarty

– Nie lubisz piwa?- pyta Jake.

Opiera się o kuchenny zlew, a ja stoję zbyt blisko niego. Robię to celowo.

– Miałam ochotę na herbatę.

Wzrusza ramionami, stuka butelką o moją filiżankę i odchyła głowę, żeby się napić.

Obserwuję jego gardło, kiedy przetyka. Zauważam małą, bladą bliznę pod brodą, cieniutką kreskę, skutek dawnego wypadku. Jak ociera usta rękawem i spostrzega, że mu się przyglądam.

– Dobrze się czujesz?- pyta.

– Tak, a ty?

– Jasne.

– To świetnie.

Uśmiecha się do mnie. Ma ładny uśmiech. To dobrze. Czułabym się znacznie gorzej, gdyby był brzydki.

Pół godziny wcześniej Jake i jego kumpel, ćpun, wymienili spojrzenia, kiedy wprowadzali mnie i Zoey do domu. Oznaczały one zwycięstwo. Zoey powiedziała im wprawdzie, żeby niczego się nie spodziewali, ale gdy weszliśmy do przedpokoju, pozwoliła ćpunowi zdjąć swój płaszcz. Śmiała się z niego dowcipów, paliła kolejne skręty, które jej podawał, i stopniowo się pogrążała.

Widzę ją zza drzwi. Włączyli muzykę, jakiś łagodny jazz. Zgasili światło i tańczą przytuleni do siebie w powolnym rytmie, zataczając pijane kręgi na dywanie. Zoey w jednej ręce trzyma skręta, drugą wepchnęła ćpunowi z tyłu za pasek od spodni. On otacza ją ramionami. Wyglądają tak, jakby podtrzymywali się nawzajem.

Nagle zaczynam myśleć praktycznie. W kuchni nad herbatą uświadamiam sobie, że przyszedłam tu po to, żeby zrealizować swój plan. W końcu to mój wieczór. Dopijam herbatę, odstawiam filiżankę na suszarkę i przysuwam się do Jake'a tak blisko, że czubki naszych butów stykają się.

– Pocałuj mnie- mówię i słyszę, jak śmiesznie brzmią moje słowa. Ale Jake'owi to nie przeszkadza. Odstawia piwo i pochyla się nade mną.

Nasze pocałunki są delikatne, ledwo muskamy się ustami, dzieli mnie od niego odległość oddechu. Zawsze wiedziałam, że będę umiała się całować. Przeczytałam wszystkie czasopisma, w których piszą o tym, jak uniknąć zderzenia nosami, co zrobić ze śliną i gdzie położyć ręce. A jednak nie miałam pojęcia, jak to będzie- czułam delikatne drapania zarostu na moim policzku, dotyk jego rąk sięgających do mojej szyi, język przesuwający się po wargach i zagłębiający w ustach. Całujemy się przez kilka minut, przyciskając się do siebie. Przeświadczenie, że jestem z kimś, kto nic o mnie nie wie, przyniosło mi ulgę. Moje ręce są śmiałe, opadają w zagłębienie na plecach i głaszczą go tam. Jaki ten chłopak wydaje się zdrowy i mocny.

Otwieram oczy. Chcę sprawdzić, czy mu się to podoba, ale nieoczekiwanie mój wzrok przyciąga okno i widok drzew wyłaniających się z ciemności. Małe, czarne gałązki uderzają o szybę jak palce. Odkręcam głowę i przytulam się jeszcze mocniej do Jake'a. Przez tę moją cienką, czerwoną sukienkę czuję, jak bardzo mnie pragnie. Jęczy cicho.

– Chodźmy na górę- prosi.

Próbuje przesunąć mnie w stronę drzwi, ale kładę mu rękę na piersiach, żeby mieć chwilę do namysłu.

– No, chodź- powtarza. – Przecież tego chcesz, prawda?

Wyczuwam pod palcami bicie jego serca. Uśmiecha się do mnie, a ja przecież tego chcę. Czy nie po to tu przyjechałam?

– Dobrze.

Splata swoje z moimi, ma gorącą dłoń. Prowadzi mnie korytarzem w stronę schodów. Zoey całuje ćpuna. Stoi oparty o ścianę, a ona wsunęła mu kolano między nogi. Słyszą hałas i odwracają się w naszą stronę, kiedy przechodzimy. Wyglądają na podnieconych i oszołomionych. Zoey pokazuje mi język. Lśni jak ryba w podwodnej grocie.

Uwalniam się z uścisku Jake'a i podchodzę do kanapy, na której leży torebka Zoey. Grzebię w niej, a oni patrzą na mnie. Ćpun uśmiecha się krzywo. Jake opiera się o framugę. Czeka. Pokazuje uniesione kciuki. Nie mogę się odwrócić. Nie mogę też znaleźć kondomów. Nie wiem, czy powinnam wymacać całe pudełko, czy pojedyncze opakowanie. Nie mam pojęcia, jak wyglądają. Jestem zażenowana i postanawiam zabrać całą torebkę. Jeśli Zoey będzie potrzebna prezerwatywa, będzie musiała pofatygować się na górę.

– Idziemy- oznajmiam.

Wchodzę po schodach za Jakiem. Dodaję sobie odwagi, skupiając wzrok na jego rozkołysanych biodrach. Czuję się nieswojo, mam zawroty głowy i trochę mnie mdli. Nie sądziłam, że podążanie korytarzem za facetem skojarzy mi się ze szpitalem. Może jestem zmęczona. Próbuję przypomnieć sobie, jak powinnam postępować, kiedy jest mi niedobrze- przede wszystkim muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, otworzyć okno, albo wyjść na zewnątrz, jeśli to możliwe. Następnie należy zrobić coś, co odwróci moją uwagę od mdłości, może być to cokolwiek, byle udało mi się skoncentrować na czymś innym.

– Tutaj- mówi Jake.

Widzę zwyczajną sypialnię, nic specjalnego.- mały pokój z biurkiem, komputerem, książkami rozrzuconymi na podłodze, krzesłem i wąskim łóżkiem. Na ścianach wisi kilka czarno- białych plakatów przedstawiających głównie muzyków jazzowych. Jake obserwuje mnie, kiedy rozglądam się po pomieszczeniu.

– Możesz odłożyć torebkę.

Zbiera z łóżka brudne ubrania i rzuca je na podłogę. Poprawia pościel i siada, wskazując mi miejsce obok siebie.

Nie ruszam się. Zdecyduję się usiąść na łóżku, tylko jeśli w pokoju będzie ciemno.

– Możesz zapalić świeczkę?- pytam.

Otwiera szufladę, wyciąga zapałki i wstaje, żeby spełnić moją prośbę. Potem gasi górne światło i siada z powrotem obok mnie. Oto prawdziwy, żywy chłopak patrzy na mnie i czeka. Nadeszła moja chwila. Czuję, jak bije mi serce. Być może, jedynym sposobem na to, żeby nie wyjść na kompletną idiotkę, jest udawanie kogoś innego. Postanowiłam grać Zoey i zaczynam zdejmować jej sukienkę. Jake patrzy, jak rozpinam guzik, potem drugi. Zwilża usta językiem. Trzeci guzik.

Nagle wstaje, mówiąc:

– Ja to zrobię.

Ma zwinne palce. Robił to już wcześniej. Z inną dziewczyną, innej nocy. Zastanawiam się, gdzie ona teraz jest. Czwarty guzik, piąty i krótka czerwona sukienka spływa mi z ramion na biodra, opada na podłogę u moich stóp jak pocałunek. Robię krok naprzód i staję przed nim w staniku i majtkach.

– Co to jest?- pyta, wskazując pomarszczoną skórę na mojej klatce piersiowej.

– Byłam chora.

– Na co?

Zmuszam go do milczenia pocałunkami. Pachnę inaczej, kiedy jestem naga- pizmem i

potem. On smakuje inaczej- dymem i czymś słodkim. Może życiem.

- Nie rozbierzesz się?- pytam, naśladowując głos Zoey.

Ściąga koszulkę przez głowę, unosząc ramiona. Przez sekundę nie może mnie widzieć, a ja w tym czasie przyglądam się jego wąskiej klatce piersiowej, piegowatej i młodej, ciemnym, lśniącym włosom pod pachami. Rzuca koszulkę na podłogę i zaczyna mnie znowu całować. Usiłuje rozpiąć pasek u spodni jedną ręką, nie patrząc, ale to mu się nie udaje. Odsuwa się i nie spuszczając ze mnie wzroku, manipuluje przy guziku i suwaku. Zdejmuje spodnie u staję przede mną w bokserkach. Czuje się chyba trochę niepewnie, waha się, wygląda na onieśmiałego. Dostrzegam jego stopy w białych skarpetkach, niewinne jak stokrotki i chcę mu coś ofiarować.

- Nigdy tego nie robiłam- mówię.- Nie do końca.

Wosk kapie ze świecy. Przez chwilę się nie odzywa, a potem kręci głową z niedowierzaniem.

- Niesamowite.

Kiwam potakująco.

- Chodź tutaj.

Chowam się w jego ramionach. Dodają mi otuchy i przez chwilę myślę, że będzie dobrze. Otacza mnie jedną ręką, a drugą głaszcze po karku. Jest ciepła. Dwie godziny temu nie znałam jeszcze jego imienia. Może nie musimy wcale uprawiać seksu. Moglibyśmy położyć się obok siebie i zasnąć przytuleni pod kołdrą. Może zakochamy się w sobie. On znajdzie dla mnie lekarstwo i będziemy żyć długo i szczęśliwie. Ale nic z tego.

- Masz kondomy?- pyta szeptem.- Skończyły mi się.

Sięgam po torebkę Zoey i wyrzucam jej zawartość na podłogę. Znajduję prezerwatywę i kładzie ją na nocnym stoliku. Ściąga skarpetki. Potem zdejmuję stanik. Jeszcze nigdy nie rozbierałam się przed facetem. Patrzy na mnie tak, jakby chciał mnie zjeść i zastanawiał się, od czego zacząć. Słyszę, jak wali mi serce. Ma problem ze zdjęciem majtek. Ściągam swoje i zaczynam dygotać. Oboje jesteśmy nadzy. Myślę o Adamie i Ewie.

- Będzie dobrze- mówi, ujmując mnie za rękę, i prowadzi do łóżka. Odchyła kołdrę i wślizgujemy się pod nią. Jesteśmy na pokładzie łodzi. Leżymy na dnie. Mogę się schować.

- Spodoba ci się- zapewnia.

Całujemy się, najpierw powoli, jego palce leniwie prześlizgują się po moim ciele. Podoba mi się ta delikatność, z jaką zbliżamy się do siebie, dotykamy się niespiesznie w blasku świecy. Ale to nie trwa długo. Jego pocałunki stają się coraz mocniejsze, wpycha mi język coraz głębiej, jakby chciał być jeszcze bliżej. Jego dłonie natarczywie obmacują mnie i ściskają. Czy on szuka czegoś szczególnego? Wciąż powtarza: „O, tak, o, tak”, ale nie wydaje mi się, żeby zwracał się do mnie. Ma zamknięte oczy i usta pełne moich piersi.

- Spójrz na mnie- proszę.- Chcę, żebyś na mnie patrzył.

Unosi się na łokciu.

- Mówiłaś coś?

- Nie wiem, co mam robić.

- Jesteś świetna.- Ma ciemne oczy, nie poznaję go. Jakby zmienił się w kogoś innego, jest jeszcze bardziej obcy niż przed kilkoma minutami. - Wszystko w porządku.

Znowu całuje mnie po szyi, piersiach, brzuchu, aż tracę z oczu jego twarz. Głaszcze mnie rękoma coraz niżej i nie wiem, jak mu powiedzieć, żeby przestał. Odsuwam biodra, ale on nie może się ode mnie oderwać. Jego palce zagłębiają się między moje uda i wzdycham z wrażenia. Jeszcze nikt mnie tam nie dotykał. Czy coś jest ze mną nie tak, skoro nie wiem, jak to się robi? Sądziłam, że instynkt podpowie mi, jak mam się zachować.

Jednak wszystko wymyka się spod kontroli. Czuję, jakby Jake coś mi kazał, a przecież to ja miałam panować nad sytuacją. Przywieram do niego, obejmuję go ramionami i biję po plecach, jakby był psem, którego zachowania nie rozumiem. Odsuwa się i siada na łóżku.

– W porządku?

Przytakuję, kiwając głową.

Sięga do stolika, gdzie położył prezerwatywę. Obserwuję, jak ją zakłada. Sprawnie mu to idzie. Jest ekspertem w tych sprawach.

– Gotowa?

Znów kiwam głową. Nie chcę być niegrzeczna.

Kładzie się z powrotem i rozchyła mi nogi swoimi, przyciska mnie, napierając całym swym ciężarem. Nagle czuję go w sobie u zaraz będę wiedziała, o co tyle zamieszania. To był mój pomysł. Zauważam mnóstwo rzeczy, podczas gdy czerwone, neonowe cyfry, wyświetlane na jego budziku, zmieniają się z 3:15 na 3:19. Widzę, że jego buty leżą pod drzwiami, które nie zostały zamknięte. Na suficie w przeciwnym rogu pojawił się dziwny cień przypominający ludzką twarz. Przywodzi mi na myśl spoconego grubasa, który przebiegł kiedyś naszą ulicę. Albo jabłko. Najbezpieczniej czułabym się w tej chwili pod łóżkiem albo z głową na kolanach mamy. Jake wspiera się na rękach i powoli porusza się nade mną, twarz ma zwróconą na bok, oczy zamknięte. To jest to. Właśnie się dzieje. Przeżywam to w tej chwili. Seks.

Kiedy już jest po wszystkim, leżę pod nim milcząca i mała. Trwamy tak przez jakąś chwilę, a potem on zsuwa się ze mnie przygląda mi się w ciemności.

– Co ci jest?- pyta. – Co się stało?

Nie mogę na niego spojrzeć, więc przysuwam się bliżej, zakopuję głębiej w pościeli, ukrywam się w jego ramionach. Wiem, że robię z siebie kompletną idiotkę. Płacę jak dziecko i nie mogę przestać. Okropnie się z tym czuję. Jake głaszcze mnie po plecach i szepcze do ucha : „Ćśśś”. Odsuwa się, żeby na mnie spojrzeć.

– Wszystko w porządku? Chyba nie powiesz, że tego nie chciałaś, co?

Ocieram oczy rogiem kołdry. Siadam i spuszczam nogi przez krawędź łóżka na dywan. Siedzę tyłem do niego i szukam wzrokiem ubrań. Są nieznanymi cieniami rzuconymi na podłogę.

Kiedy byłam dzieckiem, tata nosił mnie na barana. Byłam tak drobna, że musiał podtrzymywać mnie ręką za plecy, żeby się nie zsunęła. Gdy siedziałam na jego barkach, sięgałam ręką do liści drzew. Nie mogłabym powiedzieć o tym Jake'owi. Nie miałyby to dla niego żadnego znaczenia. Myślę, że słowa nie docierają do ludzi. Może w ogóle do nich nic nie dociera.

Wślizguję się w ubranie. Czerwona sukienka wydaje się jeszcze krótsza; obciągam ją, usiłując zakryć kolana. Naprawdę wybrałam się do klubu w takim stroju? Wkładam buty u zbieram rzeczy do torebki Zoey.

– Nie musisz wychodzić- mówi Jake. Leży wsparty na łokciu. W blasku świecy wygląda blado.

– Chcę wyjść.

Jake opada na poduszkę. Jedno ramię spada mu z łóżka; zamyka dłoń, kiedy dotyka podłogi. Powoli kręci głową.

Zoey śpi na dole. Ćpun też. Leżą razem na sofie złączeni w uścisku, zwróceni twarzami do siebie. Nie mogę znieść myśli, że jej to odpowiada. Włożyła nawet jego koszulkę; guziki, rozmieszczone w niewielkich odstępach, przypominają mi domki z cukru z bajki dla dzieci. Klękam i dotykam lekko ramieniem Zoey. Jest ciepłe. Głaszcze j a, dopóki nie otworzy oczu. Mruga do mnie.

– Cześć- szepcze.- Skończyliście?

Przytakuję i nie mogę powstrzymać się od uśmiechu. Zoey opuszcza ramiona ćpuna, siada i rozgląda się po podłodze.

– Zostało trochę towaru?

Znajduję puszkę z trawką i podaję jej, a potem idę do kuchni, żeby napić się wody. Myślałam, że pójdzie za mną, ale nie robi tego. Mamy rozmawiać w obecności ćpuna? Piję wodę, odstawiam szklankę na suszarkę i wracam do pokoju. Siadam na podłodze przy nogach Zoey, która zwilża językiem krawędź bibułki i ją skleja, znowu oblizuje i odrywa końcówki.

– No i? - pyta.- Jak było?

– W porządku.

Błysk światła zza zasłony oślepia mnie. Widzę tylko jej lśniące zęby.

– Dobry był?

Myślę o Jake’u leżącym na górze, o jego dłoni wiszącej nad podłogą.

– Nie wiem.

Zoey się zaciąga, spogląda na mnie z zaciekawieniem i wypuszcza dym.

– Musisz się do tego przyzwyczaić. Moja mama powiedziała kiedyś, że seks to trzy minuty przyjemności. Postanowiłam wtedy, że ze mną tak nie będzie. Chciałam więcej. I mam więcej. Jeśli pozwolisz im myśleć, że są świetni, jest nieźle.

Wstaję, podchodzę do okna i rozsuwam zasłony. Na ulicy palą się latarnie. Niedługo chyba zaczniesz świtać.

– Zostawiłaś go na górze? - pyta Zoey.

– No.

– To trochę niegrzeczne. Powinnaś do niego wrócić.

– Nie chcę.

– Nie możemy teraz jechać do domu. Jestem nieprzytomna.

Gasi skręta w popielniczkę, kładzie się z powrotem obok ćpuna i zamyka oczy. Patrzę na nią bardzo długo, obserwuję jego oddech, jak wznosi się i opada. Mdłe światło ulicznych latarni odbija się na ścianach i rzuca łagodny blask na dywan. Na podłodze leży też niewielki, owalny chodnik, z błękitnymi i szarymi plamami, przypomina morze.

Idę do kuchni i nastawiam wodę w czajniku. Na blacie leży kartka. Ktoś napisał na niej: „Ser, masło, fasola, chleb:”. Siadam na taborecie przy kuchennym stole i dopisuję: „czekoladowa figurka Świętego Mikołaja w czerwono- złotym papierku z dzwonkiem zawieszonym na szyi”. Może już są takie w sklepach. Do Bożego Narodzenia zostało sto trzysta dni. Odwracam kartkę i podpisuję: „Tessa Scott”. Tata mówi, że to dobre imię i nazwisko, ma tylko trzy sylaby. Jeśli uda mi się je napisać na kartce pięćdziesiąt razy, wszystko będzie dobrze. Piszę małymi literkami, takich jakich użyłaby wróżka Zębuszka, odpisując na list dziecka. Boli mnie nadgarstek. Czajnik gwizdże. Kuchnia wypełnia się parą.

Rozdział piąty

Czasami w niedzielę tata zawozi mnie i Cala do mamy. Wjeżdżamy windą na ósme piętro.

Mama zazwyczaj otwiera drzwi i woła: „Jesteście!”, obejmując wzrokiem całą trójkę. Tata przystaje na chwilę na schodach i rozmawiają.

Ale dzisiaj, kiedy otworzyła drzwi, tata wyraźnie chciał ode mnie uciec jak najszybciej i od razu cofnął się do windy.

- Uważaj na nią- powiedział, pokazując mnie palcem.- Nie można jej ufać.

Mama roześmiała się.

- Dlaczego? Co takiego przeskrobała?

Cal nie może wytrzymać z podniecenia.

- Tata zakazał jej wyjścia do klubu.
- Ach- mówi mama.- To całkiem do niego podobne.
- Ale ona i tak poszła. Dopiero teraz wróciła do domu. Nie było jej przez całą noc.

Mama uśmiechnęła się do mnie z zadowoleniem.

- Spotkałaś jakiegoś chłopca?
- Nie.
- Spotkałaś. Jak miał na imię?
- Nikogo nie spotkałam!

Tata jest wściekły

- Typowe- syczy.- Cholernie typowe. Powinienem był wiedzieć, że nie mogę liczyć na twoje wsparcie.
- Daj spokój- prosi mama.- Przecież nic jej się nie stało, prawda?
- Spójrz na nią. Jest kompletnie wyczerpana.

Cała trójka przyglądała mi się przez chwilę. Nie mogę znieść ich spojrzeń. Robi mi się zimno i cały czas boli mnie brzuch. Odczuwam ten ból od czasu, kiedy kochałam się z Jakim. Nikt mnie nie uprzedził, że tak będzie.

- Przyjdę o czwartej- mówi tata, wsiadając do windy.- Od dwóch tygodni nie chce się poddać badaniu krwi. Zadzwoń do mnie, gdyby coś się działo. Zrobisz to?
- Tak, tak, nie martw się.- Mama nachyla się i całuje mnie w czoło.- Będę się nią opiekowała.

Siadamy z Calem w kuchni przy stole. Mama nastawia czajnik, znajduje trzy filiżanki wśród brudnych naczyń, stojących w zlewie i myje je. Sięga do szafki po herbatę, wyjmuje mleko z lodówki i wacha je, wysypuje ciastka na talerz.

Od razu wkładam sobie jedno do ust. Pyszne. Tania czekolada i cukier, czyli to, czego nie powinnam jeść.

- Opowiadałam wam kiedyś o moim pierwszym chłopcu?- pyta mama, stawiając herbatę na stole.- Miał na imię Kevin i był zegarmistrzem. Uwielbiałam patrzeć, jak pracuje z lupą przy oku.

Cal sięga po kolejne ciastko.

- Ilu właściwie miałaś chłopców?

Mama śmieje się, odgarnia długie włosy na ramię.

- To pytanie chyba nie jest na miejscu.
- Czy tata był najlepszy?
- Och, wasz tata!- woła, przyciskając rękę do piersi w melodramatycznym geście. Cal rechocze.

Kiedyś pytałam mamę, co jej się nie podobało w tacie.

- Jest najrozsądniejszym mężczyzną, jakiego spotkałam- powiedziała.

Miałam dwanaście lat, gdy od niego odeszła. Przez jakiś czas przysyłała nam pocztówki z miejsc, o których nigdy nie słyszałam- Skegness, Grimsby, Hull, Na jednej z nich było

zdjęcie hotelu od frontu. „Tutaj pracuję”- pisała.- „Uczę się na cukiernika i tyję w oczach”.

- I bardzo dobrze- skomentował tata.- Może pęknie.

Wieszałam te pocztówki na ścianie w swoim pokoju- Carlisie, Melrose, Dornoch.

„Mieszkamy w szałasie, jak pasterze- pisała.

- Wiedzieliście, że *haggis* robi się z gardła, płuc, serca i wątroby owiec?”. Nie wiedziałam, podobnie jak nie wiedziałam, dlaczego pisze w liczbie mnogiej, ale lubiałam patrzeć na zdjęcie przedstawiające wieś John o’Groats i bezkresne niebo nad zatoką.

Potem przyszła zima i postawiono mi diagnozę. Nie wiem, czy mama od razu uwierzyła w to, że jestem chora, bo trochę potrwało, zanim wróciła. Miałam trzynaście lat, kiedy wreszcie zapukała do naszych drzwi.

- Ślicznie wyglądasz- powiedziała, gdy jej otworzyłam.- Dlaczego twój tata zawsze widzi rzeczywistość w czarnych barwach?
- Zamieszkas z nami?- spytałam.
- Niezupełnie.

I wprowadziła się do swojego mieszkania.

I od tej pory zawsze spędzamy czas tak samo, gdy ją odwiedzamy. Może dlatego że mama nie ma pieniędzy albo dba o to, żebym się nie przemęczała. W każdym razie, będąc u niej oglądamy filmy na wideo lub gramy w gry planszowe. Dzisiaj Cal wybrał „Grę w życie”. Jest beznadziejna i nigdy mi nie wychodzi. Mam męża, dwójkę dzieci i pracuję w biurze podróży. Zapomniałam jednak wykupić polisę ubezpieczeniową i kiedy przychodzi burza, tracę wszystko. Za to Cal zostaje gwiazdą muzyki pop i ma domek nad morzem, a mam jest wziętą artystką, którą stać na wielką rezydencję. Gdy wreszcie przechodzę na emeryturę, wcześniejszą, bo wciąż jestem niezłą laską, nawet nie sprawdzam stanu swojego konta. Potem Cal chce pokazać mamie najnowszą sztukę. Szuka monety w jej portmonetce, a ja ściągam koc z kanapy i przykrywam nim kolana.

- W przyszłym tygodniu idę do szpitala- oznajmiam.- Pojedziesz ze mną?
- Tata cię nie odwiezie?
- A nie możecie być ze mną oboje?

Zastanawia się przez chwilę.

- Po co tam idziesz?
- Znowu mam bóle głowy. Chcą mi zrobić punkcję lędźwiową.

Mama pochyla się i całuje mnie. Czuję jej ciepły oddech na twarzy.

- Wszystko będzie dobrze, nie martw się. Wiem, że wyzdrowiejesz.

Cal wraca z monetą jednofuntową.

- Patrzcie uważnie, moje pani- mówi.

Nie chcę na to patrzeć. Nudzi mnie obserwowanie rzeczy, które znikają.

Idę do sypialni i ściągam koszulkę przed lustrem. Jakiś czas temu zaczęłam upodabniać się do brzydkiego karła. Moja skóra zrobiła się szara, a kiedy dotykam płacem brzucha, mam wrażenie, że zapada się w nim jak w miękkim cieście. Wszystko z powodu sterydów. Podawano mi wysokie dawki prednizolonu i deksametazonu. To trucizny, przez które człowiek tyje, brzydnie i traci panowanie nad sobą. Od chwili, gdy przestałam je brać, zaczęłam się kurczyć. Teraz mam kościste biodra i wystające żebra. Znikam jak duch, uciekam sama przed sobą.

Siadam na łóżku mamy i dzwonię do Zoey.

- Co to jest seks?- pytam.
- Biedactwo- użala się nade mną.- Facet nie był w tym dobry, co?

- Nie rozumiem, dlaczego tak dziwnie się czuję.
- Jak to dziwnie?
- Samotnie, no i brzuch mnie boli.
- Wiem!- mówi Zoey.- Pamiętam to. Jakby cię ktoś otworzył?
- Coś w tym stylu.
- To minie.
- A dlaczego wciąż chce mi się płakać?
- Nie traktuj tego tam poważnie, Tess. Seks to sposób na spędzenie z kimś czasu, nic więcej. Zyskujesz chwilę ciepła i czujesz się atrakcyjna.

Zoey ma dziwny głos, jakby się uśmiechała.

- Znów się naćpałaś?
- Skąd!
- Gdzie jesteś?
- Słuchaj, zaraz muszę wyjść. Powiedz mi, co jest następne na twojej liście, i przygotujemy plan.
- Wyrzuciłam listę. To był głupi pomysł.
- Wcale nie. Nie rezygnuj. Nareszcie zaczęłaś robić coś ze swoim życiem.

Odkładam słuchawkę i liczę w myślach do pięćdziesięciu siedmiu. Potem wykręcam numer 999.

Odzywa się kobiecy głos.

- Pogotowie. W czym mogę pomóc?

Milczę.

- Czy coś się stało?
- Nie.
- Proszę potwierdzić, że nie zgłasza pani wypadku. Może pani podać swój adres?

Podaję adres mamy. Potwierdzam, że nie było żadnego wypadku. Zastanawiam się, czy przyślą jej rachunek za tę rozmowę. Mam nadzieję, że tak. Dzwonię na informację i proszę o numer telefonu zaufania. Wystukuję go powoli.

- Halo?- znów słyszę kobiecy głos, miękki, możliwe, że to Irlandka.- Halo- odzywa się ponownie.

Przykro mi, że marnuję jej czas, więc stwierdzam:

- Wszystko jest do bani.
- Uhm- mruczy w odpowiedzi. Zupełnie jak tata. Tak samo zareagował sześć tygodni temu w szpitalu, kiedy lekarz zapytał, czy rozumiemy to, co do nas mówi. Pamiętam, jak pomyślałam, że tata na pewno nic nie zrozumiał, bo płacz nie pozwalał mu słuchać.
- Nadal tu jestem- informuje kobieta.

Chcę jej coś powiedzieć. Przyciskam słuchawkę do ucha, bo rozmowa o tak ważnych rzeczach wymaga bliskiego kontaktu. Nie mogę jednak znaleźć odpowiednich słów.

- Jesteś tam jeszcze?- pyta.
- Nie- odpowiadam i odkładam słuchawkę.

Rozdział szósty

Tata bierze mnie za rękę.

- Oddaj mi swój ból- prosi.

Leżę na szpitalnym łóżku na boku, z podwiniętymi kolanami i głową na poduszce.

Kręgosłup mam ułożony równolegle do krawędzi łóżka.

W pokoju jest dwoje lekarzy i pielęgniarka. Nie widzę ich, bo stoją z tyłu. Lekarka jest studentką. Nie mówi wiele, ale domyślam się, że patrzy, jak wykonujący badanie lekarz znajduje punkt na moim kręgosłupie i zaznacza go mazakiem. Przeciera mi skórę środkiem dezynfekującym. Jest zimny. Doktor najpierw odkaża miejsce, w które wbija igłę, a następnie smaruje skórę wokół, zataczając coraz szersze kręgi. Potem przykrywa mnie ręcznikami i wkłada rękawiczki.

- Użyję igły dwuipółmilimetrowej- informuje studentkę.- I pięciomilimetrowej strzykawki.

Na ścianie za plecami taty wisi obraz. W szpitalu często je zmieniają. Tego jeszcze nie widziałam. Wpatruję się w niego intensywnie. W ciągu czterech lat choroby nauczyłam się stosować różnych technik odwracania uwagi. Obraz przedstawia późne popołudnie, angielską łąkę, zachodzące słońce i mężczyznę walczącego z ciężkim pługiem. W górze unoszą się ptaki.

Tata obraca się na plastikowym krześle, żeby sprawdzić, na co patrzę, puszcza moją dłoń i wstaje. Podchodzi do obrazu. W dole widać biegnącą kobietę, która jedną ręką przytrzymuje spódnicę, żeby móc poruszać się szybciej.

- „Wielka zaraza w Eyam”- czyta tata.- Cóż za beztroski obraz, nadający się w sam raz do szpitala.
Doktor chichocze.
- Wiedział pan, że co roku mamy ponad trzy tysiące przypadków dymienicy morowej?
- Nie- mówi tata.- Nie wiedziałem.
- Na szczęście wynaleziono antybiotyki.

Tata siada i bierze mnie za rękę

- Dzięki Bogu.

Kobieta biegnąca na obrazie płoszy kurczęta. Dopiero teraz dostrzegam jej przestraszony wzrok, którym przyzywa mężczyznę. Zaraza, wielki pożar i wojna z Holendrami miały miejsce w jednym roku.- tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym. Uczyłam się o tym w szkole. Miliony ciał wywożono wozami, wrzucano je do domów wypełnionych wapnem i grzebano bezimiennie. Ponad trzysta czterdzieści lat później nie było już śladu po tych, którzy wtedy przeżyli. Ze wszystkich elementów przedstawionych na obrazie pozostało tylko słońce. I ziemia. Myśląc o tym, czuję się bardzo mała.

- Zaraz poczujesz krótkie ukłucie- informuje doktor.

Tata głaszcząc mnie po rękę kciukiem, kiedy do moich kości napływa fala gorąca.

Przychodzą mi na myśl słowa: „Na zawsze”. Myślę o tym, że na świecie znajduje się więcej zmarłych niż żywych, że jesteśmy otoczeni przez duchy. Powinno mnie to pocieszyć, ale tak nie jest.

- Ściśnij mnie za rękę- prosi tata.
- Nie chcę sprawiać ci bólu.
- Kiedy twoja mama cię rodziła, trzymała mnie za rękę przez czternaście godzin i nie powyrywała mi palców. Nie zrobisz mi krzywdy, Tess.

Przeszywa mnie coś w rodzaju prądu elektrycznego, jakby mój kręgosłup został zamknięty w tosterze i doktor wyszarpywał go stamtąd tępym nożem.

- Jak myślisz, co teraz robi mama?- pytam zmienionym głosem.

Trzymaj się. Mocno.

- Nie mam pojęcia.
- Prosiłam, żeby przyjechała.

- Naprawdę?- Tata jest wyraźnie zaskoczony.
- Pomyślałam, że już po wszystkim moglibyście pójść do kawiarni.

Tata marszczy brwi.

- Dziwny pomysł.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że stałam się drzewem wysuszonym przez słońce i moim jedynym pragnieniem jest sprowadzenie deszczu. Myślę o srebrnej wodzie rozpryskującej się na moich liściach, nasączającej korzenie, płynącej w żyłach.

Lekarz przekazuje studentce dane statystyczne. Mówi:

- Mniej więcej jeden na tysiąc pacjentów, przechodzących te badania, cierpi na skutek drobnego uszkodzenia nerwu. Istnieje również niewielkie ryzyko wystąpienia infekcji, krwawienia lub uszkodzenia chrząstki.- Wyciąga igłę.- Grzeczna dziewczynka. Już po wszystkim.

Prawie czekam, aż poklepie mnie po zadzie jak posłusznego konia. Nie robi tego. Macha mi przed oczami trzema wysterylizowanymi fiolkami.

- Zaniosę to do laboratorium- oświadcza i wychodzi bez pożegnania, po prostu wyslizguje się cicho z pokoju, ciągnąc za sobą studentkę. Jakby nagle zawstydził się tej chwili intymności między nami.

Za to pielęgniarka jest kochana. Rozmawia z nami, bandażując mi plecy gazą. Potem obchodzi łóżko i zatrzymuje się przy mnie z uśmiechem.

- Musisz chwilę poleżeć, kochanie.
- Wiem.
- Już to przerabiałaś, co?- Odwraca się do taty.- A co pan będzie robił w tym czasie?
- Posiedzę tutaj i poczytam książkę.

Pielęgniarka kiwa głową.

- Będę w pobliżu. Wie pan, na co trzeba zwracać uwagę po powrocie do domu?

Tata jest już profesjonalistą.

- Na dreszcze, gorączkę, sztywność karku i ból głowy, odwodnienie, krwawienie, stany otępienia lub osłabienia, ucisk w okolicach lędźwi.

Pielęgniarka jest pod wrażeniem.

- Świetnie!

Kiedy wychodzi, tata uśmiecha się do mnie.

- Dobrze się spisałaś, Tess. Już po wszystkim, co?
- Chyba, że wyniki będą kiepskie.
- Nie będą.
- Wtedy każą mi przychodzić na punkcję co tydzień.
- Cicho. Postaraj się zasnąć, malutka. W ten sposób czas minie szybciej.

Bierze książkę i rozsiada się na krześle.

Pod powiekami przelatują mi punkciki światła jak ogniste nietoperze. Słyszę szum krwi, tętni niczym końskie kopyta na bruku. Za szpitalnymi oknami zapada mrok.

Tata przewraca kartkę.

Na obrazie za jego plecami dym unosi się niewinnie z komina wiejskiej chatki. Kobieta biegnie z twarzą wykrzywioną przerażeniem.

Rozdział siódmy

- Wstawaj! Wstawaj!- wrzeszczy Cal. Naciągam kołdrę na głowę, ale on ją zrywa.-

Tata mówi, że jeśli natychmiast nie wstaniesz, przyjdzie do ciebie z mokrą szmatą! Przewracam się na drugi bok, jednak on jest szybszy. Stoi nade mną i krzywi się w uśmiechu.

– Tata mówi, że masz wstawać każdego ranka i coś robić.

Wymierzam mu solidnego kopniaka i znów naciągam kołdrę na głowę.

– Gównu mnie to obchodzi, Cal! Wynocha.

Dziwne, że nie przejmuję się, kiedy wreszcie wychodzi. Następuje inwazja dźwięków- Cal dudni piętami, zbiegając po schodach, z kuchni słychać brzdęk naczyń, kiedy otwiera drzwi i nie zamyka ich za sobą. Dobiegają mnie różne odgłosy- mleka nalewanego do miski z płatkami, łyżki unoszonej w górę. Tata syczy ze zniecierpliwieniem., próbując zetrzeć ścierką plamę ze szkolnej koszulki Cala. Kot zeskakuje na podłogę. Słyszę, jak tata otwiera szafę i wyjmuje kurtkę mojego brata. Wkłada mu ją, zasuwa zamek błyskawiczny i zapina guzik pod szyją, żeby nie zamarznął. Dochodzi mnie odgłos cmoknięcia i zaraz potem słyszę westchnienie- wielka fala rozpaczony spływa na dom.

– Idź się pożegnać- prosi tata.

Cal hałasuje, wbiegając po schodach, zatrzymuje się na chwilę pod moimi drzwiami, a potem wchodzi i zbliża się do łóżka.

– Mam nadzieję, że umrzesz, kiedy będę w szkole!- syczy mi do ucha.- Umrzesz w męczarniach i pochowają cię w jakimś okropnym miejscu, na przykład w sklepie z rybami albo w gabinecie stomatologicznym.

Pa, braciszku, pa, pa.

Tata zostanie w kuchennym rozgardiaszu w szlafroku i kapciach, nieogolony i przecierający oczy, jakby dziwił się, że jest sam. W ciągu kilku ostatnich tygodni wypracował sobie poranną rutynę. Po wyjściu Cala parzy kawę, sprząta ze stołu, zmywa naczynia i włącza pralkę. Zajmuje mu to około dwudziestu minut. Potem przychodzi do mnie i pyta, czy dobrze spałam, czy jestem głodna i o której wstanę. Zawsze w tej samej kolejności. Odpowiadam: „Nie”, „Nie” i „Nigdy”, a wtedy on idzie się ubrać i schodzi na dół do komputera, przy którym przesiaduje godzinami, szukając w Internecie informacji, które mogą utrzymać mnie przy życiu. Mówiono mi, że proces żałoby dzieli się na pięć etapów. Jeśli to prawda, tata utknął na pierwszym: zaprzeczaniu.

Dzisiaj puka do mnie wcześniej niż zwykle. Nie zdążył wypić kawy ani pozmywać. Co się dzieje? Leżę nieruchomo, gdy wchodzi, cicho zamyka za sobą drzwi i zrzuca kapcie.

– Posuń się- prosi i unosi rąbek kołdry.

– Tato! Co robisz?

– Kładę się obok ciebie.

– Nie ma mowy!

Obejmuje mnie ramieniem tak, że nie mogę się ruszyć. Ma twarde kości. Czuję dotyk jego skarpetek na bosych stopach.

– Tato! Wynoś się z mojego łóżka!

– Nie.

Odpycham jego rękę i siadam, żeby mu się przyjrzeć. Cuchnie papierosami i piwem i wygląda starzej niż zazwyczaj. Słyszę bicie jego serca i nie podoba mi się to wszystko.

– Co ty wyprawiasz, do cholery?

– Nigdy ze mną nie rozmawiasz, Tesso.

– Myślisz, że to by coś zmieniło?

Wzrusza ramionami.

– Być może.

- Czy ty nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym weszła ci do łóżka, gdy śpisz?
- Robiłaś tak, kiedy byłaś mała. Mówiłaś, że to niesprawiedliwe, że musisz spać sama. Każdej nocy mama i ja braliśmy cię do naszego łóżka, bo czułaś się samotna.

To nieprawda, nic takiego nie pamiętam. Tata chyba zwariował.

- Jeśli nie wyjdiesz stąd, ja to zrobię.
- Świetnie- oznajmia.- Właśnie tego chciałem.
- A ty będziesz tak leżał?

Uśmiecha się i nurkuje pod kołdrą.

- Jest miło i ciepło.

Moje nogi są słabe. Niewiele wczoraj jadłam i mam wrażenie, że stałam się przezroczysta. Przytrzymuję się oparcia łóżka i kuśtykam do okna. Jest jeszcze wcześnie: księżyc błędnie na szarym niebie.

- Dawno nie widziałaś się z Zoey- mówi tata.
- Tak.

- Co się wydarzyło tamtej nocy, kiedy poszłyście do klubu? Pokłóciłyście się?

Patrzę na ogród. Pomarańczowa piłka Cala, z której uszło powietrze, wygląda jak jakaś planeta. Znów spostrzegam tego chłopaka. Przyciskam dłonie do szyby. Widuję go tam każdego ranka, jak grabi, kopie albo wałęsa się bez celu. Teraz przycina gałęzie żywopłotu i układa je na stosie, żeby spalić.

- Słyszysz mnie, Tesso?
- Tak, ale postanowiłam cię ignorować.
- Może powinnaś wrócić do szkoły. Spotkałabyś się z przyjaciółmi.

Odwracam się, żeby na niego spojrzeć.

- Nie mam przyjaciół i nie zamierzam ich szukać. Nie interesują mnie pocieszyciele, którzy tylko czekają, żeby mnie poznać i wyrazić współczucie na moim pogrzebie.

Tata wzdycha, podciąga kołdrę pod brodę i kręci głową.

- Nie powinnaś tak mówić. Cynizm ci nie służy.
- Przeczytałeś to gdzieś?
- Pozytywne nastawienie wzmacnia układ odpornościowy.
- Więc to moja wina, że jestem chora?
- Wcale tak nie myślę.
- Zachowujesz się tak, jakbym wszystko robiła źle.

Siada.

- Nieprawda!
- Właśnie, że tak, Krytykujesz sposób, w jaki umieram. Codziennie przychodzisz do mnie i każesz mi wstać, albo wziąć się w garść. Teraz wymyśliłeś powrót do szkoły. To śmieszne!

Przechodzę przez pokój, podnoszę jego kapcie i wkładam je. Są za duże, ale to nic. Tata opiera się na łokciach i spogląda na mnie. Ma taką minę, jakbym go uderzyła.

- Nie odchodź. Dokąd idziesz?
- Byle dalej od ciebie.

Z przyjemnością trzaskam drzwiami. Może sobie wziąć moje łóżko. Proszę bardzo. Niech tam leży i gnije.

Rozdział 8

Chłopak jest zaskoczony, kiedy wystawiam głowę zza płotu i wołam go. Jest starszy, niż myślałam. Wygląda na 18 lat. Ma ciemne włosy i zarost.

- Tak?
- Mogę coś dorzucić do ogniska?

Powoli idzie w moją stronę i przeciera dłonią czoło, jakby było gorąco. Ma brudne paznokcie i liście we włosach. Nie uśmiecha się. Podnoszę do góry dwa pudełka po butach, żeby mógł je zobaczyć. Sukienkę Zoey przewiesiłam przez ramię niczym flagę.

- Co tam jest?
- Głównie papiery. Mogę je przynieść?

Wzrusza ramionami, jakby mu to było obojętne, więc przechodzę przez furtkę i niski mur oddzielający nasze domy. Mijam jego ogród i idę za dom. Czeka tam na mnie i przytrzymuje furtkę. Waham się.

- Jestem Tessa.
- Adam.

Podążamy w milczeniu ścieżką. Wiem, co sobie teraz myśli. Że rzucił mnie chłopak i chce spalić jego listy. Na pewno nie dziwi się, że mnie to spotkało, bo wyglądam jak szkielet i mam łysą czaszkę. Spodziewam się ogniska, ale widzę tylko kupkę tłących się liści u gałązek. Dwa pełgające płomyki budzą jednak nadzieję.

- Liście były wilgotne- mówi.- Papier roznieci ogień.

Otwieram pierwsze pudełko i odwracam je do góry nogami.

Od dnia, w którym zauważyłam pierwszą rysę na plecach, do chwili, kiedy lekarze dali za wygraną, czyli dwa miesiące temu, pisałam dziennik. Cztery lata żalosego optymizmu idzie z dymem- piękny płomień! Kartki z życzeniami powrotu do zdrowia zwijają się na rogach, kruszą się i obracają się w proch. W ciągu czterech długich lat można zapomnieć imiona znajomych. Była taka pielęgniarka, która rysowała karykatury lekarzy i wieszała je przy moim łóżku, żeby mnie rozśmieszyć. Nie pamiętam, jak się nazywała. Louise? Miała inwencję. Ogień wypluwa iskry, które strzelają w stronę drzew.

- Zrzucam ciężar- oznajmiam Adamowi.

Ale on mnie chyba nie słucha. Taszczy jakieś gałęzie po trawie.

Największą odrazę budzi we mnie zawartość drugiego pudła. Są tam zdjęcia, które oglądam razem z tatą, rozkładając je na szpitalnym łóżku.

„Wyzdrowiejesz”- powtarzał, przesuwając palcem po fotografii przedstawiającej mnie w wieku jedenastu lat. Świadoma swojego wyglądu dziewczynka w szkolnym mundurku. Pierwszy dzień w szkole średniej.- A tu jesteś w Hiszpanii- mówi.- Pamiętasz ten wyjazd?” Byłam szczupłą, opalona, pełna nadziei. Po raz pierwszy przechodziłam remisję. Jakiś chłopak gwizdnął na mój widok na plaży. Tata zrobił to zdjęcie w przekonaniu, że nie będę chciała zapomnieć pierwszego gwizdnięcia. Teraz chcę.

Nagle nachodzi mnie ochota, aby pobiec do domu i przynieść coś jeszcze. Ubrania, książki.

- Mogę wpaść następnym razem, kiedy będziesz coś palił?- pytam.

Adam przytrzymuje butem koniec gałęzi i łamie ją nad ogniem.

- Dlaczego pozbywasz się tych wszystkich rzeczy?

Zwijam w kłębek sukienkę Zoey; mieści się w mojej dłoni. Rzucam ją w ogień. Materiał rozbłyskuje się, zanim ulega unicestwieniu. Topi się jak plastik.

- Niebezpieczna kiecka- stwierdza Adam i patrzy mi prosto w oczy, jakby czegoś się domyślał.

Materia składa się z cząsteczek. Im bardziej solidna wydaje się jakaś rzecz, tym większa jest gęstość tworzących ją cząsteczek. Ludzie robią wrażenie posiadających solidną konstrukcję,

tymczasem w środku mają wodę. Może przebywanie zbyt blisko ognia wpływa na układ moich cząsteczek, bo nagle zaczyna kręcić mi się w głowie, czuję się lżejsza. Nie wiem, co mi jest- może to z powodu złego odżywiania się- ale odnoszę wrażenie, że nie jestem osadzona w ciele. Ogród nieoczekiwanie się rozjaśnia. Podobnie jak iskry strzelające z ogniska i osiadające na moich włosach oraz na ubraniu zgodnie z prawem grawitacji, wszystkie ciała, które zostały wyrzucone w górę, muszą upaść na ziemię.

Nagle odkrywam, że leżę na trawę i patrzę w górę na bladą, otoczoną chmurami twarz Adama. Przez chwilę nie jestem w stanie sobie przypomnieć, co się stało.

– Nie ruszaj się- mówi. – Chyba zemdlałaś.

Chcę coś powiedzieć, ale nie mogę sprawnie poruszać językiem. Znacznie łatwiej jest po prostu leżeć.

– Masz cukrzycę? Potrzebujesz cukru? Masz colę.

Siada obok i czeka aż się podniosę. Częstoje mnie napojem. Zaczyna mi szumieć w głowie, kiedy cukier dociera do mózgu. Czuję się niesamowicie lekko, jak duch, a jednocześnie jestem w lepszym humorze. Oboje wpatrujemy się w ogień. Zawartość moich pudełek spłonęła: kartony obróciły się w zwęglone szczątki. Sukienka zamieniła się w popiół. Z ogniska został tylko żar, dostatecznie jasny, żeby przyciągnąć ćmę. Głupi owad tańczy nad żarzącymi patykami. Kiedy trąca je skrzydełkami, w jednej chwili obraca się w proch. Patrzymy w miejsce, w którym zniknęła ćma.

– Dużo pracujesz w ogrodzie- mówię.

– Lubię to.

– Obserwuję się. Widzę przez okno, jak kopiesz i tak dalej.

– Obserwujesz mnie? Dlaczego?- Adam wygląda na zaniepokojonego.

– Lubię na ciebie patrzeć.

Marszczy brwi, jakby usiłował zrozumieć, co mam na myśli. Odnoszę wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale zamiast tego odwraca głowę i spogląda na ogród.

– Mam zamiar założyć ogródek warzywny w tamtym rogu- oznajmia.- Posadzę groszek, kapustę, sałatę, fasolę. Wszystko, co mi wpadnie w ręce. Robię to bardziej dla mamy niż dla siebie.

– Dlaczego?

Wzrusza ramionami i patrzy na okna, jakby mówienie o niej mogło ją przywołać.

– Lubi ogrody.

– A twój tata?

– Nie mieszka z nami.

Zauważyłam cienką strużkę krwi na jego rękę. Podąża za moim wzrokiem i wyciera o dzinsy.

– Powinienem już wracać do pracy- stwierdza.- Dasz sobie radę? Możesz dopić colę. Towarzyszy mi, kiedy powoli idę ścieżką w stronę furtki. Cieszę się, że spaliłam zdjęcia i dziennik. Sukienka Zoey też poszła z dymem. Czuję się tak, jakbym zrobiła miejsce dla czegoś nowego.

Przy furcie odwracam się do Adama.

– Dzięki za pomoc.

– Zawsze do usług.

Wkłada ręce do kieszeni, uśmiecha się i wbija wzrok w buty, ale jestem pewna, że mnie widzi.

Rozdział 9

- Nie wiem, dlaczego państwa tutaj przysłano- mówi kobieta w rejestracji.
- Proszono nas, żebyśmy się zgłosili- tłumaczy tata.- Dzwoniła do mnie sekretarka doktora Ryana.
- Ale to nie tutaj- protestuje tamta.- I nie dzisiaj.
- Tutaj- upiera się tata.- I dzisiaj.

Recepcjonistka prychna i zagląda do komputera.

- Punkcja lędźwiowa?
- Nie.- Tata jest coraz bardziej rozdrażniony.- Czy doktor Ryan jest dzisiaj w pracy?

Siadam w poczekalni i zostawiam ich. Są tutaj wszyscy podejrzani. Grupa osób w czapkach w kącie, podłączonych do przenośnych kroplówek z chemią. Rozmawiają o rozwolnieniu i wymiotach. Chłopiec trzymający matkę za rękę. Odrastają mu włosy, tak jak mnie. I dziewczyna pozbawiona brwi, która udaje, że czyta. Namalowała sobie ołówkiem kreski nad okularami. Widzi, że na nią patrzę, i uśmiecha się, ale ja nie zamierzam się bratać. Nie nawiązuję kontaktów z umierającymi. Przynoszą pecha. Kiedyś zaprzyjaźniłam się z jedną dziewczyną. Miała na imię Angela. Codziennie pisałyśmy do siebie e-maile, a potem ona nagle przestała odpisywać. Jej matka zadzwoniła w końcu do mojego taty i powiedziała, że Angela nie żyje. Po prostu. Umarła i nic mi o tym nie powiedziała. Postanowiłam wtedy, że nie będę tu szukała znajomych.

Biorę do ręki czasopismo, ale nie mam czasu go otworzyć, bo tata już klepie mnie w ramię.

- Oczyszczony z zarzutów!- oznajmia.
- Co?
- To my mieliśmy rację.- Macha wesoło do kobiety w rejestracji, pomagając mi się podnieść.- Ta idiotka nie odróżnia łokcia od tyłka. Idziemy na audiencję!

Doktor Ryan ma czerwoną plamę na brodzie. Nie mogę odwrócić od niej wzroku, kiedy siadamy naprzeciwko niego przy biurku. Zastanawiam się, czy jest to sos do makaronu czy zupa? Może właśnie skończył operację? Mam nadzieję, że nie jest to surowe mięso.

- Dziękuję, że przyszlście- mówi i podpira dłońmi kolana.

Tata przysuwa krzesło bliżej i trąca mnie nogą. Z trudem przełykam ślinę, walcząc z chęcią ucieczki. Jeśli nie będę słuchała, nie dowiem się, co ma nam do powiedzenia, a jego słowa mogą okazać się nieprawdziwe.

Ale doktor Ryan nie waha się, kontynuuje stanowczym tonem:

- Tesso, nie mam dobrych wiadomości. Ostatnia punkcja lędźwiowa wykazała, że rak przedostał się do płynu rdzeniowo- kręgowego.
- Czy do źle?- próbuję żartować.

Jednak on się nie śmieje.

- To bardzo źle, Tesso. Choroba zaatakowała centralny układ nerwowy. Wiem, że trudno ci tego słuchać, ale proces postępuje szybciej, niż sądziliśmy.
- Proces?

Doktor prostuje się na krześle.

- Choroba się rozprzestrzeniła.

Za jego biurkiem znajduje się wielkie okno, widzę w nim dwa wierzchołki drzew. Wpatruję się w gałęzie, usychające liście i skrawek nieba.

- Jak bardzo?
- Mogę tylko zapytać, jak się czujesz. Czy łatwiej się męczysz, jesteś senna? Odczuwasz ból w nogach?

- Trochę.
- Nie powinienem za ciebie decydować, ale zachęcam cię, żebyś robiła to, na co masz ochotę.

Doktor urządził nam pokaz slajdów, jakby to były zdjęcia z wakacji. Pokazuje małe, ciemne plamki, zmiany chorobowe, lepkie ciała poruszające się swobodnie w przestrzeni. Wygląda to tak: jakby ktoś wpuścił mi do środka dziecko, podarował mu pędzel i czarną farbę i pozwolił uprawiać radosną twórczość.

Tata bardzo stara się nie rozpłakać.

- Co teraz będzie?- pyta i wielkie łzy cicho spadają na jego kolana. Doktor podaje mu chusteczkę.

Za oknem pierwsze krople deszczu rozpryskują się na szybie. Liść porwany przez wiatr zwija się i nagle rozbłyskuje czerwienią oraz złotem. Opada na ziemię.

- Tessa może zareagować na intensywną terapię wewnątrzpłynową. Sugeruję stosowania metotreksau i hydrokortyzonu przez cztery tygodnie. Jeśli uzyskamy poprawę, objawy choroby zostaną złagodzone i będziemy mogli kontynuować terapię podtrzymującą.

Lekarz mówi dalej, a tata słucha, lecz ja już nic nie słyszę.

To się stanie naprawdę. Uprzedzali, że tak będzie, ale nastąpi szybciej, niż się spodziewali. Nie wrócę do szkoły. Nigdy. Nigdy nie będę sławna ani nie zostawię po sobie nic wartościowego. Nie pójdę do college'u i nie podejmę pracy. Nie zobaczę, jak mój brat dorasta. Nie będę podróżować, zarabiać, prowadzić samochód, nie zakocham się i nie wyprowadzę z domu.

To się stanie. Tak.

Ta myśl przenika mnie całą. Wchodzi przez stopę i rozrywa moje ciało, wypiera wszystko, nie mogę myśleć o niczym innym. Wypełnia mnie jak milczący krzyk. Tak długo już jestem chora, puchnę i mam mdłości, plamy na skórze, łamiące się paznokcie, tracę włosy i wciąż chce mi się rzygać. To niesprawiedliwe. Nie chcę teraz umierać, pragnę najpierw dobrze pożyć. Nagle wszystko staje się jasne i oczywiste. Niemal budzi się we mnie nadzieja. To czysty obłąd. Chcę doświadczyć życia, zanim umrę. Tylko to ma sens.

W tej samej chwili odzyskuję ostrość widzenia.

Doktor opowiada o nowych lekach, nad którymi prowadzone są badania. Nie pomogą mi, ale mogą pomóc innym pacjentom. Tata cicho płacze, a ja wyglądam przez okno i zastanawiam się, dlaczego tak szybko zapada zmrok. Która godzina? Jak długo tu siedzimy? Patrzą na zegarek- wpół do czwartej, a wygląda tak, jakby był już wieczór. Jest październik. Wszystkie dzieci wróciły do szkoły z nowymi tornistrami i piórnkami. Na pewno wyczekują końca semestru. Jak to szybko zleciało. Niedługo Halloween, a potem fajerwerki. Święta Bożego Narodzenia. Wiosna. Wielkanoc. Później maj i moje urodziny. Skończę siedemnaście lat.

Jak długo jeszcze będę żyła? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że mam wybór- mogę zagrzebać się w pościeli i poddać się umieraniu albo spisać na nowo swoją listę i żyć pełną piersią.

Rozdział 10

- Hej! Wstałaś!- woła tata. Potem dostrzega moją minisukienkę i zaciska usta.
- Pozwól mi zgadnąć. Umówiłaś się z Zoey?
- A coś w tym złego?

Popycha w moją stronę witaminy na kuchennym stole.

- Nie zapomnij.- Zwykle przynosi mi je na tacy, lecz dzisiaj nie musi robić sobie kłopotu. Można by pomyśleć, że go to ucieszy, ale przygląda mi się tylko, jak połykam tabletkę za tabletką.

Witamina E przyspiesza regenerację organizmu wycieńczonego naświetleniami. Witamina A zapobiega skutkom promieniowania na układ trawienny. Śliska substancja zastępuje śluz wypełniający wszystkie kanały w moim ciele. Krzem wzmacnia kości. Potas, żelazo i miedź wspomagają układ odpornościowy. Aloes wpływa na ogólną poprawę stanu zdrowia.

Jeszcze czosnek- tata przeczytał gdzieś, że jego właściwości nie zostały do końca zbadane. Nazywa go witaminą X. Popijam to wszystko naturalnym sokiem pomarańczowym z łyżeczką miodu. Mniem, mniem.

Z uśmiechem odsuwam tacę w stronę taty. Wstaje i odkłada ją do zlewu.

- Odniosłem wrażenie- mówi, odkręcając kran i zalewając miskę wodą- że miałaś wczoraj mdłości i wrócił ból.
- Już mi przeszło.
- Nie wydaje ci się, że powinnaś odpoczywać?

Witamina E przyspiesza regenerację organizmu wycieńczonego naświetleniami. Witamina A zapobiega skutkom promieniowania na układ trawienny. Śliska substancja zastępuje śluz wypełniający wszystkie kanały w moim ciele. Krzem wzmacnia kości. Potas, żelazo i miedź wspomaga układ odpornościowy. Aloes wpływa na ogólną poprawę stanu zdrowia. Jeszcze czosnek – tata przeczytał gdzieś, że jego właściwości nie zostały do końca zbadane.

Nazywam go witaminą X. Popijam to wszystko naturalnym sokiem pomarańczowym z łyżeczką miodu. Mniem, mniem.

Z uśmiechem odsuwam tacę w stronę taty. Wstaje i odkłada ją do zlewu.

- Odniosłem wrażenie- mówi, odkręcając kran i zalewając miskę wodą- że miałaś wczoraj mdłości i wrócił ból.
- Już mi przeszło.
- Nie wydaje ci się, że powinnaś odpoczywać?

Wkroczyliśmy na śliski grunt, więc pośpiesznie zmieniam temat i zwracam uwagę na Cala gmerającego łyżką w rozmokłych płatkach kukurydzianych. Ma minę równie ponurą jak tata.

- Co ci jest?- pytam.
- Nic.
- Jest sobota. Powinieneś się cieszyć!

Patrzy na mnie wojowniczo.

- Zapomniałaś, prawda?
- O czym?
- Obiecałaś, że zabierzesz mnie na zakupy w połowie semestru. Mówiłaś, że weźmiesz swoją kartę kredytową.- Cal zaciska powieki.
- Wiedziałem, że tylko tak gadasz.
- Uspokój się!- W głosie taty pobrzmiwa ostrzegawczy ton, jak zwykle, kiedy Cal zaczyna się unosić.
- Rzeczywiście, obiecałam ci, ale dzisiaj nie dam rady.

Patrzy na mnie z wściekłością.

- Ale ja chcę!

Nie mam wyjścia. Drugą pozycją na mojej liście jest poświęcenie jednego dnia na spełnianie życzeń innych, niezależnie od tego, kto i o co prosi.

Spoglądam na rozjaśnioną nadzieją buzię Cala, kiedy kiedy wychodzimy przez furtkę, i

nagle ogarnia mnie strach.

- Wyślę sms-a do Zoey- oznajmiam.- Powiadomię ją, że wychodzimy.

Cal mówi, że nie cierpi Zoey, ale ja nie mogę się dzisiaj bez niej obejść. potrzebuję jej energii. Gdy jestem z Zoey, wydarzenia w szybkim tempie następują jedno po drugim.

- Chcę pójść na plac zabaw.- kaprysi Cal.
- Nie jesteś na to za duży?
- Nie. Będzie fajnie.

Często zapominam, że on jest jeszcze dzieckiem i nie wyrósł z huśtawek, karuzeli i podobnych spraw. Dochodzę do wniosku, że w parku nie przydarzy nam się nic złego. Zoey odpisuje, że i tak by się spóźniła, więc przyjdzie po nas na plac zabaw.

Siadam na ławce i patrzę, jak Cal wspina się po płataninie sznurów przypominającej sień pajęczą. Z tej odległości wydaje się malutki.

- Wejdę jeszcze wyżej!- krzyczy.- Mam się wspiąć na samą górę?
- Tak!- odpowiadam, bo postanowiłam również nie sprzeciwiać się nikomu.
- Można stąd zajrzeć do samolotu! Chodź zobaczyć!

Trudno jest się wspinać w minisukience. Pajęczyna chwieje się i muszę zrzucić pantofle. Cal śmieje się ze mnie.

- Na samą górę!- rozkazuje.

Jest cholernie wysoko, a jakiś dzieciak z buzią jak autobus szarpie liny na dole. Wdrapuję się coraz wyżej, mimo bólu ramion.

Chcę zajrzeć do samolotu. Pragnę zobaczyć wiatr i schwytać ptaka.

Udało się. Widzę wieżę kościoła oraz drzewa otaczające park i kasztany, które lada moment otworzą się z trzaskiem. Powietrze jest czyste, odnoszę wrażenie, że do chmur mam tak blisko, jak z wierzchołka wielkiej góry. Patrzę na twarze ludzi stojących na dole.

- Wysoko, co?- cieszy się Cal.
- Tak.
- Pójdziemy teraz na huśtawki?
- Tak.

Zgadzam się na wszystko, o co poprosisz, Cal, ale najpierw pozwól mi poczuć powiew wiatru na twarzy. Chcę obserwować krzywiznę ziemi, kiedy powolutku okrążamy słońce.

- Mówiłem ci, że będzie fajnie!- Buzia Cala promienieje.- Chodźmy teraz gdzieś indziej!

Przed wiszącymi huśtawkami ustawia się kolejka, więc siadamy na dwuosobowej. Wciąż jeszcze jestem cięższa niż on, pozostałam dużą siostrą, więc uderzam mocno o ziemię, aż Cal podskakuje wysoko i z powrotem opada na siedzenie. Pęka przy tym ze śmiechu. Będzie miał siniaki na pupie, ale to nie szkodzi. Muszę tylko zgadzać się na wszystko. Zaglądamy do małego domku na szczycie drabiny ustawionej w piaskownicy. Mieścimy się w nim z trudem. Siadam na motorze przymocowanym do wielkiej sprężyny, który kołysze się szaleńczo na boki. Uderzam kolanem o ziemię. Biegniemy na wspartą na palach drewnianą deskę i udajemy akrobatów. Chodzimy wzdłuż liter alfabetu, ułożonych w kształcie węża. Gramy w klasy i bujamy się na drążkach. Potem znów biegniemy na huśtawki, Grupa mamusi wyposażonych w chusteczki i trzymających za ręce tłuste dzieciaki, przygląda mi się z niesmakiem, kiedy wyprzedzam Cala w biegu i dopadam jedynej wolnej huśtawki. Wiatr podwiewa mi sukienkę, odsłaniając uda. Śmiesz mnie to. Odchylam się w tył i unoszę się jeszcze wyżej. Może jeśli wzniosę się dostatecznie wysoko, świat się zmieni.

Nie zauważam, kiedy pojawia się Zoey. Dopiero Cal mi ją pokazuje, opartą o bramkę przed placem zabaw i przyglądająca nam się. Może długo tak czeka. Ma na sobie podkoszulkę z

dekoltem i spódnicę, która ledwo zakrywa pupę.

- Dzień dobry- rzuca, kiedy podchodzimy.- Widzę, że zaczęliście beze mnie.

Olewam się rumieńcem.

- Cal namówił mnie na huśtawki.
- A ty się, oczywiście, zgodziłaś.
- Tak.

Zoey patrzy z namysłem na Cala.

- Idziemy na rynek- informuje.- Będziemy kupować ciuchy i gadały o miesiączce. Nudy, co?

Cal spogląda na nią spode łba. Na buzi ma brudne smugi.

- Chcę do magicznego sklepiku.
- Świetnie, idź. Na razie.
- Musi pójść z nami- wtrącam się. - Obiecałam mu to.

Zoey wzdycha i odchodzi. Cal i ja podążamy za nią.

Była jedyną dziewczyną w klasie, która nie przestraszyła się mojej choroby. Tylko ona potrafi zachowywać się tak, jakby nie było napadów, nikt nikogo nie zadźgał nożem, autobusy nigdy nie wjeżdżały na chodnik, a choroby nie istniały. Kiedy jestem z Zoey, czuję, że wszyscy się mylą i wcale nie umieram. To ktoś inny jest chory.

- Zakręć tyłkiem- rozkazuje mi przez ramię.- No, dalej, ruszaj biodrami, Tesso!

Ta kiecka jest naprawdę krótka. Słyszę dźwięk klaksonu, grupa chłopaków gapi się na moje cycki i tyłek. Nie odrywają od nich wzroku.

- Dlaczego musisz robić to, co ona ci każe?- pyta Cal.
- Bo tak chcę.

Zoey jest zachwycona. Czeka na nas i bierze mnie pod rękę.

- Wybaczam ci- mówi.
- Co?

Nachyla się i szepcze konspiracyjnie:

- Twoje okropne zachowanie po tym beznadziejnym seksie z Jakiem.
- Nie zachowywałam się okropnie.
- Właśnie, że tak, ale już ci wybaczyłam.
- Niegrzecznie jest szeptać!- oburza się Cal.

Zoey wypycha go do przodu i przyciąga mnie do siebie.

- Powiedz, jak daleko jesteś w stanie się posunąć?- pyta.- Zrobisz sobie tatuaż, jak ci każę?
- Tak.
- Spróbujesz narkotyków?
- Jasne.
- Powiesz temu gościowi, że go kochasz?

Facet, którego mi pokazuje, jest łysy i starszy od mojego taty. Wychodzi z kiosku i zdziera celofan z paczki papierosów. Opakowanie spada na ziemię.

- Tak.
- Więc zrób to.

Mężczyzna wyjmuje papierosa, zapala go, zaciąga się dymem. Podchodzę, a on odwraca się w moją stronę z lekkim uśmiechem. Pewnie spodziewał się kogoś znajomego.

- Kocham cię- mówię.

Marszczy brwi. Dostrzega chichoczącą Zoey.

- Spadaj- warczy.- Cholerna idiotka.

Jest fantastycznie. Obejmujemy się z Zoey i śmiejemy się do rozpuku. Cal krzywi się zniesmaczony.

- Możemy stąd iść?- pyta.

Na rynku jest tłum. Wszyscy się przepychają, jakby mieli same pilne sprawy do załatwienia. Stare, grube kobiety poszturchują mnie koszykami na zakupy, wszędzie pełno rodziców z dziećmi. Staję pośrodku w szarym świetle dnia i czuję się tak, jakbym śniła. Nie mogę się poruszyć, mam wrażenie, że stopy przyrosły mi do chodnika, a nogi są z ołowiu. Obok przechodzą chłopcy z kapturami naciągniętymi na głowę i twarzami pozbawionymi wyrazu. Mijają mnie dziewczyny, z którymi kiedyś chodziłam do jednej klasy. Nikt mnie nie poznaje; już tyle czasu minęło od mojego ostatniego pobytu w szkole. Powietrze jest przesycone zapachem hot dogów, hamburgerów i cebuli. Wszystko jest na sprzedaż- pieczone kurczaki powieszzone za nogi, flaki i podroby wywalone na tacach, rozcięte świniaki ukazujące żebra. Tkaniny, wełna, koronki i zasłony. Na stoisku z zabawkami podskakują szczekające pieski, a żołnierzyki grają na cymbałkach. Handlarka uśmiecha się do mnie i pokazuje wielką plastikową lalkę owiniętą celofanem:

- Oddam za dziesiątaka, złotko.

Odwracam się, udając, że nie słyszałam.

Zoey patrzy na mnie karcąco.

- Miałaś się zgadzać na wszystko. Następnym razem kupisz to, co ci zaproponują, tak?
- Tak.
- Dobrze. Wracam za chwilę- mówi i znika w tłumie.

Nie chcę jej tracić z oczu. Potrzebuję jej. Jeśli zaraz się nie pojawi, jedynym osiągnięciem tego dnia będzie przejażdżka na karuzeli i kilka gwizdów chłopaków mijanych po drodze na rynek.

- Dobrze się czujesz?- pyta Cal.
- Tak.
- Źle wyglądasz.
- Nic mi nie jest.
- A ja się nudzę.

Niedobrze, bo jeśli powie, że chce do domu, będę musiała się zgodzić.

- Zoey zaraz wróci. Możemy pojeździć autobusem po mieście i zajrzeć do magicznego sklepiku.

Cal wzrusza ramionami i wpycha ręce do kieszeni.

- Na pewno się nie zgodzi.
- Pooglądaj sobie zabawki.
- Są głupie.

Jak to? Przychodziłam tu dawniej z tatą, żeby je zobaczyć. Wydawały mi się wtedy zachwycające.

Wraca Zoey. Jest wkurzona.

- Scott łąze jak pies.
- Kto?
- Scott. Mówił, że pracuje na stoisku, ale nigdzie go nie ma.
- Ten ćpun? Kiedy z nim rozmawiałaś?

Zoey patrzy na mnie, jakbym była wariatką i ponownie się oddała. Podchodzi do mężczyzny, stojącego przy straganie z owocami i przechyla się przez ladę, żeby z nim porozmawiać. Facet wlepia wzrok w jej piersi.

Podchodzi do mnie jakaś kobieta. Niesie kilka plastikowych toreb. Patrzy mi prosto w oczy, a ja nie odwracam wzroku.

- Dziesięć kawałków wieprzowiny, trzy paczki wędzonego boczku i pieczony kurczak-szepcze.- Bierzesz?
- Tak.

Podaje mi torbę i drapie się po nosie, kiedy szukam pieniędzy. Daję jej pięć funtów, a ona grzebie w kieszeni i wydaje mi dwa.

- Prawdziwa okazja- oznajmia.

Cal wygląda na wystraszonego.

- Dlaczego to zrobiłaś?
- Cicho bądź- mówię, bo nie muszę przecież być zadowolona ze wszystkiego, na co się dzisiaj zgadzam. Zostało mi tylko dwanaście funtów i rozważam, czy mogę nieco zmienić zasady i zgadzać się tylko na to, co jest dostępne za darmo. Krew ścieka z torby na moje stopy. Zastanawiam się, czy muszę zatrzymać wszystko, co kupię.

Wraca Zoey, dostrzega torbę i zabiera mi ją.

- Co to jest, do cholery?- zagląda do środka. - Wygląda jak zarżnięty pies.- Wrzuca pakunek do kosza, a potem odwraca się do mnie z uśmiechem.- Znalazłam Scotta. Jednak tu pracuje. Jest z nim Jake. Idziemy.

Przepychamy się przez tłum, a Zoey mówi mi, że spotkała się ze Scottem kilka razy po tamtej nocy spędzonej w ich domu. Nie patrzy na mnie.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?
- Wypadłaś z gry na cztery tygodnie! Zresztą nie chciałam cię wkurzać.

Przeżywam szok, widząc chłopaków w świetle dnia, stojących za straganem, na którym rozłożone są latarki, tostery, zegary i czajniki. Wyglądają na starszych, niż mi się zdawało. Zoey przechodzi na drugą stronę stoiska, żeby porozmawiać ze Scottem. Jake kiwa do mnie głową.

- W porządku?- pyta.
- Tak.
- Przyszłaś na zakupy?

Wygląda inaczej niż przedtem- jest spocony trochę spięty. Podchodzi jakaś kobieta i muszę się cofnąć razem z Calem, żeby ją przepuścić. Kupuje cztery baterie. Kosztują funta. Jake pakuje je do plastikowej torby i przyjmuje pieniądze. Kobieta odchodzi.

- Potrzebujesz baterii?- pyta. Nie patrzy mi w oczy.- Nie musisz płacić.

Jest coś takiego w tonie jego głosu, co sugeruje, że robi mi wielką przysługę, jakby byłoby mu mnie żal chciał pokazać, że porządny z niego gość. Czuję, że on wie. Zoey mu powiedziała. Widzę w jego oczach litość i poczucie winy. Kochał się z umierającą dziewczyną i teraz się boi. Może to jest zaraźliwe? Moja choroba otarła się o niego i teraz czyha, żeby zaatakować.

- To co?- Jake bierze do ręki paczkę baterii macha mi nią przed oczami.
- Wezmę je.- Słowa same wychodzą mi z ust. Muszę ukrywać rozczarowanie, więc chwytam szybko te głupie baterie i wrzucam je do torebki.

Cal szturcha mnie w żebro.

- Możemy już iść?
- Tak.

Zoey obejmuje Scotta w pasie.

- Nigdzie nie idziemy.- mówi.- Pojedziemy do nich. Za pół godziny mają przerwę na lunch.

- Zabieram Cala na wycieczkę po mieście.

Zoey zbliża się do mnie z uśmiechem. Wygląda ślicznie, tak jakby Scott ją rozgrzał.

- Miałaś się zgadzać na wszystko- protestuje.
- Cal pierwszy mnie poprosił.

Zoey marszczy brwi.

- Mają działkę ketaminy. Wszystko już załatwiłam. Możesz wziąć ze sobą Cala. Dadzą mu coś do zabawy, na przykład PlayStation.
- Powiedziałaś Jake'owi.
- O czym?
- O mnie.
- Wcale nie.

Rumieni się, więc rzuca papierosa i przydeptuje go, żeby nie patrzeć mi w oczach.

Wyobrażam sobie, jak to zrobiła. Pojechała do nich. Zrobili razem skręta. Zoey upierała się, żeby pozwolili jej wziąć pierwszego macha. Zaciągnęła się, a oni na nią patrzyli. Potem podała papierosa Scottowi i zapytała: „Pamiętacie Tessę?”

A potem im powiedziała. Może nawet się przy tym popłakała. Jestem pewna, że Scott ją przytulił, a Jake zaciągnął się głęboko, żeby o tym nie myśleć.

Biorę Cala za rękę i odchodzimy. Jak najdalej od Zoey, jak najdalej od rynku. Ciągnę go za sobą po schodach i wychodzimy na ścieżkę biegnącą wzdłuż kanału.

- Dokąd idziemy?- jęczy.
- Cicho bądź.
- Boję się ciebie.

Spoglądam na niego obojętnie.

Czasem mi się śni, że chodzę po domu i nikt mnie nie poznaje. Mijam tatę, który uprzejmie kiwa głową na mój widok, jakbym przyszła posprzątać dom, a może raczej hotel. Cal przygląda mi się podejrzliwie, kiedy wchodzę do swojego pokoju. Nie ma tam moich rzeczy, widzę za ro obcą dziewczynę w kwiecistej sukience. Ma ładne usta i policzki jędrne jak jabłka. „To moje równoległe życie”- myślę. Jestem w nim zdrowa, a Jake cieszy się, że mnie poznał.

W prawdziwym życiu prowadzę brata ścieżką do kafejki z widokiem na kanał.

- Będzie fajnie- pocieszam go.- Zamówimy lody, gorącą czekoladę i colę.
- Nie wolno ci jeść słodczy. Powiem tacie.

Ściskam go za rękę. Na drodze stoi jakiś mężczyzna. Ma na sobie piżamę. Patrzy na wodę. Papieros pai mu się w ustach.

- Wracajmy do domu- prosi Cal.

Ale ja chcę mu pokazać szczury na ścieżce, liście opadłe z krzykiem drzew, sposób, w jaki ludzie unikają tego, co trudne, mężczyznę w piżamie, który jest bardziej prawdziwy niż Zoey biegnąca za nami ze swoją wielką buzią i idiotycznymi blond włosami.

- Odejdź- mówię do niej, nie odwracając się.

A ona łapie mnie za ramię.

- Dlaczego musisz ze wszystkiego robić problem?

Wyszarpuję rękę.

- Nie wiem, Zoey. Jak myślisz?
- To żadna tajemnica. Mnóstwo ludzi wie, że jesteś chora. Jake'owi to nie przeszkadzało, ale teraz uważa, że jesteś stuknięta.
- Jestem stuknięta.

Patrzy na mnie, mrużąc oczy.

- Odpowiada ci to, że jestem chora.
- Tak myślisz?
- Możesz łamać wszelkie reguły.
- Masz rację, to świetne uczucie. Chcesz się zamienić?
- Wszyscy kiedyś umrą- mówi, jakby to było jej odkrycie i jakby nie miała nic przeciwko własnej śmierci.

Cal ciągnie mnie za rękaw.

- Popatrz!

Człowiek w pizamie wszedł do kanału. Brodzi w płytkiej wodzie, machając rękami. Patrzy na nas obojętnie i nagle uśmiecha się, ukazując złote zęby. Czuję łaskotanie na plecach.

- Popływacie ze mną, moje panie?- woła. Ma szkocki akcent. Nigdy nie byłam w Szkocji.
- Idź do niego- rzuca Zoey.- No, dlaczego nie wchodzisz do wody?
- To polecenie?

Uśmiecha się złośliwie.

- Tak.

Zerkam na kawiarniane stoliki. Ludzie na nas patrzą. Pomyślałam, że jestem wariatką, mam kompletnego świra. Podciągam sukienkę i wpycham ją sobie w majtki.

- Co robisz?- syczy Cal.- Wszyscy się gapią!
- Udawaj, że nie jesteś ze mną.
- Jak chcesz!- Siada na trawie, a ja zdejmuję buty.

Zanurzam duży palec w wodzie. Jest tak lodowata, że aż ciarki przechodzą. Zoey dotyka mojego ramienia.

- Nie rób tego, Tess. Żartowałam. Nie bądź głupia.

Czy ona nic nie rozumie?

Zanurzam się w wodzie do bioder. Kaczki uciekają w popłochu na mój widok. Nie jest głęboko, wyczuwam muł na dnie i jakieś śmieci. W tym kanale pływają szczury. Ludzie wyrzucają tu puszki po konserwach, torby na zakupy, igły u zdechłe psy. Miękkie błoto oblewa mi palce.

Mężczyzna ze złotym zębem macha do mnie i rusza w moją stronę, śmiejąc się i rozchlapując wodę na boki.

- Grzeczna dziewczynka- stwierdza.

Jego sine usta rozjaśnia błysk metalu. Ma ranę na głowie, krew cienką strużką spływa mu z włosów na oczy. Na ten widok robi mi się jeszcze zimniej.

Jakiś człowiek wychodzi z kawiarni z ręcznikiem.

- Hej!- krzyczy. - Wychodź natychmiast.

Ma na sobie fartuch. Widzę, jak faluje mu brzuch, kiedy nachyla się, pomagając mi wyjść z wody.

- Oszalałaś? Zachorujesz.- Odwraca się do Zoey.- Jesteście razem?
- Przepraszam- mówi Zoey.- Nie mogłam jej powstrzymać.- Potrząsa głową, żeby go przekonać o swojej niewinności. Nienawidzę jej za to.
- Nie jesteśmy razem- oświadczam.- Nie znam jej.

Zoey zastyga, a facet z kawiarni odwraca się do mnie. Nic nie rozumie. Podaje mi ręcznik, żebym wytarła nogi. Potem powtarza, że zwariowałam. Mówi, że wszyscy młodzi ludzie są stuknięci. Patrzę, jak Zoey odchodzi. Robi się coraz mniejsza, aż w końcu znika.

Mężczyzna pyta o moich rodziców, chce wiedzieć, czy znam człowieka ze złotymi zębami, który wyłazi teraz z kanału na drugi brzeg i śmieje się do siebie ja szaleniec. Mój wybawca

dużo krzyczy, ale prowadzi mnie do stolika, każe mi usiąść i przynosi gorącą herbatę. Wrzucam trzy kostki cukru i popijam małymi łyżkami. Ludzie wciąż się na mnie patrzą. Cal jest przestraszony i wydaje mi się jeszcze mniejszy niż w rzeczywistości.

– Co ty wyprawiasz?- szepcze.

Będę za nim tęskniła tak bardzo, że ma, ochotę zrobić mu krzywdę. Chcę go zabrać do domu i oddać tacie, zanim popełnię jakieś głupstwo. Ale w domu jest nudno. Mogę się zgadać na wszystko, bo tata i tak nie prosi, żebym zrobiła coś, co ma jakieś znaczenie. Herbata mnie rozgrzewa. Moja skóra zmienia barwę z szarej na opaloną i na odwrót. Nawet pogoda nie może się zdecydować i zmienia się z chwili na chwilę.

– Chodź, złapiemy autobus- mówię.

Wstaję, przytrzymuję się krawędzi stolika i wkładam buty. Ludzie udają, że na mnie nie patrzą, ale czuję na sobie ich wzrok. Dzięki temu wiem, że żyję.

Rozdział 11

– Czy to prawda? - pyta Cal, kiedy idziemy razem do autobusu.- Lubisz być chora?

– Czasami.

– Dlatego wskoczyłaś do wody?

Zatrzymuję się i patrzę na niego, na jego błękitne oczy z szarymi cętkami, jak moje. Mamy zdjęcia zrobione wtedy, gdy byliśmy w tym samym wieku. Jesteś my do niebie bardzo podobni.

– Weszłam do wody, bo przygotowałam sobie listę rzeczy, którą chcę zrobić. Dzisiaj zgadzam się na wszystko, o co inni mnie poproszą.

Cal zastanawia się przez chwilę, a potem uśmiecha się szeroko.

– Zrobisz wszystko, o co cię poproszę?

– Wszysciutko.

Wsiadamy do pierwszego lepszego autobusu i zajmujemy miejsca z tyłu na piętrze.

– Dobra- szepcze Cal.- Pokaż język temu panu.

Jest zachwycony, kiedy wykonuję jego polecenie.

– Pokaż „V” tej kobiecie w przejściu, a potem poślij całusa tym chłopakom.

– Byłoby zabawniej, gdybyś się do mnie przyłączył.

Robimy miny, machamy do ludzi i krzyczymy piskliwymi głosami. Kiedy wreszcie przyciskamy guzik informujący kierowcę, że chcemy wysiąść, jesteśmy na górze zupełnie sami. Wypłoszyliśmy wszystkich pasażerów, ale nic nas to nie obchodzi.

– Dokąd idziemy?- pyta Cal.

– Na zakupy.

– Wzięłaś kartę kredytową? Kupisz mi coś?

– Tak.

Kupujemy helikopter na pilota. Potrafi się wznieść na wysokość dziesięciu metrów i odpalić pocisk w powietrzu. Cal wyrzuca opakowanie do kosza stojącego przed sklepem i puszcza zabawkę na ulicy. Idziemy tuż za lecącym helikopterem, zachwyceni jego kolorowymi światełkami. Maszerujemy prosto do sklepu z bielizną.

Każę Calowi usiąść na krześle razem z mężczyznami czekającymi na swoje żony. Jest coś bardzo miłego w tym, że zdejmuję z siebie sukienkę nie po to, by poddać się badaniu, ale po to, by ekspedientka i łagodnym głosem mogła mnie zmierzyć i znaleźć dla mnie boski i bardzo drogi stanik.

- Fioletowy- mówię, kiedy pyta mnie o kolor.- I poproszę majtki do kompletu.- Potem płacę, a ona wręcza mi elegancką torbę ze srebrnymi uchwytyami.

Kupuję Calowi gadającą małpę robota. Następnie idziemy po jeansy dla mnie. Wybieram takie, jakie ma Zoey- sprane, z wąskimi nogawkami.

Cal dostaje grę na PlayStation. Ja sukienkę. Jedwabną, szmaragdowo- czarną. To najdroższy ciuch, jaki sobie do tej pory sprawiłam. Mrugam do swojego odbicia w lustrze, zostawiam mokrą kieckę w przebieralni i podchodzę do Cala.

- Fajnie- rzuca na mój widok.- Zostało ci jeszcze trochę kasy na elektorniczny zegarek?

Kupuję mu budzik, taki, który wyświetla czas trójwymiarowo na suficie. Teraz kolej na buty. Skórzane, na zamek błyskawiczny i na wysokich obcasach. Do tego torba na nasze pakunki.

Po wizycie w magicznym sklepiku musimy nabyć walizkę na kółkach. Cal ją ciągnie, a mnie przychodzi na myśl, że za chwilę będziemy musieli kupić samochód na walizkę. Potem ciężarówkę na samochód, statek na ciężarówkę. Wreszcie kupimy port, ocean i cały kontynent.

Ból głowy dopada mnie w McDonalddie. Czuję się tak, jakby ktoś mnie oskalpował i mieszał łyżeczką w mózgu. Kręci mi się w głowie i mam mdłości, a świat zewnętrzny atakuje mnie nadmiarem wrażeń.

Biorę paracetamol, ale wiem, że to nie pomoże.

- Dobrze się czujesz?- pyta Cal.
- Tak.

Zdaje sobie z tego sprawę, że kłamię. Objadł się do granic możliwości i siedzi jak król, choć w jego oczach dostrzegam strach.

- Chcę wracać do domu.

Muszę się zgodzić. Oboje udajemy, że to nie z mojego powodu trzeba zakończyć tę szaloną eskapadę.

Stoję na chodniku i patrzę, jak mój brat zatrzymuje taksówkę. Trzymam się ściany, żeby nie stracić równowagi. Nie pozwolę, żeby ten dzień zakończył się transfuzją krwi. Nie dam się kłuć obrzydliwymi igłami.

Dłoń Cala jest mała i przyjazna, idealnie mieści się w mojej. Usiłuję cieszyć się tą chwilą. Nieczęsto zdarza mu się dobrowolnie trzymać mnie za rękę.

- Będziemy mieli kłopoty?- pyta.
- A co mogą nam zrobić?

Śmieje się.

- Powtórzymy kiedyś ten dzień?
- Pewnie.
- Pójdziemy na łyżwy?
- Tak.

Cal papie o raftingu, jeździe konnej i skokach na bungee. Wyglądam przez okno taksówki. Ból pulsuje mi w głowie. Światła mijanych samochodów odbijają się od ścian i obcych twarzy, oślepiając mnie. Czuję się tak, jakby płonęło sto ogni.

Rozdział 12

Domyślam się, że jestem w szpitalu, kiedy tylko otwieram oczy. W każdym pachnie tak samo, a gumka przymocowana do mojego ramienia sprawia znajomy ból. Próbuję usiąść na łóżku, ale głowa mi pęka i wszystko podchodzi do gardła.

Pielęgniarka biegnie z miską, lecz nie zdąża. Wymiotuję na koszulę i pościel.

– Nie szkodzi- pociesza.- Zaraz to posprzątam.

Otwiera mi usta, pomaga przewrócić się na bok i rozwiązuje troczki koszuli.

– Zaraz przyjdzie lekarz.

Pielęgniarki nigdy nie mówią tego, co wiedzą. Płacą im za wesołość i gęste włosy. Muszą wyglądać zdrowo i energicznie, żeby robić dobre wrażenie na pacjentach.

Gawędzi ze mną, pomagając mi włożyć świeżą koszulę. Opowiada, że mieszkała kiedyś w Afryce Południowej, nad oceanem.

– Słońce znajduje się tam bliżej ziemi i zawsze jest gorąco.

Wyciąga spode mnie pościel i rozściela nową.

– W Anglii ciągle marzną mi stopy- narzeka. - Teraz możesz się położyć. Gotowa? W porządku, już po wszystkim. W samą porę, pan doktor przyszedł.

Lekarz ma łysinę, którą okalają siwe włosy. Jest w średnim wieku. Wita się ze mną grzecznie i przysuwa krzesło stojące pod oknem, żeby siedzieć blisko łóżka. Nie tracę nadziei, że kiedyś, w jakimś szpitalu, trafię na idealnego lekarza, który mnie wyleczy, ale do tej pory mi się nie udało. Wolałabym spotkać czarodzieja w pelerynie z magiczną różdżką albo nieustraszonego rycerza z mieczem w dłoni. Ten jest wyblakły i uprzejmy jak sprzedawca.

– Tesso- mówi.- Czy wiesz, co to hiperkalcemia?

– Jeśli zaprzeczę, mogę prosić o coś innego?

Jest zażenowany. Kłopot z takimi jak on polega na tym, że nie chwytają dowcipu. Szkoda, że nie ma asystenta żartownisia, który łaskotałby go piórkiem podczas wygłaszania diagnozy.

Wpatruje się w kartę choroby, którą trzyma na kolanach.

– Hiperkalcemia wiąże się z podwyższonym poziomem wapnia we krwi. Podajemy ci bisfosfonaty, które go obniżą. Już teraz powinnaś poczuć się lepiej, wróci zdolność koncentracji. Mdłości też wkrótce ustąpią.

– Już zawsze jestem zdekoncentrowana.

– Czy masz jeszcze jakieś pytania?

Patrzy na mnie wyczekująco. Nie chcę go rozczarować, ale o co mogłabym zapytać tego przeciętnego człowieka?

W końcu mówi, że pielęgniarka poda mi coś na sen. Wstaje i kiwa głową na pożegnanie. W tym momencie żartowniś powinien podłożyć mu skórkę od banana, a potem podejść i usiąść koło mnie na łóżku. Pośmialibyśmy się z tego pana doktora za jego plecami.

Jest ciemno, kiedy się budzę. Nic nie pamiętam. Czuję strach. Usiłuję zebrać myśli przez dziesięć sekund i wierzgam nogami, żeby wydostać się spod prześcieradeł. Przez chwilę mam wrażenie, że zostałam porwana albo że przydarzyło mi się coś jeszcze gorszego.

Tata podbiega i głaszcze mnie po głowie, szeptem powtarza moje imię, niczym zaklęcie.

I nagle sobie przypominam. Wskoczyłam do rzeki, namówiłam Cala na szalone zakupy i wylądowałam w szpitalu. Chwilowy zanik pamięci napędza mnie przerażeniem. Serce wali mi jak królikowi. Na moment zapomniałam, kim jestem. Byłam nikim i wiem, że to się powtórzy.

Tata uśmiecha się do mnie:

– Chcesz wody?- pyta. - Napijesz się?

Nalewa mi wodę z dzbanka, ale kręcę odmownie głową, więc odstawia szklanekę na stół.

- Czy Zoey wie, że tu jestem?

Grzebie w kieszeni i wyjmuje paczkę papierosów. Podchodzi do okna i otwiera je. Czuję napływ zimnego powietrza.

- Tu nie wolno palić, tato.

Zamyka okno i wkłada papierosy do kieszeni.

- Rzeczywiście- mówi.- Masz rację.

Siada z powrotem i bierze mnie za rękę. Zastanawiam się, czy on też zapomniał na chwilę, kim jest.

- Wydałam mnóstwo pieniędzy, tato.

- Wiem. To nie ma znaczenia.

- Nie sądziłam, że mam ich aż tyle na koncie. W każdym sklepie spodziewałam się, że nie będę miała czym zapłacić, ale tak się nie stało. Zachowałam paragony, więc możemy zwrócić te rzeczy.

Tata kręci przecząco głową.

- Spokojnie. Nic się nie stało.

- Z Cal'em wszystko w porządku? Przestraszyłam go?

- Nic mu nie będzie. Chcesz go zobaczyć? Czeka z mamą na korytarzu.

Jeszcze nigdy w ciągu czterech lat choroby nie odwiedzili mnie wszyscy troje jednocześnie. Czuję nagły przyptyw lęku.

Wchodzą z poważnymi minami. Cal ściska mamę za rękę. Mama wygląda, jakby tu nie pasowała. Tata przytrzymuje drzwi. Stają przy łóżku i patrzą na mnie. Mam wrażenie, że to zapowiedź dnia, który kiedyś nadejdzie. Później. Jeszcze nie teraz. Dnia, w którym nie zobaczę ,jak mi się przyglądają, nie będę mogła się uśmiechnąć ani powiedzieć, żeby mnie nie straszili, tylko usiedli przy łóżku.

Mama przysuwa sobie krzesło, nachyla się i całuje mnie. Pachnie znajomo- proszkiem do prania i olejkiem pomarańczowym, którym spryskuje sobie gardło. Chce mi się płakać.

- Wystraszyłaś mnie!- mówi i kręci głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

- Ja też się bałam- szepcze Cal.- Zemdlałaś w taksówce i kierowca myślał, że jesteś pijana.

- Naprawdę?

- Nie wiedziałem, co robić. Powiedział, że będziemy musieli dopłacić, jeśli zwymiotujesz.

- A zwymiotowałam?

- Nie.

- Powiedziałeś mi, żeby spadał na drzewo?

Cal uśmiecha się kącikami ust.

- Nie.

- Chcesz usiąść na moim łóżku?

Potrząsa głową.

- Hej, Cal, nie płacz! Podejdz do mnie. Pogadajmy o tym, co kupiliśmy.

Ale Cal siada na kolanach mamy. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby tak robił. Tata chyba też jest zdziwiony. Nawet Cal wydaje się być zaskoczony. Opiera głowę na jej ramieniu i płacze. Mama głaszcze go po plecach, zatacza dłońią koła. Tata wygląda przez okno.

Rozpościeram palce na prześcieradle. Są chude i białe jak u wampira wysysającego z ludzi życie.

- Kiedy byłam mała, marzyłam o sukience z welwetu- mówi mama. - Zielonej z koronkowym kołnierzykiem. Moja siostra taką dostała. Wiem, jak to jest, kiedy chce

się mieć ładne rzeczy. Jeśli będziesz chciała wybrać się jeszcze na zakupy, Tesso, pójdę z tobą.- Macha ręką w stronę pokoju.- Wszyscy pójdziemy.

Cal podnosi głowę i patrzy na nią.

- Naprawdę? Ja też?
- Tak.
- Ciekawe, kto za to zapłaci!- rzuca sucho tata spod okna.

Mama się uśmiecha, ociera łzy Cala wierzchem dłoni i całuje go w policzek.

- Słone- mówi.- Słone jak morze.

Tata ją obserwuje. Ciekawe, czy mama zdaje sobie z tego sprawę.

Opowiada nam o swojej rozpieszczonej siostrze, Sarze, i kucyku o imieniu Tango. Tata śmieje się i przypomina jej, że nie mogła w dzieciństwie narzekać na biedę. Mama droczy się z nim i stwierdza, że dla niego zrezygnowała ze swojej bogatej rodziny. Cal ćwiczy sztuczkę z monetą. Przekłada funta do drugiej ręki i otwiera pięść, aby nam pokazać, że pieniądze zniknął.

Miło jest słuchać, jak się przekomarzają, przerywają sobie nawzajem. Kości nie boją mnie tak bardzo, kiedy oni są przy mnie. Może gdybym się całkiem nie ruszała, nie zauważyliby bladego księżycy za oknem ani nie usłyszeliby pielęgniarek toczących wózki z lekami po korytarzu. Zostaliby ze mną całą noc. Opowiadalibyśmy sobie kawały i różne historie aż do świtu.

Ale w końcu mama oznajmia:

- Cal jest zmęczony. Zabiorę go do domu i położę do łóżka- Odwraca się do taty.- Do zobaczenia.

Całuje mnie na pożegnanie, a potem przesyła całusa od drzwi. I już ich nie ma.

- Mama zostanie u nas?- pytam tatę.
- Na tę noc.

Tata podchodzi, siada na krześle i bierze mnie za rękę.

- Wiesz- zaczyna- gdy byłaś mała, oboje z mamą nie spaliśmy w nocy i patrzyliśmy, jak oddychasz. Byliśmy przekonani, że zapomnisz, jak to się robi, gdy nie będziemy patrzyli.- Zmienia uścisk ręki, konkury jego palców łagodnieją.- Możesz się śmiać, ale to prawda. Jest łatwiej, kiedy dzieci podrastają, jednak strach o nie nigdy nie mija. Wciąż się o ciebie martwię.
- Dlaczego mi to mówisz?

Wzdycha.

- Wiem, że coś kombinujesz. Cal powiedział, że przygotowałaś jakąś listę. Muszę wiedzieć, co chcesz zrobić, nie po to, by cię powstrzymać, ale dlatego, że zależy mi na twoim bezpieczeństwie.
- Czy to nie to samo?
- Nie wydaje mi się. Nie chcę, żebyś marnowała to, co jest w tobie najlepsze, Tesso, i zostawiła sobie tylko ból.

Nie słyszę tego, co mówi dalej. Czy naprawdę chce tylko tyle? Żebym go wtajemniczyła? Ale jak mam mu powiedzieć o Jake'u i jego wąskim łóżku? Jak wyznać, że Zoey kazała mi wskoczyć do wody, a ja musiałam jej posłuchać? Następne na mojej liście są narkotyki. Potem zostanie mi jeszcze siedem rzeczy do zrobienia. Tata nie pozwoli mi na nie, jeśli się o wszystkim dowie. Nie chcę spędzić reszty życia owinięta kocem na kanapie, z głową na jego ramieniu. Funkcjonuję tylko dzięki tej liście.

Rozdział 12

Myślałam, że jest już rano, jednak się pomyliłam. Sądziłam, że w domu panuje cisza, bo wszyscy wstali i wyszli. Ale wybiła dopiero szósta i muszę leżeć w bladym świetle świtu. Wyjmuję paczkę chipsów serowych z szafki kuchennej i włączam radio. Dowiaduję się z niego, że kilkanaście osób tkwiło przez całą noc w samochodach na szosie M3. Nie miały one dostępu do toalety, a jedzenie i picie dostarczano im przez kuriera. Korek. Świat się przepełnia. Jakiś Tory MP zdradza żonę. W hotelu znaleziono zwłoki. Czuję się tak, jakbym oglądała kreskówki. Wyłączam radio i wyjmuję lody czekoladowe z lodówki. Mam chaos w głowie i jest mi zimno. Wkładam płaszcz, a potem kręcę się po kuchni, wyparując cieni, słuchając szelestu liści i łagodnego szumu opadającego kurzu. Powoli się rozgrzewam. Siedemnaście po szóstej.

Może w ogrodzie coś się zmieniło- pojawił się bizon, wylądował statek kosmiczny albo zakwitły czerwone róże. Otwieram tylne drzwi i błagam świat, żeby podarował mi coś niezwykłego i podniecającego. Niestety, wszystko okazuje się obrzydliwie znajome- rabaty ogołocone z kwiatów, gąbczasta trawa i niskie ciemne chmury.

Wysłałam do Zoey SMS-a: NARKOTYKI!

Nie odpisuje mi. Na pewno jest u Scotta, leży rozpalona i szczęśliwa w jego ramionach. Odwiedzili mnie w szpitalu, usiedli na jednym krześle, jakby się pobrali podczas mojej nieobecności. Przynieśli śliwki i lampkę na Halloween kupioną na rynku.

– Pomagam Scottowi na stoisku- powiedziała Zoey.

Mogę myśleć tylko o tym, że październik skończył się tak szybko i że ramię Svotta, obejmujące Zoey, spowalnia jej ruchy. Od tego czasu minął już tydzień. Codziennie przesyła mi SMS-y, ale chyba straciła zainteresowanie moją listą.

Bez niej spędzę czas na schodach, obserwując gromadzące się chmury. Woda będzie spływać rynną wiszącą u kuchennego okna i kolejny dzień minie niezauważalnie. Czy to jest życie? Czy to w ogóle można jakoś nazwać?

Drzwi otwierają się i zamykają za moimi plecami. Ciężkie buty zostawiają ślady w błocie. Idę ścieżką i wychylam głowę przez płot.

– Witaj ponownie!- mówię.

Adam przykłada rękę do piersi, jakby był bliski ataku serca.

– Jezu! Ale mnie wystraszyłaś!

– Przepraszam.

Dzisiaj nie przebrał się w swój roboczy strój. Ma na sobie skórzaną kurtkę i dżinsy, a w rękę trzyma kask.

– Jedziesz gdzieś?

– Tak.

Oboje patrzymy na jego motocykl. Stoi pod zadaszeniem, przymocowany. Jest czerwono-srebrny. Wygląda tak, jakby miał za chwilę odpalić i odjechać, gdyby tylko ktoś go odpiął.

– Ładny motor.

Kiwa głową.

– Właśnie go naprawiłem.

– A co się popsuło?

– Miałem niegroźny wypadek i doszło do wygięcia widełek. Znasz się na motocyklach?

Mam ochotę potwierdzić, ale takie kłamstwo szybko wyjdzie na jaw.

- Raczej nie. Chociaż zawsze chciałam się przejechać.

Adam rzuca mi dziwne spojrzenie. Zastanawiam się, jak bym wyglądała na motorze. Wczoraj przypominałam kosmitkę, bo moja skóra przybrała żółtą barwę. Włożyłam kolczyki, żeby coś zmienić, ale dzisiaj nawet nie spojrzałam w lustro. A w ciągu nocy przecież wszystko mogło się zdarzyć. Czuję się trochę nieswojo, kiedy tak na mnie spogląda.

- Posłuchaj- mówi.- Chyba musimy porozmawiać.

Odgaduję, co chce mi powiedzieć, po tonie jego głosu, pragnę mu tego oszczędzić.

- W porządku. Mój tata jest papłą. Nawet obcy ludzie patrzą na mnie ze współczuciem.
- Naprawdę?- Jest wyraźnie zdziwiony.- Nie widziałem cie od kilku dni, więc zapytałem twojego brata, czy wszystko w porządku. To on mi powiedział.

Wpatruję się w moje stopy i skrawek trawnika wokół nich. Między trawą a płotem pozostawiono pas gołej ziemi.

- Myślałem, że jesteś chora na cukrzycę, po tym, jak zemdląłeś, wtedy w ogrodzie. Nie wiedziałem.
- Tak.
- Przykro mi. To znaczy było mi przykro, kiedy Cal mi powiedział, o ci dolega.
- Rozumiem.
- Chciałem, żebyś wiedziała, że znam prawdę.
- Dzięki.

Nasze słowa brzmią bardzo głośno. Odbijają się echem w mojej głowie.

- Ludzi zwykle ogarnia lęk, kiedy się dowiadują o mojej chorobie. Trudno im to znieść - mówię w końcu, a on przytakuje, jakby rozumiał. - Ale nie zamierzam umierać w tej chwili. Przygotowałam listę rzeczy, które chcę zrobić przed śmiercią.

Nie sądziłam, że mu to powiem. Jestem zaskoczona zarówno tym, że się tak otworzyłam, jak i widokiem uśmiechu na jego twarzy.

- Jakich rzeczy?

Na pewno nie opowiem mu o Jake;u ani o skoku do rzeki.

- Następne na mojej liście są narkotyki.
- Narkotyki?
- Tak i nie mam na myśli aspiryny.

Śmieje się.

- Domyślam się.
- Przyjaciółka załatwi mi E.
- Ekstazę? Powinnaś spróbować grzybów. Dają lepszy efekt.
- Wywołują halucynacje, prawda? Nie chcę, żeby atakowały mnie szkielety.
- Wprawiają tylko w dziwny nastrój, jak ze snu.

Nie przekonuje mnie to, bo moje sny różnią się nieco od snów innych ludzi. Zawsze na końcu ląduję w jakimś opuszczonym miejscu, z którego nie mogę wrócić. Budzę się rozpalona i spragniona.

- Migę ci to załatwić, jak chcesz- mówi Adam.
- Naprawdę?
- Tak. Nawet dzisiaj.
- Dzisiaj?
- Po co tracić czas?
- Obiecałam przyjaciółce, że nie zrobię niczego bez niej.

Unosi brwi.

- To poważne zobowiązanie.

Odwracam wzrok i patrzę na dom. Tata zaraz wstanie i usiądzie przy komputerze. Cał wyjdzie do szkoły.

- Mogę do niej zadzwonić i spytać, czy wpadnie.

Adam zapina kurtkę.

- Dobrze.
- Skąd je weźmiesz?

Kąciki jego ust unoszą się lekko w uśmiechu.

- Któregoś dnia zawiozę cię tam na motorze.

Odchodzi z uśmiechem. Wciąż widzę jego oczy, jasnozielone w świetle poranka.

Rozdział 14

- Jak myślisz, skąd on to bierze?

Zoey ziewa ostentacyjnie.

- Z Legolandu- stwierdza.- Albo z wesołego miasteczka.
- Dlaczego jesteś taka okropna?

Obraca się na łóżku i mi się przygląda.

- Bo on jest nudny i brzydki. Masz mnie, więc po co się z nim zadajesz? Nie powinnaś była prosić go o narkotyki. Mówiłam, że to załatwię.
- Nie było cię.
- Ostatnim razem, kiedy się widziałyśmy, leżałaś w szpitalu, a ja przysłałam cię odwiedzić.
- Przypominam, że pobyt w szpitalu zawdzięczam tobie. Kazałaś mi wskoczyć do tej rzeki.

Zoey pokazuje mi język, więc odwracam się do okna. Adam przyjechał już dawno temu.

Weszliśmy do domu na pół godziny, a on w tym czasie zajął się grabieniem liści w ogrodzie. Myślałam, że po nas przyjdzie, ale może to my powinnyśmy pójść do niego.

Zoey staje obok mnie i obie mu się przyglądamy. Za każdym razem, kiedy wrzuca liście na wózek, wiatr część z nich porywa i rozrzuca z powrotem na trawie.

- Czy on nie ma nic lepszego do roboty?

Wiedziałam, że to powie. Zoey jest bardzo niecierpliwa. Gdyby posiadała jakieś nasiona, wykopywałyby je codzinnie, żeby sprawdzić, czy rosną.

- Uprawia ogród.

Przyjaciółka rzuca mi miazdzące spojrzenie.

- Jest opóźniony w rozwoju?
- Nie!
- Nie powinien studiować, czy coś w tym rodzaju?
- Chyba opiekuje się matką.

Patrzy na mnie, jakby domyślała się czegoś.

- Podoba ci się- mówi.
- Wcale nie.
- Właśnie, że tak. Zabujałaś się. Wiesz o nim takie rzeczy, o których nie miałabyś

pojęcia, gdyby cię nie obchodził.

Potrząsam przecząco głową i usiłuję zmienić temat. Ale nic z tego. Zoey będzie sobie teraz ze mnie kpiała i rozdmucha całą sprawę.

- Pewnie codziennie sterczysz w oknie, żeby go szpiegować.
- Nie.
- Na pewno. Zapytam go, co o tobie myśli.
- Nie, Zoey!- krzyczę.

Ale ona biegnie do drzwi ze śmiechem.

- Spytałam, czy chce się z tobą ożenić!
- Proszę cię, Zoey. Daj spokój.

Wreszcie wraca i kręci głową z niedowierzaniem.

- Myślałam, że znasz zasady, Tesso. Nigdy się nie zakochuj. To ogromny błąd!
- A ty i Scott?
- Z nami jest inaczej.
- Dlaczego?

Uśmiecha się.

- Łączy nas tylko seks.
- Nieprawda. Kiedy odwiedziliście mnie w szpitalu, nie odrywałaś od niego wzroku.
- Bzdura.
- Tak było.

Zoey prowadziła taki tryb życia, jakby rasa ludzka była na wymarciu i nic nie miało znaczenia. W towarzystwie Scotta stawała się jednak ciepła i uległa. Czy nie zauważyła tego?

Patrzyła teraz na mnie z taką powagą, że chwytam jej twarz w głonie i ją całuję, bo chcę, żeby się uśmiechnęła. Ma miękkie usta i ładnie pachnie. Przychodzi mi na myśl, że mogłabym wyssać z niej zdrowe białe komórki, ale odpycha mnie, zanim mogę wypróbować swoją teorię w praktyce.

- Dlaczego to zrobiłaś?
- Bo wszystko psujesz. Idź do Adama i spytaj, czy ma grzyby.
- Sama idź.

Śmieję się.

- Chodźmy razem.

Ociera usta rękawem. Czuje się niepewnie.

- Dobrze. W twoim pokoju unosi się dziwny zapach.

Adam widzi, że idziemy w jego stronę. Odstawia grabie i podchodzi do ogrodzenia. Trochę kręci mi się w głowie na jego widok. Na dworze robi się jaśniej.

- To moja przyjaciółka, Zoey.

Kiwa jej głową na powitanie.

- Mnóstwo o tobie słyszałam!- oznajmia Zoey i wzdycha. Nagle wydaje się mała i bezradna. Wszyscy chłopcy, których znałam, uważali, że jest świetną laską.
- Naprawdę?
- O, tak! Tessa mówi o tobie bez przerwy.

Wymierzam jej kopniaka, żeby ją uciszyć, ale ona mnie ignoruje. Odgarnia włosy.

- Masz grzyby?- pytam, by odwrócić jego uwagę.

Sięga do kieszeni kurtki, wyjmując małą plastikową torebkę i podaje mi. W środku są małe grzyby ciemnego koloru. Wyglądają tak, jakby nie zdążyły przybrać ostatecznego kształtu, wyrosły w sekrecie i nie były jeszcze gotowe zaistnieć dla świata.

- Skąd je wzięłeś?
- Zebrałem.

Zoey wrywa mi torebkę i unosi w górę.

- Nie wiadomo, czy one są w ogóle jadalne. Może to jakieś muchomory?
- Nie- zaprzecza Adam.- To nie są Czapki Śmierci ani Anioły Zniszczenia.

Zoey marszczy brwi i oddaje mu grzyby.

- Chyba nie będziemy próbowały. Wolimy ekstazę.
- Możecie spróbować i tego, i tego- proponuje Adam.- Grzybów skosztujecie dzisiaj, a ekstazę zażyjecie kiedy indziej.

Zoey odwraca się do mnie.

- Co ty na to?
- Powinniśmy spróbować- mówię.

Z drugiej strony, ja nie mam przecież niczego do stracenia.

Adam uśmiecha ię.

- Świetnie. Chodźcie, zaparzę z nich herbatkę.

Ma tak czystą kuchnię, że mógłby ją pokazywać w telewizji. Nawet na suszarce nie stoją naczynia. To dziwne, jego dom jest odwrotnością mojego. I nie chodzi tu o lustrzane odbicie, raczej o panujący w nim porządek i ciszę.

Adam odsuwa dla mnie krzesło przy stole. Siadam.

- Gdzie jest twoja mama? - pytam.
- Śpi.
- Źle się czuje?
- Nie.

Podchodzi do kuchenki i nastawia wodę w czajniku. Wyjmuje filiżanki z szafki i stawia je na blacie.

Zoey robi miny za jego plecami i uśmiecha się do mnie, zdejmując płaszcz.

- Ten dom jest taki sam jak twój- stwierdza.- Tyle, że na odwrót.
- Usiądź- mówię.

Bierze torebkę z grzybami, otwiera ją i wacha.

- Fuj! Na pewno nie są trujące?

Adam odbiera jej opakowanie i wrzuca zawartość do dzbanka. Zalewa wszystko wrzątkiem.

Zoey wstaje i patrzy mu na ręce przez ramię.

- Mało tego. Na pewno wiesz, co robisz?
- Ja nie będę pił- wyjaśnia Adam.- Pójdziemy gdzieś, kiedy poczujecie kopa. Zajmę się wami.

Zoey przewraca oczami, jakby to była najbardziej beznadziejna rzecz, jaką słyszałam.

- Brałam już narkotyki- mówi.- Nie potrzebujemy niańki.

Wpatruję się w jego plecy, podczas gdy miesza grzyby w dzbanku. Dzwonienie łyżeczki przypomina mi wieczór, tata zawsze wtedy przyrządza dla nas kakao do wypicia przed snem.

Jest w tym dzwonieniu jakaś rzetelność.

- Nie wolno ci się śmiać, jeśli będziemy zachowywały się głupio- oświadczam.

Uśmiecha się do mnie przez ramię.

- Nie będziecie.
- Kto wie?- wtrąca Zoey- Wcale nas nie znasz. Może zupełnie nam odbije. Tessa jest

zdolna do wszystkiego od czasu, gdy sporządziła swoją listę.

- To prawda?
- Przymknij się, Zoey!- żądam.

Przyjaciółka siada przy stole.

- Ups!- Zakrywa usta dłonią, ale wcale nie wygląda, jakby było jej przykro.

Adam sięga po filiżanki i stawia je przed nimi. Napój paruje i strasznie śmierdzi tekturą oraz mokrymi pokrzywami.

Zoey nachyla się nad naparem i wacha go.

- To przypomina sos!

Adam siada obok niej.

- Są dobre. Zaufaj mi. Dosypałem trochę cynamonu, żeby je osłodzić.

Zoey znowu przewraca oczami.

Ostrożnie nabiera trochę płynu do ust i połyka go, krzywiąc się.

- Do dna- mówi Adam.- Im szybciej wypijesz, tym szybciej poczujesz kopa.

Nie mam pojęcia, jak grzyby na mnie zadziałają, ale udziela mi się spokój Adama. Słyszę tylko jego głos zachęcający do wypicia tej mikstury. Siedzimy w kuchni i sączymy brązową ciecz, a on patrzy na nas. Zoey zatyka nos i pije wielkimi łykami. Mnie zapach nie przeszkadza. Nie zwracam uwagi na to, co spożywam. Nie czuję smaku.

Siedzimy przez chwilę i gadamy o niczym. Nie mogę się skoncentrować. Czekam, aż coś się wydarzy. Adam tłumaczy nam, jak rozpoznać, czy grzyby są dobre. Muszą mieć stożkowate kapelusze i wrzecionowate nogi. Rosną w skupiskach, ale tylko późnym latem i jesienią. Mówi, że są legalne i suszone można kupić w niektórych sklepach. Potem, ponieważ nic się nie dzieje, parzy nam normalną herbatę. Nie zamierzam jej pić, obejmuję tylko dłońmi filiżankę, żeby ogrzać palce. W kuchni jest zimno, chłodniej niż na dworze. Chcę poprosić Zoey, żeby przyniosła mi płaszcz, ale mam ściśnięte gardło, czuję się tak, jakby dusiły mnie małe rączki.

- To normalne, że boli mnie gardło?- pytam.

Adam kręci przecząco głową.

- Mam wrażenie, że tchawica mi się skurczyła.
- Zaraz ci przejdzie- mówi, jednak dostrzegam w jego oczach cień strachu.

Zoey zerka na niego.

- Dałeś nam za dużo?
- Nie! Wszystko będzie dobrze, powinna tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

W jego głosie słychać niepewność. Założę się, że myśli o tym samym, co ja- jestem inna, mój organizm reaguje inaczej, nie powinniśmy byli ryzykować.

- Zabierzemy cię na dwór.

Wstaję i pozwalam się poprowadzić do drzwi.

- Zaczekaj! Wezmę twój płaszcz.

Przed domem jest ciemno. Przystaję przy schodach i oddycham głęboko. Staram się nie wpaść w panikę. Widzę ścieżkę biegnącą do bramy, przed którą stoi samochód mamy Adama. Po obu jej stronach rośnie trawa. Z jakiegoś powodu wygląda inaczej niż zwykle. Nie chodzi o kolor, raczej o wysokość; jest przystrzyżona jak włosy- na jeża. Zaczyna do mnie docierać, że ścieżka i schody są bezpieczne, ale trawnik przedstawia zagrożenie. Czyha na mnie.

Łapię za klamkę, żeby nie spaść. Dostrzegam otwór w drzwiach, który wygląda jak oko. Drewniane deski ułożone są w taki sposób, że zbiegają się wokół niego jak spirala lub węzły. Wygląda na to, że drzwi otwierają się do wewnątrz okrężnie. Poruszają się powolnym, niemal niedostrzegalnym ruchem. Przyglądam się temu przez całą wieczność.

Przykładam oko do dziury, ale widok jest zamglony, więc cofam się do przedpokoju i zamykam drzwi. Teraz patrzę przez otwór z drugiej strony. Świat wygląda z tej perspektywy zupełnie inaczej, podjazd przed domem wydłuża się, aż w końcu przypomina nić.

– Co z twoim gardłem?- pyta Adam, wynurzając się z głębi korytarza z moim płaszczem w ręku.

– Wyglądałeś kiedyś przez ten otwór?

– Masz powiększone źrenice!- stwierdza.- Musisz iść na zewnątrz. Włóż płaszcz.

Podaje mi ciepłą kurtkę z kapturem obszytym futrem. Zapina ją na mnie. Czuję się jak mała eskimoska.

– Gdzie twoja przyjaciółka?

W pierwszej chwili nie wiem, o kim mówi; potem sobie przypominam o Zoey i czuję, jak ciepło rozlewa się po moim sercu.

– Zoey, Zoey!- wołam.- Musisz to zobaczyć!

Widzę, że się uśmiecha, idąc korytarzem. Ma wielkie, pociemniałe źrenice.

– Twoje oczy!- wykrzykuję.

Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Twoje też!

Przyglądamy się sobie, przybliżając twarze, aż wreszcie stykamy się nosami.

– W kuchni leży taki chodnik- szepcze.- Ma w sobie cały świat.

– Tak samo jak te drzwi. Kiedy wyglądasz przez dziurkę, wszystko zmienia kształt.

– Pokaż.

– Przepraszam- wtrąca Adam.- Nie chcę wam popsuć tej chwili, ale może macie ochotę na przejażdżkę?

Wyjmuje z kieszeni kluczyki i pokazuje je nam. Są zadziwiające.

Odsuwa Zoey od drzwi i wychodzimy na zewnątrz. Wystawia rękę z kluczykami w stronę samochodu, który reaguje sygnałem rozpoznania. Bardzo ostrożnie schodzę po stopniach i idę ścieżką. Ostrzegam Zoey przed trawą, ale nie słyszy mnie. Tańczy na trawniku i nic złego jej nie spotyka. Może niebezpieczeństwo dotyczy tylko mnie.

Siadam na przednim fotelu, obok Adama; Zoey gramoli się na tył.

Czekamy chwilę, wreszcie on pyta:

– I co wy na to?

Nic nie odpowiadam.

Widzę, że jest bardzo ostrożny. Dotyka kierownicy w taki sposób, jakby wyciągał rękę do dzikiego zwierzęcia, którego zamierza nakarmić.

– Uwielbiam ten samochód- oświadcza.

Rozumiem go. Wydaje mi się, że znalazłam się wewnątrz doskonałego zegara.

– Należał do mojego taty. Mama nie lubi, kiedy nim jeżdżę.

– Może powinniśmy zostać tutaj!- woła z tyłu Zoey.- Będzie super!

Adam obraca głowę, żeby jej się przyjrzeć. Mówi bardzo wolno.

– Zabiorę was w jedno miejsce. Chodziło mi tylko o to, że mama nie będzie zachwycona tym, że wybraliśmy się na przejażdżkę samochodem ojca.

Zoey kładzie się na tylnym siedzeniu i kręci głową z niedowierzaniem.

– Uważaj na buty!- krzyczy Adam.

Zoey podrywa się i pokazuje go palcem.

– Spójrz na siebie! Zachowujesz się jak pies, który za chwilę się wysra w niedozwolonym miejscu.

– Zamknij się!- wrzeszczy. Jestem wstrząśnięta. Nie wiedziałam, że potrafi wydobyć z

siebie taki głos.

Zoey opada z powrotem na oparcie siedzenia.

– Jedź, gościu- mruczy z rezygnacją.

Nawet nie usłyszałam, kiedy Adam uruchomił silnik. W samochodzie jest całkiem cicho. Jego wyposażenie wydaje się dosyć kosztowne. Ruszamy z miejsca i wyjeżdżamy za bramę. Cieszę się, kiedy mijamy domy i ogrody naszej ulicy. Czuję, że ta wycieczka otworzy przede mną jakieś drzwi. Tata mówi, że najlepsze utwory muzyczne powstają na haju. Na pewno i mnie uda się dokonać jakiegoś fascynującego odkrycia. Wiem, że tak będzie. Przywiozę je ze sobą. Będzie to coś w rodzaju Świętego Graala.

Otwieram okno i wychylam się z samochodu do połowy. Zoey robi to samo z tyłu. Czuję powiew powietrza. Jestem całkowicie przebudzona. Widzę rzeczy, których wcześniej nie dostrzegałam, w swe wyciągnięte ręce chwytam życie innych ludzi. Jakaś ładna dziewczyna wpatruje się w swojego chłopaka, czuję, jak bardzo go pragnie. Mężczyzna w autobusie przeczesuje włosy, a płatki łupieżu z jego głowy spadają z szelestem na podłogę; pozostawia na ziemi skrawki siebie. W górze nad nim płacze dziecko, najwyraźniej rozumiejąc krótkotrwałość i marność tego wszystkiego.

– Spójrz, Zoey- mówię.

Pokazuję jej dom z otwartymi drzwiami, za którymi widać fragment korytarza i matkę całującą córkę. Dziewczynka przystaje na schodach. „Znam cię- myślę.- Nie bój się”. Zoey niemal wydostała się przez okno na zewnątrz i opiera się o dach samochodu. Wsparła stopy na tylnym siedzeniu i zagląda przez szybę z mojej strony. Wygląda jak nimfa wodna w oknie statku.

– Schowaj się do wozu!- wrzeszczy Adam.- I zdejmij nogi z cholernego siedzenia.

Zoey wraca do środka, histerycznie chichocząc.

Ten odcinek drogi nazywają Mugger Mile. Tata zawsze czyta nam wiadomości o tym, co tu się wydarzyło. Obszar zamieszkują biedni, zrozpaczeni ludzie. Często mają tu miejsce akty przemocy. Nabieramy prędkości i kiedy mijamy mieszkańców, wydaje mi się, że są piękni. I tak umrę przed nimi, wiem, ale dołączą do mnie jeden po drugim.

Przecinamy boczne uliczki. Adam mówi, że jedziemy do lasu. Jest tam knajpka i park, a co najważniejsze- nikt nas nie znajdzie.

– W tym miejscu można naprawdę szaleć- twierdzi.- To niedaleko, zdążymy wrócić do domu jeszcze na herbatę.

– Oszalałeś?!- wrzeszczy Zoey.- Mówisz jak Enid Blyton! Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że jesyem na haju, i nie chcę żadnej cholernej herbaty.

Znowu wychyla się przez okno i pocyła całusa przechodniom. Wygląda jak uciekająca Roszpunka, wiatr rozwiewa jej włosy. Adam naciska hamulec i Zoey wali głową o dach.

– Jezu!- krzyczy.- Zrobiłeś to specjalnie.

Opada na siedzenie i rozciera obolałe miejsce, cicho jęcząc.

– Przepraszam- mówi Adam.- Musimy zatankować.

– Dupek.

Adam wysiada, orąza samochód i nalewa paliwa. Zoey nagle zasypia na tylnym siedzeniu, ssając kciuk. Może dostała wstrąsu mózgu.

– Nic ci nie jest?- pytam.

– Ma na ciebie ochotę!- syczy.- Chce się mnie pozbyć, żeby mieć cię tylko dla siebie. Nie pozwól mu na to.

– To nieprawda.

– Czy ty nic nie widzisz?

Wkłada sobie kciuk s powrotem do ust i odwraca głowę. Zostawiam ją i wysiadam.

Podchodzę do mężczyzny w okienku na stacji benzynowej. Ma na twarzy bliznę, która jak srebrna rzeka spływa mu z włosów przez czoło aż do nosa. Przypomina mojego zmarłego wujka Billy'ego.

Nachyla się nad małym biurkiem.

- Który numer?
- Ósmy.

Jest zdezorientowany.

- Niemożliwe.
- To może trzeci.
- Gdzie stoi twój samochód?
- Tam.
- Jaguar?
- Nie wiem.
- Jak to nie wiesz?
- Nie wiem, jaka marka.
- Jezu Chryste!

Szybka okienka oddziela mnie od jego złości. Odsuwam się zdjeta zachwytem i grozą.

- Ten facet jest czarodziejem- mówię do Adama, który właśnie podchodzi i kładzie mi rękę na ramieniu.
- Możesz mieć rację- szepcze. - Najlepiej schowaj się do samochodu.

Potem budzę się w lesie. Stoimy, a Adama nigdzie nie widać. Zoey śpi wyciągnięta na tylnym siedzeniu jak dziecko. Wyglądam przez okno samochodu. Światło prześwitujące między drzewami roztacza widmową poświatę. Nie wiem czy jest dzień, czy noc. Ogarnia mnie spokój, kiedy otwieram drzwi auta i wychodzę.

Otoczają mnie przeróżne drzewa, liściaste i iglaste. Jest tak zimno, że na pewno zajechaliśmy do Szkocji.

Chodzę po lesie, dotykam kory drzew i witam się z liśćmi. Uświadamiam sobie, że jestem głodna jak wilk. Jeśli pojawi się tu niedźwiedź, powalę go na ziemię i odgryzę mu łeb. Może powinnam rozpalić ogień. Zastawię pułapkę i wykopię doły, żeby schwytać jakieś zwierzę. Zbuduję sobie szałas z patyków i liści i w nim zamieszkam. Tu nie ma kuchenek mikrofalowych ani pestycydów. Nie ma fluorescencyjnych piżam ani budzików, które świecą w ciemności. Telewizji ani plastiku. Lakieru do włosów, farb ani papierosów. Petrochemia znajduje się daleko stąd. W lesie jestem bezpieczna. Śmieję się cicho do siebie. Nie mogę uwierzyć, że nie wpadłam na to wcześniej. Oto tajemnica, którą miałam odkryć. I nagle dostrzegam Adama. Wydaje się mniejszy i nieoczekiwanie daleki.

- Dokonałam odkrycia!- krzyczę.
- Co ty wyprawiasz?- pyta cicho i wyraźnie.

Nie odpowiadam. Przecież to oczywiste i nie chcę, żeby wyszedł na głupka. Po co niby miałabym zbierać gałęzie i liście?

- Złaź!- krzyczy.

Ale drzewo obejmuje mnie ramionami i błaga, żebym nie schodziła. Próbuję to wyjaśnić Adamowi, lecz nie jestem pewna, czy mnie słyszy. Zdejmuje kurtkę i zaczyna się wspinać.

- Musisz zejść!- woła. Wygląda jak duchowny, kiedy tak wdrapuje się na górę, jak cichy, słodki mnich przynoszący ocalenie. - Twój tata mnie zabije, jeśli coś sobie złamiesz. Proszę cię, Tesso, zejź.

Jest już blisko. Jego twarz zmaląła, osiągnęła rozmiar reflektorów znajdujących się za nim. Nachylam się, żeby zlizać z niego zimno. Ma słoną skórę.

- Proszę- powtarza.

Nie czuję bólu. Żeglujemy razem, chwytając powietrze w objęcia. Na dole siadamy na stosie liści i Adam trzyma mnie w ramionach jak dziecko.

- Co tam robiłaś?- pyta.- Po co weszłaś na drzewo?
- Zbierałam gałęzie na szałas.
- Twoja przyjaciółka miała rację. Żałuję, że dałem ci aż tyle.

Przecież nic mi nie dał, oprócz imienia i brudu pod paznokciami. Nic o nim nie wiem. Zastanawiam się, czy mogę powierzyć mu swoją tajemnicę.

- Coś ci powiem- mówię.- Musisz mi obiecać, że nikomu nie powtórzysz, dobrze?

Kiwa głową, ale nie wydaje się przekonany. Siadam obok niego i upewniam się, że na mnie patrzy. Tańczą na nim kolory i światła. Błyszczy tak, że widzę kości i świat za jego oczami.

- Nie będę więcej chora.- Jestem taka podniecona, że trudno mi wypowiadać słowa.- Muszę tylko zostać w tym lesie. Jeśli pozostanę daleko od współczesnego świata i jego świecidełek, wyzdrowieję. Możesz zostać ze mną, jeśli chcesz. Zbudujemy sobie szałas i pułapki. Będziemy hodowali warzywa.

Adam ma oczy pełne łez. Patrzę, jak płaczem u odnoszę wrażenie, że ściągnął mnie z wysokiej góry.

- Tesso.

Nad jego ramieniem dostrzegam dziurę w niebie, a brzęczenie satelity przyprawia mnie i szczekanie zębami. Potem satelita znika i zostaje tylko ziejąca pustka.

Kładę palec na jego ustach.

- Nie.- proszę.- Nic nie mów.

Rozdział 15

- Szukam czegoś w internecie- mówi tata, wskazując laptop.- Mogłabyś chodzić w kółko gdzie indziej?

Światło z ekranu odbija się w jego okularach. Siadam na krześle po przeciwnej stronie.

- To też jest irytujące- protestuje, nie podnosząc wzroku.
- To, że tu siedzę?
- Nie.
- Że pukam palcami o stół?
- Posłuchaj. Jakiś lekarz opracował metodę leczenia zwaną oddychaniem kości. Słyszałaś o tym?
- Nie.
- Musisz wyobrazić sobie swój oddech w jakimś ciepłym kolorze. Wdychasz najpierw powietrze przez lewą stopę, od dołu aż do biodra, a potem wydechasz tą samą drogą. Powtarzasz to siedem razy i przechodzisz do drugiej nogi. Chcesz spróbować?
- Nie.

Tata zdejmuje okulary i patrzy na mnie.

- Przestało padać. Może weźmiesz koc i posiedzisz w ogrodzie? Zawołam cię, kiedy przyjdzie pielęgniarzka.
- Nie chcę.

Wzdycha, wkłada okulary i wraca do komputera. Nienawidzę go. Wiem, że spogląda za mną, kiedy wychodzę. Słyszę, jak oddycha z ulgą.

Drzwi do naszych sypialni są zamknięte i w przedpokoju panuje półmrok. Wchodzę po schodach na czworakach, siadam na szczycie i spoglądam w dół. Półmrok się przesuwa. Może zaczynam widzieć rzeczy, których inni nie są w stanie dostrzec. Na przykład atomy. Podnoszę się i sunę dalej, szorując kolanami po dywanie. Sprawia mi to przyjemność. Schody mają trzysta pięć stopni. Za każdym razem, kiedy liczę, wypada tyle samo.

Zwijam się w kłębek na samym dole. W tym miejscu przysiadła zwykła kotka, gdy chce, aby ktoś się o nią potknął. Zawsze pragnęłam być kotem. Ciepłym i udomowionym, kiedy zechcę, albo dzikim, kiedy poczuję, że mam wszystkiego dość.

Słyszę dzwonek do drzwi. Zwijam się jeszcze ciaśniej.

Tata wychodzi na korytarz.

– Tesso!- woła.- Na litość boską!

Dzisiaj przyszła nowa pielęgniarka. Ma na sobie spódnicę w szkocką kratę. Prze do przodu niczym okręt. Tata wygląda na rozczarowanego.

– To jest Tessa- mówi, pokazując miejsce, w którym leżę.

Pielęgniarka jest przerażona.

– Spadła ze schodów?

– Nie. Od dwóch tygodni nie wychodzi z domu i zaczyna z tego powodu wariować.

Kobieta podchodzi i mi się przygląda. Jej wielkie piersi falują, kiedy wyciąga rękę, żeby pomóc mi wstać. Ma dłoń jak rakieta tenisowa.

– Jestem Philippa- oznajmia, jakby to wyjaśniało wszystko.

Prowadzi mnie do salonu i pomaga mi usiąść. Potem przykuca po mojej przeciwnej stronie.

– Rozumiem- mówi- że nie czujesz się dzisiaj dobrze?

– A pani jak by się czuła?

Tata rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie. Nie obchodzi mnie to.

– Masz krótki oddech albo mdłości?

– Biorę anty emetyki. Zajrzała pani może do karty choroby?

– Proszę jej wybaczyć- wtrąca tata.- Ostatnio trochę boli ją noga, to wszystko.

Pielęgniarka, która była tu przed tygodniem, twierdziła, że to nic takiego. Zdaje się, że miała na imię Sian. Wiedziała, jakie leki Tessa przyjmuje.

Prycham przez nos. Tata mówi to lekkim tonem, ale mnie nie nabierze. Kiedy Sian była tu po raz ostatni, zaproponował jej kolację i zrobił z siebie kompletnego kretyna.

– Staramy się, żeby pacjenci mieli opiekę stałej osoby z personelu, jednak nie zawsze jest to możliwe.- Philippa odwraca się do mnie, lekceważąc tatę i jego żałosne życie miłosne.

– Skąd te zadrapania na rękach, Tesso?

– Wdrapywałam się na drzewo.

– Masz niski poziom trombocytów. Zaplanowałaś jakieś aktywne działania na ten tydzień?

– Nie chcę kolejnej transfuzji krwi!

– Zrobimy badania, musimy upewnić się, że nic ci nie grozi.

Tata proponuje jej kawę, ale ona odmawia. Sian by się napiła.

– Tata sobie nie radzi- mówię Philippie, kiedy zostajemy same.- Wszystko mu leci z rąk.

Pielęgniarka pomaga mi zdjąć bluzkę.

– A jak ty się z tym czujesz?

- Bawi mnie to.

Wyjmuje z torby gazę i środek odkażający w sprayu, wkłada rękawiczki i podnosi moją rękę, żeby zdezynfekować skórę przed nakłuciem. Czekamy, aż wyschnie.

- Ma pani chłopaka?- pytam.
- Męża.
- Jak ma na imię?
- Andy.

Wymawia jego imię z zakłopotaniem. Ciągle spotykam ludzi, którzy nie umieją się przedstawiać, za to chcą wiedzieć wszystko ma mój temat.

- Wierzy pani w Boga?

Odchyła się na krześle i marszczy brwi.

- Co to za pytanie?!
- Wierzy pani?
- Chciałabym.
- A w niebo? Wierzy pani w niebo?

Rozpakowuje igłę jednorazową.

- To zachęcająca koncepcja.
- Ale niekoniecznie prawdziwa.

Patrzy na mnie surowo.

- Miejmy nadzieję, że prawdziwa.
- A ja myślę, że to wielkie oszustwo. Człowiek umiera i wszystko się kończy.

Wreszcie coś ją ruszyło. Jest oburzona.

- A co się dzieje z duszą i energią?
- Obracają się w nicość.
- Wiesz- mówi- istnieją grupy wsparcia, miejsca, w których poznałabyś młodych ludzi znajdujących się w takiej samej sytuacji.
- Nikt nie jest w takiej samej sytuacji.
- Tak myślisz?
- Tak.

Unoszę ramię, żeby mogła pobrać mi krew. Jestem w połowie robotem, mam pod skórą plastik i metal. Odciąga krew od strzykawki i wylewa ją. To wielka strata, pierwsza strzykawka została skażona solą fizjologiczną. Przez te wszystkie lata pielęgniarki musiały już zabrać cały zapas krwi z mojego organizmu. Philippa bierze drugą strzykawkę, pobiera krew i wstrzykuje ją do próbki, na której niebieskim atramentem wypisuje moje imię i nazwisko.

- Gotowe- oznajmia.- Zadzwoń za godzinę i podam ci wyniki. Czy mogę ci jeszcze jakoś pomóc?
- Nie.
- Masz wszystkie leki? Mogę wpaść do apteki i kupić, co potrzebujesz.
- Nie, dziękuję.

Wstaje i patrzy na mnie z góry z powagą.

- Nasi pracownicy społeczni są w stanie zaoferować ci wsparcie, Tesso. Możemy ci pomóc w powrocie do szkoły, choćby częściowym, na kilka tygodni. Warto o tym pomyśleć. Twoja sytuacja wróciłaby w pewnym stopniu do normy.

Śmieję się jej w twarz.

- Chodziłaby pani do szkoły na moim miejscu?

- Czułabym się samotna, gdybym przesiadywała w domu całym dniami.
- Nie jestem samotna.
- Zapewne- przyznaje mi rację. - Ale twojemu tacie jest naprawdę ciężko.

Krowa. Nie wolno mówić takich rzeczy. Patrę jej prosto w oczy. Chyba zrozumiała.

- Do widzenia, Tesso. Zajrę jeszcze na chwilę do kuchni i wychodzę.

Tata nie zwraca uwagi na jej tuszę i proponuje ciasto owocowe oraz kawę, a ona się zgadza! Jedynym, co powinniśmy proponować gościom, są plastikowe worki na buty. A na bramie należało wymalować wielki znak X.

Wykradam papierosa z kieszeni taty, idę na górę i wychylam się przez okno w pokoju Cala. Chcę popatrzeć na ulicę. Widać stąd jezdnię za wierzchołkami drzew. Przyjeżdża samochód. Potem drugi. Ktoś idzie.

Wydychuję dym w górę. Za każdym razem, gdy się zaciągam papierosem, słyszę jak trzeszcza mi płuca. Może mam gruźlicę. Chciałabym, żeby tak było. Wszyscy wielcy poeci cierpieli na tę chorobę; jest ona oznaką wrażliwości. Rak niesie tylko upokorzenie.

Philippa wychodzi przed dom i przystaje. Strząsam popiół na jej głowę, ale nie widzi tego. Słyszę, jak żegna się swoim tubalnym głosem. I idzie w stronę furtki, poruczając się jak kaczką.

Siadam na łóżku Cala. Zaraz przyjdzie tu tata. Biorę do ręki długopis i piszę na tapecie: „spadochrony, koktajle, kamienie, lizaki, wiadra, zebry, szopy, papierosy, zimna woda w kranie”. Obwąchuję swoje pachy, ręce i palce. Zarzucam włosy na twarz, znów na plecy, traktuję je jak szmaty.

Tata zwleka całą wieczność. Chodzę w tę i z powrotem po pokoju. Staję przed lustrem i wrywam sobie włos. Jest ciemniejszy niż te z przodu głowy, wije się, jakby pochodził z łona. Oglądam go dokładnie i rzucam na podłogę. Podoba mi się myśl, że nawet gdy mnie już nie będzie, on zostanie na dywanie.

W pokoju Cala wisi na ścianie mapa świata. Są na niej oceany i pustynie. Na suficie przykleił model układu słonecznego. Kładę się na łóżku, żeby mu się przyjrzeć. Nagle czuję się bardzo mała.

Dokładnie pięć minut później otwieram oczy i schodzę do kuchni, żeby zovaczyć, co robi tata. Wyszedł i zostawił mi głupią wiadomość przy laptopie.

Dzwonię.

- Gdzie jesteś?
- Przecież zasnął.
- Gdzie jesteś?
- Wyszedłem na chwilę na kawę. Jestem w parku.
- W parku? Po co tam poszedłeś? Kawę mamy w domu.
- Tesso! Potrzebowałam trochę przestrzeni. Włącz telewizor, jeżeli czujesz się samotna. Niedługo wrócę.

Jakaś kobieta gotuje kurczaka. Trzej mężczyźni przyciskają guziki, biorąc udział w grze o pięćdziesiąt tysięcy funtów. Dwoje aktorów wyklóca się o martwego kota. Jeden z nich żartuje, że każe go wypchać. Przygnębiające. Wyłączam fonię. Co za bzdury nadają w telewizji? Jak niewiele mamy do powiedzenia.

Wysyłam SMS-a do Zoey; GDZIE JESTEŚ? Odpisuje, że w college'u. Kłamie, w piątce nie ma zajęć.

Chciałabym mieć numer komórkowy Adama. Napisałabym: „UMARŁEŚ”?

Powinien być w ogrodzie i rozrzucać nawóz- torf i zgniłe warzywa. Przejrzałam listopadowe rady dla ogrodników w „Reader's Digest taty. Podobno to idealna pora na użyźnianie gleby. Powinien też pomyśleć o zasadzeniu orzecha włoskiego. Stanowi on

atrakcyjny dodatek do każdego ogrodu. Przyszło mi do głowy, że lepiej zasadzić leszczynę. Orzechy laskowe mają kształt serca. Nie widziałam Adama od trzech dni. Obiecał mi przejażdżkę na motorze.

Rozdział 16

Jest brzydszy, niż mi się wydawało. Pewnie wyidealizowałam jego obraz w pamięci. Nie wiem dlaczego. Wyobrażam sobie, jak Zoey by mnie wyśmiała, że zapukałam do jego drzwi. Postanowiłam, że nigdy jej o tym nie powiem. Twierdzi, że brzydale przyprawiają ją o ból głowy.

– Unikasz mnie- mówię.

Zaskoczyłam go, ale szybko dochodzi do siebie.

– Byłem zajęty.

– Naprawdę?

– Tak.

– Więc nie boisz się, że cię zarażę? Większość ludzi zachowuje się tak, jakbym mogła - przekazać im raka, albo traktują mnie tak, jakbym zachorowała z własnej winy.

Jest przestraszony.

– Nie, nie! Ja tak nie myślę!

– Świetnie. To kiedy przejedziemy się na motorze?

Zawstydzony szura nogami na schodach.

– Tak naprawdę nie zdałem jeszcze wszystkich egzaminów i nie wolno mi wozić pasażerów.

Przychodzi mi na myśl, że jest pewnie milion powodów, dla których przejażdżka motorem z Adamem to kiepski pomysł. Możemy mieć wypadek. Może też nie być to tak przyjemne, jak się spodziewam. Co powiem Zoey? Najbardziej na świecie chcę się przejechać motorem. Nie pozwolę, żeby powstrzymał mnie brak jakiegś głupiej licencji.

– Masz zapasowy kask?- pytam.

Na jego twarzy znów pojawia się leniwy uśmiech. Uwielbiam go! Czy też wydaje mi się brzydki? Nie, całkowicie się zmienił.

– W szopie. Mam też zapasową kurtkę.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Czuję się odważna i pewna siebie.

– No to jazda. Nim zacnie padać.

Zamyka za sobą drzwi.

– Nie będzie padać.

Okrażamy dom i wyjmujemy rzeczy z szopy. Kiedy jednak pomaga mi zapiąć kurtkę, mówiąc, że jego motor wyciąga 140 km/h, otwierają się tylnie drzwi i jakaś kobieta wychodzi na dwór. Ma na sobie koszulę nocną i kapcie.

– Wracaj do domu, mamó- prosi Adam.- Przeziębisz się.

Ale ona idzie w naszą stronę. Ma najsmutniejszą twarz, jaką widziałam, wygląda tak, jakby kiedyś się topiła i woda pozostawiła na niej swój ślad.

– Dokąd się wybierasz?- pyta, nie zwracając na mnie uwagi.- Nie mówiłeś, że wychodzisz.

– Niedługo wrócę.

Kobieta wydaje dziwny dźwięk z głębi gardła. Adam patrzy na nią ostro.

– Przestań, mamó. Wykap się i ubierz. Będę z powrotem, zanim się obejrzysz.

Kiwa głową i idzie w stronę domu. Nagle zatrzymuje się, jakby o czymś sobie

przypomniała, odwraca się i po raz pierwszy spogląda na mnie, na obcą osobę w jej ogrodzie.

- Kim jesteś?- pyta.
- Mieszkam obok. Przyszłam do Adama.

Smutek w jej oczach się pogłębia.

- Tak myślałam.

Adam podchodzi do matki i ujmuje ją łagodnie za łokcie.

- Chodźmy- prosi.- Powinnaś wejść do domu.

Pozwala mu poprowadzić się ścieżką do tylnych drzwi. Wchodzi na stopień i odwraca się jeszcze raz, żeby na mnie spojrzeć. Nie odzywa się, ja też milczę. Patrzymy na siebie, a potem oboje znikają w środku. Zastanawiam się, o czym rozmawiają.

- Czy ona dobrze się czuje?- pytam, kiedy Adam wraca do ogrodu.
- Jedźmy już.- mówi.

Nie tak to sobie wyobrażałam. Nie przypomina to jazdy na rowerze stromym zboczem ani nawet przejażdżki samochodem z głową wystawioną na zewnątrz. To coś bardziej żywiołowego, jak spacer po plaży zimą, kiedy wiatr od morza jest tak silny, że niemal urywa głowę. Kaski mają plastikową osłonę na twarz. Opuściłam swoją, ale Adam tego nie zrobił. Celowo.

- Lubię, kiedy wiatr wieje mi w oczy- powiedział.

Kazam mi się przytulić, gdy będziemy mijali zakręty. Stwierdził, że skoro to moja pierwsza przejażdżka, nie będzie jechał zbyt szybko. Ale przecież to mogło oznaczać wszystko.

Nawet przy mniejszej prędkości możemy się unieść i polecieć.

Mijamy ulice, latarnie, domy. Zostawiamy za sobą sklepy, zakłady przemysłowe i lasek, przekraczamy granicę miasta, gdzie wszystko ma ustalony porządek. Przed nami pojawiają się drzewa, pola i przestrzeń. Chowam głowę za plecami Adama, zamykam oczy i zastanawiam się ,dokąd mnie zabierze. Wyobrażam sobie konie w silniku, z rozdętymi chrapami, parującym oddechem, galopujące nad ziemią. Słyszałam kiedyś historię o nimfie porwanej przez boga i uwiezionej rydwanem w jakąś mroczną i niebezpieczną okolicę. Dojeżdżamy do miejsca, którego zupełnie się nie spodziewałam- na zabłocony parking na poboczu autostrady. Stoją tam dwie ciężarówki, kilka samochodów i bydka z hot dogami. Adam wyłącza silnik, kopie podstawkę i zdejmuje kask.

- Musisz zsiąść pierwsza- mówi.

Kiwam głową nie mogąc wyksztusić ani słowa, zostawiłam oddech gdzieś daleko na drodze. Kolana mi się trzęsą i muszę zdobyć się na wysiłek, żeby przerzucić nogę nad motorem i postawić ją na ziemi. Ziemia jest nieruchoma. Jeden z kierowców ciężarówek puszcza do mnie oko przez szybę. Trzyma w ręku filiżankę z parującą herbatą. W budce z hot dogami dziewczyna uczesana w koński ogon podaje torebkę frytek mężczyźnie z psem. Jestem inna niż oni. Przylecieliśmy tutaj z daleka, a wszyscy są zupełnie zwyczajni.

- Jeszcze nie dorarliśmy na miejsce- uprzedza Adam.- Przekąsimy coś a potem zobaczysz.

Zdaje się rozumieć, że nie mogę jeszcze mówić, i nie czeka na odpowiedź. Idę wolno za nim, słyszę, jak zamawia dwa hot dogi z cebulką. Skąd wiedział, że to mój wymarzony lunch?

Jemy na stojąco. Dzielimy się colą. Dziwię się, że tu jestem. Świat otworzył się przede mną na siedzeniu motoru, niebo wyglądało jak jedwab i zobaczyłam popołudniowe światło nie białe, szare albo srebrne, ale połączenie wszystkich tych barw. Wrzucam papier do kosza i dopijam colę.

- Gotowa?- pyta Adam.

Idę za nim przez furtkę za budką z hot dogami. Mijamy rów i wchodzimy do niewielkiego lasku. Błotnista ścieżka prowadzi na otwartą przestrzeń. Nie miałam pojęcia, że znajdujemy się tak wysoko. Jestem zachwycona. Jakby ktoś rozłożył nam całe miasto u stóp.

Spoglądamy na nie z góry.

- Jeju! Nie wiedziałam, że stąd jest taki widok.
- No.

Siedzimy razem na ławce, nie dotykając się kolanami. Czuję twardą ziemię pod stopami. Powietrze jest zimne, pachnie mrozem, który nadejdzie razem z zimą.

- Przyjeżdżam tutaj, kiedy chcę się wyrwać na chwilę- mówi Adam.- To stąd przywiozłem grzyby.
- Proszę. To cię rozgrzeje.

Podaje mi papierosa. Przyglądam się, jak robi drugiego dla siebie. Skręt wygląda niczym blady, chudy palec. Podaje mi ogień. Nie odzywamy się całą wieczność, tylko wydmuchujemy dym na miasto.

- Cokolwiek tam się teraz dzieje, o tym nie wiemy- stwierdza.

\Wiem, co ma na myśli. Tam na dole może być piekło. Wielki chaos snów i marzeń kłębiących się we wnętrzach małych domków. Ale tutaj panuje spokój. Jest czysto.

- Przykro mi, że widziałaś moją mamę- mówi.- Czasem trudno z nią dojść o ładu.
- Choruje?
- Niezupełnie.
- To co jej jest?

Wzdycha, przesuwa ręką po włosach.

- Tata zginął w wypadku samochodowym półtora roku temu.

Rzuca papierosa na trawę. Patrzymy, jak się żarzy pomarańczowym światem. Mam wrażenie, że mijają minuty, zanim gaśnie.

- Chcesz o tym pogadać?

Wzrusza ramionami.

- Nie ma o czym. Rodzice pokłócili się, tata wybiegł z domu i chciał pojechać do pubu, ale nie rozejrzał się na skrzyżowaniu. Dwie godziny później do drzwi zapukała policja.
- Cholera!
- Widziałaś kiedyś przestraszonego policjanta?
- Nie.
- Straszny widok. Mama siedziała na schodach i zakrywała oczy dłońmi, a oni stali na korytarzu. Zdjęli czapki i kolana im się trzęsły.- Zaśmiał się przez nos, miękko i smutno.- Byli tylko trochę starsi ode mnie. Nie umieli sobie poradzić z tą sytuacją.
- Okropne!
- Mama nie mogła uwierzyć, że tata nie żyje. Zabrali ją, żeby zobaczyła ciało. Chciała tego, ale nie powinni byli jej na to pozwolić. Zostało zmasakrowane.
- Pojechałeś z nimi?
- Czekałem na zewnątrz.

Teraz rozumiem, dlaczego Adam jest inny niż Zoey, inny niż wszyscy, których znam ze szkoły. Łączy nas ból.

- Sądziłem, że będzie lepiej, jeśli wyprowadzimy się ze starego domu, ale to nic nie dało. Mama codziennie zażywa bardzo dużo leków.
- Opiekujesz się nią?
- Tak.

- A co z twoim życiem?
- Nie mam wyboru.

Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. Wygląda tak, jakby naprawdę mnie widział, jakby wiedział coś o mnie, o czym nawet ja nie wiem.

- Boisz się, Tesso?

Nikt mnie jeszcze o to nie pytał. Nigdy. Przyglądam mu się, żeby sprawdzić, czy ze mnie nie kpi albo nie pyta z uprzejmości, ale on wytrzymuje to spojrzenie. Mówię, że się lękam ciemności, boję się zasnąć, budzą we mnie strach palce z błonami, zamknięte przestrzenie i drzwi.

- To uczucie przychodzi i odchodzi. Ludzie myślą, że chorzy są odważni i nieustraszeni, lecz to nieprawda. Mam wrażenie, jakby ciągle ścigał mnie jakiś psychol, jakby w każdej chwili mógł mnie zastrzelić. Ale czasami zapominam o strachu na wiele godzin.
- Co sprawia, że zapominasz?
- Ludzie. Zajęcia. Kiedy byłam z tobą w lesie, zapomniałam na całe popołudnie.

Adam wolno kiwa głową.

Zapada cisza, niedługa, ale ma kształt poduszki owijającej pudełko o ostrych kantach.

- Podobasz mi się, Tesso- oznajmia Adam.

Z trudem przełykam ślinę.

- Tak?
- Tamtego dnia, kiedy przysłaś wyrzucić papiery do ogniska, oświadczyłaś, że chcesz się pozbyć wszystkiego, co masz. Powiedziałaś, że obserwujesz mnie przez okno. Ludzie nie mówią takich rzeczy.
- Przestraszyłam cię?
- Wręcz przeciwnie.- Adam wpatruje się w swoje stopy, jakby mogły mu podpowiedzieć właściwe słowa.- Ale nie jestem w stanie dać ci tego, czego chcesz.
- Czego chcę?
- Ja sam z trudem daję sobie raę. Gdyby coś się wydarzyło między nami, jaki miałoby sens?- Poprawia się na ławce.- Nie chciałem tego powiedzieć.

Czuję się dziwnie niedostępna, kiedy wstaję. W środku zamyka mi się jakieś okno. To, które kontroluje temperaturę i uczucia. Czuję się krucha jak zimowy liść.

- To na razie- rzucam.
- Już lecisz?
- Tak, mam coś do załatwienia na mieście. Przepraszam, nie zsawałam sobie sprawy, która jest godzina.
- Naprawdę musisz już iść?
- Umówiłam się ze znajomymi. Będą na mnie czekać.

Szuka na trawie naszych kasków.

- Odwiozę cię.
- Nie, nie trzeba. Poproszę kogoś, żeby mnie podrzucił. Tu wszyscy mają samochody.

Wygląda na oszołomionego. Ha! Świetnie! To pozwoli mu zrozumieć, że jest tak sam jak wszyscy. Odchodzę, nie zadając sobie trudu, żeby się pożegnać.

- Czeka!- woła.

Nie mam mowy. Nawet się nie obejrzę.

- Ścieżka może być śliska. Zaczyna padać.

Mówiłam, że będzie padać. Wiedziałam.

- Tesso, podwiozę cię.

Jeśli sądzi, że wsiądę z nim na motor, to grubo się myli.
Popełniłam fatalny błąd, myśląc, że może mnie ocalić.

Rozdział 17

Zaczynam od napaści i wsiadając do autobusu, szturcham łokciem jakąś kobietę. Odwraca się i patrzy na mnie ze złością.

- Auu!- krzyczy.- Uważaj, co robisz.
- To on!- bronię się, pokazując na mężczyznę stojącego tuż za mną. Nie słyszy nas, jest zbyt zajęty trzymaniem na rękach wrzeszczącego dziecka i rozmową przez telefon. Nie wie, że właśnie go oskarżyłam. Kobieta mnie wymija.
- Dupek!- zwraca się do tamtego.

Usłyszał.

W zamieszaniu udaje mi się nie zapłacić za bilet. Znajduję sobie miejsce z tyłu. Trzy przestępstwa w ciągu minuty. Nieźle.

W drodze ze wzgórza przeszukałam kieszenie kurtki Adama, ale znalazłam tylko zapalniczkę i pomiętego skręta. Nie mam czym zapłacić. Postanawiam popełnić czwarte przestępstwo i zapalić. Jakiś starszy człowiek odwraca się i celuje we mnie palcem.

- Zgaś to!- krzyczy.
- Spadaj- odpowiadam w sposób, który w sądzie zostałby uznany za jawną agresję.

Jestem w tym dobra. Czas na małe morderstwo w rundce Gry w umieranie.

Mężczyzna siedzący trzy rzędy przede mną karmi makaronem na wynos chłopca trzymanego na kolanach. Przyznaję sobie trzy punkty za sztuczne barwniki, które płyną teraz w żyłach dziecka.

Po przeciwnej stronie kobieta wiąże chustkę pod brodą. Punkt za guz na szyi, surowy i różowy jak szczytce kraba.

Kolejny punkt za eksplozję autobusu, który psuje się na światłach. Dwa za wielkie kule roztopionego plastiku z siedzeń., które rozpadają się w powietrzu.

Pani psycholog w szpitalu powiedziała, że to nie jest moja wina. Twierdziła, że wielu chorych ludzi życzy po cichu zdrowym, by spotkało ich to samo nieszczęście.

Powiedziałam jej, że - zdaniem mojego taty- rak jest oznaką popełnionej zdrady, bo ciało robi coś bez wiedzy i zgody umysłu. Zapytałam, czy moja gra może być metodą obroną przez umysł, aby się odegrać.

- To możliwe- odparła. – Często w nią grasz?

Autobus mija cmentarz. Właśnie otwarto żelazną bramę. Trzy punkty za zmarłych odsuwających wieka trumien. Chcą skrzywdzić żywych. Nie mogą się powstrzymać. Ich szyje zmieniły się w ciecz, a palce lśnią w bladym jesiennym słońcu.

Chyba już wystarczy. Jest straszny tłok. Pasażerowie wciąż się zmieniają.

- Jadę autobusem- mówią do swoich telefonów komórkowych. Zabicie ich wszystkich sprawi tylko, że popadnę w depresję.

Zmuszam się, żeby wyrzeć przez okno. Dotarliśmy już na Willis Avenue. Chodziłam tędy do szkoły. Tu jest mini market!

Prawie zapomniałam o jego istnieniu, a przecież był pierwszym sklepem w mieście, w którym sprzedawano pluszowe pieski. Razem z Zoey wpadałyśmy tu codziennie latem, wracając ze szkoły, i kupowałyśmy po jednym. Mają też świeże daktyle, figi, chałwę,

sezamki i tureckie słodycze. Nie mogę uwierzyć, że zapomniałam o mini markecie. Po lewej znajduje się sklep z kasetami video, w drzwiach Grill Baru stoi mężczyzna w białym fartuchu i ostrzy nóż. Jagnięcina powoli obraca się na ruszcie w oknie za nim. Jakies dwa lata temu za pieniądze przeznaczone na obiad kupowałam kebaba i frytki, a Zoey zamawiała dodatkowa jednego papierosa spod lady.

Tęsknię za nią. Wsiadam z autobusu przy rynku i dzwonię. Jej głos brzmi tak, jakby była pod wodą.

- Siedzisz w basenie?
- W wannie.
- Sama?
- Oczywiście.
- Napisałaś, że jesteś w college'u. Wiedziałam, że kłamiesz.
- Czego chcesz, Tesso?
- Złamać prawo.
- Co?
- Numer cztery na mojej liście.
- Co chcesz zrobić?

Kiedyś sama wychodziła z inicjatywą. Scott sprawił, że straciła pomysłowość i cały swój charakter. Wygląda tak, jakby jej kontury uległy zatarciu.

- Myślałam o zastrzeleniu premiera. Chętnie wznieciłabym jakąś rewolucję.
- Bardzo śmieszne.
- Mogłabym też zabić królową. Trzeba by tylko pojechać autobusem do pałacu Buckingham.

Zoey wzdycha. Nawet nie sili się na to, by okazać zainteresowanie.

- Mam dzisiaj coś do zrobienia. Nie mogę się z tobą spotykać codziennie.
- Nie widziałam cię od 10 dni!

Milczenie. Mam ochotę zrobić jej krzywdę.

- Obiecałaś, że zrobisz to ze mną, Zoey. Zrealizowałam dopiero trzy punkty ze swojej listy.

W takim tempie nie zdążę ze wszystkim, co zaplanowałam.

- Och, na litość boską!
- Jestem na rynku. Przyjedź, zabawimy się.
- Na rynku? Jest tam Scott?
- Nie wiem. Dopiero wysiadłam z autobusu.
- Będę za dwadzieścia minut.

W mojej filiżance odbija się słońce. Jak łatwo jest siedzieć przy stoliku w kawiarnianym ogródku i patrzeć na nie.

- Myślę, że jesteś wampirem- mówi Zoey.- Wyssałaś ze mnie całą energię.- Odsuwa swój talerzyk na bok i kładzie głowę na stole.

Podoba mi się tutaj- markizy są w cukierkowe paski. Dostrzegam urok spadających kropli deszczu u z upodobaniem obserwuję ptaki siedzące w rzędzie na murze.

- Co to za ptaki?
- Szpaki.
- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

Nie jestem pewna, czy powinnam jej wierzyć, ale zapisuję to sobie na serwetce.

- A chmury? Wiesz, jak się nazywają?

Jęczy i podnosi głowę znad stolika.

- Myślisz, że kamienie też mają nazwy, Zoey?
- Nie! Podobnie jak krople deszczu, liście i inne idiotyzmy.

Otacza głowę ramionami i ukrywa twarz przede mną. Marudzi od chwili, kiedy się zjawiała, i zaczynała mnie wkurzać. To tak poprawia mi samopoczucie?

Zoey kręci się na krześle.

- Nie jest ci zimno?
- Nie.
- Możemy obrabować bank, albo coś w tym stylu?
- Nauczysz mnie prowadzić?
- Nie możesz poprosić taty?
- Próbowałam, ale nic z tego nie wyszło.

To potrwa milion lat, Tesso. Zresztą, nie wolno mi. Sama dopiero zrobiłam prawko.

- Od kiedy to się przejmujesz?
- Musimy o tym teraz rozmawiać? Idziemy.

Odsuwa krzesło, ale ja nie jestem jeszcze gotowa. Chcę obserwować czarną chmurę płynącą w kierunku słońca. Pragnę przyglądać się niebu zmieniającemu barwę z szarej na czarną jak węgiel. Wiatr zerwie z drzew wszystkie liście. Pobiegnę, żeby je złapać. Będę przy tym wypowiadała setki życzeń.

Nadchodzą trzy kobiety z wózkami i dziećmi. Idą w naszą stronę przez skwer.

- Pośpieszcie się!- wołają.- Tutaj, zanim znowu zacznie padać!

Otrząsają się ze śmiechem z deszczu i przeciskają między stolikami, żeby dojść do wolnego.

- Co zamawiamy? Na co mamy ochotę?- wypytują się. Są tak samo hałaśliwe jak szpaki.

Zoey przeciąga się i zerka na kobiety, jakby nie wiedziała, skąd się wzięły. Robią dużo zamieszania. Zdejmują płaszcze i sadzają dzieci na wysokich fotelikach, wycierają nosy, zamawiają sok i ciastka z owocami.

- Mama przyprowadzała mnie do kawiarni, gdy była w ciąży z Calem- mówię Zoey.- Była wtedy uzależniona od koktajli mlecznych. Przychodziłyśmy tutaj codziennie, aż zrobiła się tak gruba, że kolana jej zniknęły, gdy siadała. Gdy chciałyśmy spędzić czas przed telewizorem, musiałam zajmować miejsce przy niej na taborecie.
- Boże!- warczy Zoey.- W twoim towarzystwie czuję się tak jak podczas oglądania horrorów.

Po raz pierwszy obserwują ją z uwagą. Zupełnie przestała o siebie dbać. Włożyła bezkształtne getry i koszulę. Chyba nigdy nie widziałam jej bez makijażu. Na twarzy wyraźnie odznaczają się pryszcze.

- Wszystko w porządku, Zoey?
- Zimno mi.
- Myślałaś, że dzisiaj jest dzień targowy? Chciałaś zobaczyć się ze Scottem?
- Nie!
- To dobrze, bo nie wyglądasz najlepiej.

Zerka na mnie.

- Możemy podwędzić coś w sklepie- proponuje.- Chodź, miejmy to już za sobą.

Rozdział 18

Morrisons jest największym supermarketem w centrum handlowym. Nadchodzi pora, kiedy kończą się lekcje i wszędzie pełno ludzi.

- Weź koszyk- mówi Zoey.- I uważaj na sklepowych detektywów.
- A ja oni wyglądają?
- Jakby byli w pracy!

Przechadzam się wolnym krokiem, delektując się każdą minutą mego przedsięwzięcia. W dziale delikatesów na ladzie leżą małe kiełbaski. Biorę dwa kawałki sera i oliwkę i nagle uświadamiam sobie, że konam z głodu. Na stoisku z owocami nabieram pełną garść wiśni. Jem, idąc dalej.

- Gdzie ty to wszystko mieścisz?- pyta Zoey.- Niedobrze mi się robi na twój widok. Każę mi wkładać rzeczy, których nie chcę, do koszyka. Zupę pomidorową i krakersy śmietankowe.

- W kieszeni chowaj to, co chcesz zabrać.
- Czyli co?

Zniecierpliwiła się.

- Nie wiem, do cholery! W tym sklepie jest mnóstwo rzeczy. Sama decyduj, co chcesz wziąć.

Wybieram smukłą buteleczkę z lakierem do paznokci w kolorze krwistej czerwieni. Wciąż mam na sobie kurtkę Adama, w której jest bardzo wiele kieszeni. Łatwo coś do nich przemycić.

- Super!- oznajmia Zoey.- Prawo zostało złamane. Możemy już iść?
- To wszystko?
- Teoretycznie tak.
- Nie poczułam żadnych emocji. Ucieczka z knajpy bez płacenia rachunku byłaby bardziej podniecająca.

Wzdycha, zerkając na telefon.

- Dobra, jeszcze pięć minut- mówi jak tata.
- A ty? Będziesz się tylko przyglądać?
- Stoję na czatach.

Farmaceutka w dziale aptecznym rozmawia z klientem o syropie na kaszel. Chyba nie udczuje braku balsamu nawilżającego ani małego pudełka odżywczego kremu do ciała. Wrzucam do koszyka chrupkie pieczywo, W kieszeni ładuje nawilżający krem do twarzy. Herbata do koszyka. Jedwabny balsam do ciała dla mnie. Czuję się tak, jakbym zbierała truskawki.

- Jestem w tym dobra- oznajmiam Zoey.
- Świetnie.

Nie słucha mnie. Stoi na czatach. Bawi się czymś przy ladzie apteki.

- Do działu słodyczy.

Nie odpowiada. Zostawiam ją.

Nie jesteśmy wprawdzie w Belgii, ale na półkach znajdują się miniaturowe pudełka z truflami, przewiązane uroczymi kokardkami. Kosztują tylko funta i dziewięćdziesiąt dziewięć pensów, więc pakuję dwa do kieszeni. Kurtka motocyklowa okazuje się idealna do

kradzieży. Ciekawe, czy Adam sam się o tym przekonał.

Mijamy regały i już przy lodówkach mam kieszenie wypchane po brzegi. Zastanawiam się, jak długo wytrzymałyby w nich mrożonki Bena i Jerry'ego, gdy mijają nad dwie dziewczyny z którymi chodziłam do szkoły. Zatrzymują się na mój widok i coś do siebie szepczą. Już mam wysłać SMS-a do Zoey, żeby przybyła z odsieczą, kiedy podchodzą.

– Tessa Scott?- pyta blondynka.

– Tak.

– Pamiętasz nas? Jesteśmy Fiona i Beth.- Brzmi to tak, jakby były parą.- Odeszłaś ze szkoły w jedenastej klasie, prawda?

– W dziesiątej.

Patrzą na mnie wyczekująco. Czy nie zdają sobie sprawy, że przybywają z innej planety- tej, która obraca się znacznie wolniej niż moja- i nie mam im nic do powiedzenia?

– Co słyhać?- pyta w końcu Fiona. Beth kiwa głową, jakby całkowicie zgadzała się z tym pytaniem.- Ciągłe się leczysz?

– Już nie.

– Wyzdrowiałaś?

– Nie.

Patrzą, czy zrozumiały. Widzę to najpierw w ich oczach, a potem na policzkach i ustach. Mogłam się spodziewać takiej reakcji. Nie będą zadawały mi więcej pytań, te grzecznościowe już się wyczerpały. Chcę je odprawić, ale nie wiem, jak to zrobić.

– Jestem tutaj z Zoey- rzucam, żeby przerwać przedłużającą się ciszę.- Zoey Walker. Była o klasę wyżej.

– Naprawdę?- Fiona szturcha przyjaciółkę.- Dziwne. Opowiadałam ci o niej.

Beth rozjaśnia się nieco z ulgą. Nareszcie rozmowa zeszała na normalny plan.

– Pomaga ci robić zakupy?- zwraca się do mnie jak do czterolatki.

– Niezupełnie.

– Patrzcie!- wykrzykuje Fiona.- Tam jest! Już wiesz, o kim mówiłam?

Beth potakuje.

– Ach, ona!

Zaczynam żałować, że w ogóle coś powiedziałam. Nachodzą mnie złe przeczucia. Ale jest już za późno.

Zoey nie okazuje radości na ich widok.

– Co tu robicie?

– Rozmawiamy z Tessą.

– O czym?

– O tym i owym.

Zoey przygląda mi się podejrzliwie.

– Możemy już iść?

– Tak.

– Zanim odejdziecie- Fiona łapie Zoey za rękaw- powiedz, czy to prawda, że spotykasz się ze Scottem Redmondem?

Zoey się waha.

– Dlaczego pytasz? Znasz go?

Fiona prycha.

– Wszyscy go znają- mówi, wywracając oczami.- To znaczy wszystkie.

Beth wybucha śmiechem.

– Tak, chodził z moją siostrą jakieś pół godziny.

W oczach Zoey pojawia się błysk.

- Naprawdę?
- Słuchajcie- wtrącam.- To fascynująca rozmowa, ale musimy się zbierać. Mam do odebrania zaproszenia na swój pogrzeb.

To ich ucisza. Fiona wygląda na zdezorientowaną.

- Serio?
- Serio. – Chwytam Zoey pod ramię.- Żałuję, że mnie na nim nie będzie. Uwielbiam imprezy. Przyślijcie mi SMS-a, jeśli przyjdzie wam do głowy jakiś dobry pomysł na pieśń żałobną.

Zostawiamy je kompletnie oszołomione. Obchodzimy regały i zatrzymujemy się w dziale przyborów kuchennych, otoczone sztukami ze stali nierdzewnej.

- To kompletne idiotki, Zoey. Nie mają o niczym pojęcia.

Zoey ogląda szcypce do cukru.

- Nie chcę o tym mówić.
- Zróbmy coś szalonego żeby poprawić sobie nastrój. Postarajmy się jak najwięcej razy w ciągu godziny złamać prawo.

Zoey uśmiecha się blado.

- Możemy podpalić dom Scotta.
- Nie powinnaś im wierzyć.
- Dlaczego?
- Bo znasz go lepiej niż one.

Nigdy nie widziałam, jak Zoey płacze. Nigdy. Nie uroniła ani jednej łzy, nawet wtedy kiedy odebrała wyniki egzaminu, nawet gdy powiedziałam jej, że jestem śmiertelnie chora.

Zawsze sądziłam, że nic nie jest w stanie jej poruszyć. A teraz płacze w supermarkecie.

Próbuje to ukryć i zasłania twarz włosami.

- Muszę go znaleźć- mówi.
- Teraz?
- Przepraszam.

Robi mi się zimno na widok jej łez. Dlaczego jej na nim aż tak zależy? Przecież znają się dopiero kilka tygodni.

- Jeszcze nie skończyłyśmy z łamaniem prawa.

Kiwa głową; łzy spływają jej po twarzy.

- Postaw gdzieś koszyk i wyjdź. Przykro mi. Nic nie poradzę. Muszę iść.

Już to widziałam. Zoey odchodzi, jej złote włosy podskakują, gdy się oddala.

Może podpale jej dom.

Bez przyjaciółki zabawa traci sens. Odstawiam koszyk z miną mówiącą: „Nie do wiary, zapomniałam portmonetki”, i stoję jakiś czas w miejscu, drapiąc się w głowę, a potem ruszam w kierunku wyjścia. W tej samej chwili ktoś chwyta mnie za nadgarstek.

Zoey twierdziła, że detektywów sklepowych łatwo rozpoznać. Sądziłam, że są ubrani w garnitury i nie wkładają płaszczy, bo cały czas spędzają w sklepie.

Ten nosi kurtkę dżinsową i ma krótko przystryżone włosy.

- Zamierzasz zapłacić za to, co schowałaś w kieszeni?- pyta.- Mam powody przypuszczać, że zabrałaś kilka rzeczy z działu piątego i siódmego. Widział to jeden z naszych pracowników.

Wyjmuję z kieszeni lakier do paznokci i oddaję mu.

- Może pan to zabrać.
- Pójdziesz ze mną.

Fala gorąca zalewa mi szyję i podnosi się aż do oczu.

- Nie chcę.
- Miałaś zamiar wyjść ze sklepu i nie płacić- stwierdza, ciągnąc mnie za rękę.

Idziemy wzdłuż regałów, na tył sklepu. Wszyscy na mnie patrzą, czuję na sobie palące spojrzenia. Nie jestem pewna, czy on ma prawo mnie ciągnąć. Może wcale nie jest detektywem sklepowym, tylko chce mnie zwabić w jakieś odosobnione miejsce. Zapieram się nogami i przytrzymuję regału. Oddycham z trudem.

Waha się.

- Dobrze się czujesz? Masz astmę albo coś w tym rodzaju?

Zamykam oczy.

- Nie, ja... Nie chcę...

Nie mogę dokończyć zdania. Zbyt wiele słów pcha mi się na usta.

Mężczyzna marszczy brwi, wyjmuje pager i prosi o pomoc. Mija nas wózek z dwójką dzieciaków, które się na mnie gapią. Dziewczyna w moim wieku przechodzi obok wolnym krokiem, a potem zawraca z głupim uśmiechem.

Zbliża się do nas kobieta. Z plakietki przypiętej do jej ubrania dowiaduję się, że ma na imię Shirley. Patrzy na mnie surowo.

- Zabiorę ją- oświadcza i odprawia detektywa.- Idziemy.

Tajne biuro znajduje się za działem rybnym. Nigdy bym się nie domyśliła, że tam jest. Shirley zamyka za nami drzwi. Takie pokoje widzi się na filmach kryminalnych- małe i duszne, ze stołem i dwoma krzesłami, oświetlone jarzeniówką.

- Siadaj- rzuca Shirley.- Opróżnij kieszenie.

Robię, co mi każe. Rzeczy, które ukradłam, wyglądają nędznie i tanio na pustym stoliku.

- Tak- mówi.- Nazwałabym to dowodami. A ty?

Próbuję się rozplakać, ale nie robi to na niej wrażenia. Podaje mi chusteczkę z obojętną miną. Czeką aż wydmucham nos, i wskazuje, gdzie stoi kosz na śmieci.

- Muszę ci zadać kilka pytań. Zaczniemy od tego, jak się nazywasz.

Cała ta procedura trwa bardzo długo. Chce znać wszystkie szczegóły- mój wiek, adres, numer telefonu taty. Pyta nawet o imię mamy, chociaż nie uważam, żeby to miało jakieś znaczenie.

- Masz wybór. Możemy zadzwonić do twojego ojca albo zawiadomić policję.

Decyduję się na desperacki krok. Zdejmuję kurtkę Adama i zaczynam rozpinąć bluzkę. Prawie nie mrugnęła okiem.

- Nie jestem zdrowa- mówię. Ściągam rękaw i pokazuję jej metalowy dysk pod pachą.- To specjalny port, przez który podają mi leki.
- Ubierz się.
- Chcę, żeby mi pani uwierzyła.
- Wierzę ci.
- Choruję na białaczkę limfo blastyczną. Może pani zadzwonić do szpitala.
- Włóż bluzkę.
- Wie pani, co to za choroba?
- Niestety nie.
- Rak.

Nie dała się nastraszyć. Dzwoni do taty.

Jest takie miejsce pod lodówką w naszym domu, gdzie zawsze stoi kałuża wody. Każdego ranka tata wyciera ją specjalną ściereczką antyseptyczną. W ciągu dnia woda zbiera się znowu. Drewniane klepki podłogowe nasiakają wilgocią. Którejś nocy nie mogłam zasnąć o

zauważyłam trzy uciekające karaluchy, kiedy zapaliłam światło. Następnego dnia tata kupił pułapki z klejem i włożył do nich kawałek banana na przynętę. Mimo to nie udało nam się złapać ani jednego karalucha. Tata mówi, że mam przywidzenia.

Już kiedy byłam bardzo mała, widziałam znaki- motyle zamknięte w słoikach z dżemem, królika Cala, który zjadł własne dzieci.

Była taka dziewczynka w mojej szkole, która potłukła się, spadając z kucyka. Później chłopak ze sklepu warzywnego wpadł pod taksówkę. Mój wujek Bill miał guza mózgu. Na jego pogrzebie wszystkie kanapki zwinęły się wzdłuż krawędzi. Potem przez wiele dni nie mogłam usunąć z butów ziemi z cmentarza.

Kiedy zauważyłam czerwone kreski na plecach, tata zaprowadził mnie do lekarza.

Powiedział, że nie powinnam być wciąż zmęczona. Mówił wiele rzeczy. Nicą drzewa stuknęły do moich okien, jakby chciały wdrzeć się do środka. Czułam się osaczona.

Wchodzi tata i przykuca przy moim krześle. Unosi mi brodę tak, żebym mogła spojrzeć mu w oczy. Jeszcze nigdy nie był tak smutny.

– Nic ci nie jest?

Ma na myśli stan fizyczny, więc oznajmiam mu, że nie. Nie wspominam o pajakach na parapecie.

Tata wstaje i patrzy na siedzącą przy biurku Shirley.

– Moja córka jest chora.

– Wspominała o tym.

– Nie robi to pani żadnej różnicy? Jesteście zupełnie nieczuli?

– Pańska córka została przyłapana na próbie wyniesienia ze sklepu rzeczy, za które nie zamierzała zapłacić.

– Skąd pani wie, że nie zamierzała zapłacić?

– Schowała je w kieszeniach.

– Ale nie wyszła.

– Zamiar dokonania kradzieży jest przestępstwem. Na tym etapie możemy udzielić jej ostrzeżenia. Nie robiła tego wcześniej, więc nie mam obowiązku powiadamiania policji, jeśli oddam ją pod pańską opiekę. Muszę jednak zyskać pewność, że potraktuje pan tę sprawę bardzo poważnie.

Tata patrzy na nią tak, jakby zadała mu niezwykle trudne pytanie i zastanawia się nad odpowiedzią.

– Tak- mówi. – Właśnie tak zrobię.

Potem pomaga mi wstać.

Shirley też wstaje.

– Zatem rozumiemy się?

Tata jest zdezorientowany.

– Przepraszam. Mam pani zapłacić?

– Zapłacić?

– Za to, co wzięła.

– Nie, nie.

– Więc mogę ją zabrać do domu?

– Jeśli przemówi jej pan do rozsądku.

Tata patrzy na mnie. Cedzi słowa, jakbym była głupia.

– Włóż kurtkę, Tesso. Jest zimno.

Gdy przyjeżdżamy przed dom, prawie wyciąga mnie z samochodu i prowadzi za ramię do domu. Następnie popycha mnie do salonu.

- Siadaj i mów.

Sadowię się na kanapie, a on zajmuje miejsce w fotelu naprzeciwko. Droga do domu zupełnie go wyczerpała. Wygląda jak szaleniec, z trudem łapie oddech, jakby nie spał od wielu tygodni i teraz był w takim stanie, że można się po nim spodziewać wszystkiego.

- Co ty wyprawiasz, do cholery?
- Nic.
- Kradzież w sklepie to nic? Znikasz na całe popołudnie, nie zostawiasz mi żadnej wiadomości i myślisz, że to nic?

Obejmuje się ramionami, jakby zmarł. Siedzimy tak przez chwilę. Słyszę tykanie zegara. Na stoliku obok mnie leży czasopismo motoryzacyjne taty. Bawię się jednym rogiem. Zaginam go i odginam, czekając na to, co będzie dalej. Wreszcie tata się odzywa. Ostrożnie dobiera słowa.

- Masz prawo do pewnych rzeczy- mówi.- Pozwalam ci naciągać reguły, ale nie możesz dostać wszystkiego.

Mój uśmiech przypomina brzęk tuzzonego szkła, które spada z bardzo wysoka. Dziwi mnie to. Jestem zaskoczona swoim zachowaniem- składam czasopismo taty na pół i wydieram pierwszą stronę, na której znajduje się zdjęcie czerwonego samochodu i ładnej dziewczyny o białych zębach. Zwijam papier w kulkę i rzucam na podłogę. Wyrywam kolejne kartki, jedną po drugiej, i próbuję trafić nimi w stół. W ten sposób niszczę całą gazetę i rozrzucam ją między nami.

Oboje wpatrujemy się w zniszczone strony. Oddycham ciężko i bardzo chcę, żeby coś się wydarzyło, coś wielkiego jak wybuch wulkanu w ogrodzie. Ale tata tylko mocniej obejmuje się ramionami. Zawsze tak robi, gdy jest zdenerwowany; nic nie można wtedy z niego wyciągnąć, zachowuje się tak, jakby go nie było.

A potem pyta:

- Co się stanie, kiedy przestaniesz panować na złością, Tesso? Kim będziesz? Co po sobie zostawisz?

Nie odpowiadam, wpatruję się w światło lampy otaczającej kanapę i kawałek dywanu pod moimi stopami.

Rozdział 19

Na trawniku leży martwy ptak, ma nóżki chude jak patyczki koktajlowe. Siedzę na fotelu ogrodowym pod jabłonią i mu się przyglądam.

- Widziałam, jak się poruszył- mówię do Cala.

Przestaje się bawić i podchodzi, żeby się przyjrzeć.

- To robaki- stwierdza.- Rozgrzewają się w martwym ciele do tego stopnia, że te, które dotarły do samego środka, wychodzą na boki, żeby się schłodzić.
- Skąd o tym wiesz?

Wzrusza ramionami.

- Z internetu.

Trąca ptaka butem tak mocno, że otwiera mu się brzuch. Na trawę wysypują się setki robaków i zamierają w bezruchu, oślepięte słońcem.

- Widzisz?- Cal przykuca i dźga robaki patykami.- Martwe ciało stanowi odrębny ekosystem. W określonych warunkach wystarczy dziewięć dni, żeby ciało ludzkie zgniło aż do kości.- Patrzy na mnie z namysłem.- Ale tobie się to nie przytrafi.

- Nie?
- Najczęściej zdarza się to ofiarom morderstwa porzuconym w jakimś odosobnionym miejscu.
- A co się stanie ze mną, Cal?

Czuję, że wszystko, co powie, okaże się właściwie, jakby był wielkim magiem, którego objawiła się kosmiczna prawda. Ale on tylko wzrusza ramionami i mówi:

- Sprawdzę i wtedy ci powiem.

Idzie do szopy po łopatę.

- Pilnuj ptaka- rzuca w moją stronę.

Piórka drżą na wietrze. Jest piękny, czarny z niebieskim połyskiem jak ropa z morza. Robale też właściwie są piękne. Wpadają w panikę na trawie, szukają truchła i siebie nawzajem.

I wtedy pojawia się Adam.

- Cześć- wita się.- Co słyszeć?

Prostuję się na fotelu.

- Przelazłeś przez płot.

Potrząsa głową.

- Znalazłem dziurę na dole.

Ma na sobie dżinsy, buty z cholewami i skórzaną kurtkę. Trzyma coś za plecami.

- Proszę- mówi, wręczając mi bukiet zielonych liści .Pośród nich dostrzegam jasnopomarańczowe kwiaty. Wyglądają jak latarenki albo maleńkie dynie.
- To dla mnie?
- Dla ciebie.

Czuję ukłucie w sercu.

- Staram się nie gromadzić nowych rzeczy.

Marszczy brwi.

- To, co żyje, chyba się nie liczy.
- Liczy się przede wszystkim.

Siada na trawie obok fotela i kładzie kwiaty między nami. Ziemia jest wilgotna. Przemoczy spodnie. Zmarznie. Nie mówię mu tego. Nie wspominam też o robakach. Chcę, żeby wpełzły mu do kieszeni.

Wraca Cal z łopatą.

- Sądysz coś?- pyta Adam.
- Martwego ptaka.- Cal pokazuje mu zwłoki.

Adam nachyla się nad nimi.

- To gawron. Czy to wasz kot go dopadł?
- Nie wiem. Chcę go pochować.

Cal podchodzi do ogrodzenia, znajduje miejsce wśród kwiatów i zabiera się do kopania.

Ziemia jest wilgotna, przypomina ciasto. Kiedy łopata natrafia na kamyk, rozlega się dźwięk przywodzący na myśl odgłos, jaki powstaje podczas szurania butami po żwirze.

Adam wyrywa kępki trawy i otrząsa je z ziemi.

- Przykro mi z powodu tego, co wtedy powiedziałem.
- Nic się nie stało.
- Źle to zabrzmiało.
- W porządku. Nie musimy o tym rozmawiać.

Kiwa głową z powagą, wciąż bawiąc się trawą i nie patrząc na mnie.

- Jesteś warta zainteresowania.
- Tak?

- Tak.
- Chcesz się zaprzyjaźnić?

Podnosi głowę.

- Jeśli ty chcesz.
- Jesteś pewien, że to ma sens?

Podoba mi się to, że jego twarz zalewa rumieniec, widzę wstyd w jego oczach. „Może tata ma rację” - myślę i jestem zła.

- Jestem pewien, że tak.
- Zostało ci wybaczone.- Wyciągam rękę. Wymieniamy uścisk. Adam ma ciepłą dłoń.

Cal podchodzi do bas umorusanym z łopata w ręku. Wygląda, jakby był upośledzony.

- Grób gotowy- oznajmia.

Adam pomaga mi przetoczyć gawrona na łopatę. Ptak jest sztywny i robi wrażenie ciężkiego. Wyraźnie widać ranę- czerwoną szramę na karku. Łebek opada na bok jak pijanemu, kiedy razem niosą ciało do dziury w ziemi. Cal nie przestaje mówić.

- Biedny ptaszek. Teraz sobie odpocznie.

Owijam się kocem i idę za nimi, żeby obejrzeć pogrzeb. Jedno oko gawrona wpatruje się w nas. Wygląda spokojnie, nawet wdzięcznie. Piórka pociemniały.

- Powinniśmy coś powiedzieć?- chce wiedzieć Cal.
- Do widzenia, ptaszku?- podsuwam.

Kiwa głową.

- Do widzenia, ptaszku. Dziękuję, że do nas przyleciałeś. I powodzenia.

Przysypuje go ziemią, ale przez chwilę pozostawia głowę odsłoniętą, żeby ptak mógł się rozejrzeć po raz ostatni.

- A co z robakami?- pyta.
- Nie rozumiem.
- Nie uduszą się?
- Zostaw niewielki otwór.

Wydaje się zadowolony z tej sugestii, zasypuje głowę gawrona ziemią i przyklepuje. Potem patykiem robi otwór dla robaków.

- Tesso, przynieś kamienie do udekorowania grobu.

Idę ich poszukać. Adam zostaje z moim bratem. Mówi mu, że gawrony są bardzo towarzyskie, mają wielu przyjaciół, którzy będą wdzięczni Calowi za troskę.

Myślę, że chce zrobić na mnie wrażenie.

Te dwa białe kamienie są niemal okrągłe. Jeszcze skorupa ślimaka i czerwony liść. I miękkie szare piórko. Trzymam to wszystko w ręku. Jest tak pięknie, że muszę oprzeć się o szopę i przymknąć oczy.

Popełniłam błąd. Zaczynam spadać w ciemność. Nad głową zamyka się ziemia. Czuję zimno. Wokół mnie robaki drążą tunele. Zaciskam kamienie w ciepłych dłoniach.

Moje ciepło ostygnie. Odpadną mi uszy, a oczy się rozplyną. Będę miała zaciśnięte usta, wargi zmieniają się w kleistą substancję.

Podchodzi Adam.

- Dobrze się czujesz?- pyta.

Koncentruję się na oddychaniu. Wdech. Wydech. Przynosi to jednak odwrotny efekt, kiedy uświadamiam sobie, że moje płuca zwędną jak papierowe wachlarze. Wydech. Wydech.

Adam dotyka mojego ramienia.

- Tesso?

Nie czuję smaku, węchu ani dotyku. Nie słyszę dźwięków. Nic nie widzę. Otacza mnie

tylko wieczna pustka.

Podbiega Cal.

- Co się stało?
- Nic.
- Dziwnie wyglądasz.
- Zakręciło mi się w głowie, kiedy się pochyliłam.
- Zawołać tatę?
- Nie.
- Jesteś pewna?
- Dokończmy pogrzeb, Cal. Nic mi nie będzie.

Podaję mu znalezione przedmioty. Odbiega. Adam zostaje.

Nad ogrodzeniem przelatuje kos. Na niebie pojawiły się różowe i szare cętki. Oddychaj.

Wdech. Wdech.

- Co ci jest?- pyta Adam.

Jak mam mu o tym powiedzieć?

Wyciąga rękę i kładzie mi na karku. Nie wiem, co to znaczy. Jego dłoń jest silna, głaszcze mnie po plecach. Ustaliliśmy, że będziemy przyjaciółmi. Czy tak zachowują się przyjaciele?

Jego ciepło przenika do mnie przez koc, płaszcz, sweter i podkoszulkę. Przenika pod skórę.

Jest tak bolesne, że nie mogę znaleźć myśli. Moje ciało drży.

- Przestań.
- Co?

Odpycham go.

- Czy mógłbyś już iść?

Zapada cisza. Ma swoje brzmienie, jakby coś pękło.

- Chcesz, żebym sobie poszedł?
- Tak. I nie wracaj.

Odchodzi. Żegna się z Cal'em i przelazi przez dziurę w ogrodzeniu. Gdyby nie kwiaty leżące przy fotelu, mogłabym uznać, że w ogóle go tu nie było. Podnoszę bukiet. Pomarańczowe główki kiwają do mnie, kiedy podaję go Calowi.

- Daj to ptaszкови.
- Super!

Kładzie kwiaty na wilgotnej ziemi. Przez chwilę oboje stoimy nad grobem.

Rozdział 20

Czekałam całą wieczność, by tata zauważył, że znikłam. Oby się pospieszył, bo moja lewa noga zasnęła, a ja muszę się ruszyć, gdyż w przeciwnym razie dostanę gangreny. Udaje mi się podnieść na kolana i ściągnąć sweter z półki. Wpycham go jedną ręką między buty, żeby zrobić sobie wygodniejsze miejsce do siedzenia. Szafa otwiera się ze skrzypieniem, które wydaje mi się bardzo głośne. Potem zapada cisza.

- Tesso?- Drzwi do mojego pokoju otwierają się i tata idzie po dywanem małymi krokami. - Przyszła mama. Nie słyszałaś, jak cię wołałem?

Widzę przez szparę, jak jest skonsternowany, gdy odkrywa, że na moim łóżku leży tylko kołdra. Podnosi ją i zagląda pod spód, jakby myślał, że skurczyłam się do drobnych rozmiarów od czasu, kiedy widzieliśmy się przy śniadaniu.

- Cholera!- Pociera twarz dłonią, jakby nic nie rozumiał. Podchodzi do okna i wygląda na ogród. Obok niego, na parapecie leży zielone, szklane jabłko. Dostałam je w podzięcie od kuzynki za to, że byłam druzną na jej ślubie. Miałam wtedy dwanaście lat i niedawno zachorowałam. Pamiętam ludzi, którzy mówili mi, jaka jestem śliczna z łysą głową owiniętą kwiecistą chustką, podczas gdy inne dziewczynki wpinały we włosy prawdziwe kwiaty.

Tata podnosi jabłko i patrzy na nie w świetle poranka. W środku widać kremowe i brązowe kręgi, jakby to był rdzeń prawdziwego owocu; impresja pestek wydmuchanych przez twórcę. Oglądałam świat przez to jabłko wiele razy- wydaje się mały i cichy.

Uważam jednak, że tata nie ma prawa dotykać moich rzeczy. Wolałabym, żeby zajął się Cal, który wrzeszczy na schodach, że z telewizora się dymi. Tata powinien pójść do mamy i powiedzieć jej, że zaprosił ją, ponieważ chce, by wróciła. Niestety, dyscyplina nie leży w jej naturze, a tata i tak raczej nie będzie mnie prosił o radę w tej sprawie.

Odstawia jabłko i podchodzi do półki, przesuwa palcem po grzbietach moich książek, jakby były one klawiszami pianina i spodziewał się usłyszeć dźwięk. Przechyla głowę, żeby odczytać napisy na płytach CD, wybiera jedną, ogląda okładkę i odkłada.

- Tato!- krzyczy Cal ze schodów.- Obraz jest zamazany, a mama nie potrafi go naprawić!

Tata wzdycha i rusza w stronę drzwi, ale nie może się oprzeć pokusie poprawienia kołdry na łóżku. Czyta to, co napisałam na ścianie- czego będzie mi brakowało, czego pragnę. Kręci głowę, potem schyla się i podnosi koszulkę z podłogi. Składa ją i zostawia na poduszce. I wtedy zauważa, że szuflada przy łóżku jest lekko wysunięta.

Cal wchodzi po schodach.

- Przegapię program!
- Cal, już idę.

Ale nie wychodzi. Siada na krawędzi łóżka i otwiera szufladę jednym palcem. W środku znajdują się kartki, na których zapisałam swoje uwagi dotyczące listy. Opisałam wszystko, co myślę o rzeczach przeze mnie zaliczonych- seksie, narkotykach i łamaniu prawa- oraz dowie się, co jest na piątym miejscu. Słyszę szelest papieru i trzask gumowej opaski. Odgłosy te wydają mi się bardzo donośne. Próbuje usiąść, żeby wyskoczyć z szafy i powalić go na podłogę, ale ratuje mnie Cal, który otwiera drzwi. Tata wpycha kartki z powrotem do szuflady i zatrzaskuje ją.

- Nie mogę mieć chwili spokoju?- pyta. - Nawet pięciu minut?
- Grzebałeś w rzeczach Tessy?
- To nie twoja sprawa.
- Powiem jej.
- Na litość boską, dam mi spokój!- Tata głośno zbiega po schodach. Cal idzie za nim.

Udaje mi się jakoś wyczołgać z szafy. Rozcieram nogi. Czuję spowolnione pulsowanie krwi w kolanie, ale stopa jest jak martwa. Kuśtykam do łóżka i kładę się. W tej chwili wchodzi Cal.

Patrzy na mnie zaskoczony.

- Tata mówił, że cię tu nie ma.
- Nie ma mnie.
- Właśnie, że jesteś!
- Ciszej. Dokąd poszedł?

Cal wzrusza ramionami.

- Jest w kuchni z mamą. Nienawidzę go. Nazwał mnie marudą i powiedział brzydkie

słowo.

- Rozmawiają o mnie?
- Tak i nie pozwalają mi oglądać telewizji!

Skradamy się po schodach i wyglądamy przez poręcz. Tata siedzi na wysokim taborecie pośrodku kuchni. Wygląda niezgrabnie, grzebiąc w kieszeni spodni. Szuka papierosów i zapalniczki. Mama przygląda mu się, oparta plecami o lodówkę.

- Kiedy znowu zacząłeś palić?- pyta. Ma na sobie dzinsy. Związała włosy z tyłu i kilka pasemek zwisa luźno przy twarzy. Wygląda młodo i ładnie, kiedy podaje mu spodek.

Tata zapala papierosa i wydmuchuje dym.

- Przepraszam, wygląda na to, że ściągnąłem cię tu na darmo.- Wydaje się zmieszany, jakby nie wiedział, co powiedzieć.- Sądziłem, że uda ci się przemówić jej do rozumu.
- Jak myślisz, dokąd poszła?
- O ile ją znam, jest pewnie w drodze na lotnisko!

Mama chichocze, co sprawia, że robi wrażenie bardziej żywej niż ojciec, który uśmiecha się do niej ponuro i przesuwa ręką po włosach.

- Jestem wykończony.
- Widzę.
- Ma zmienne nastroje. Nie pozwala się nikomu zbliżyć do siebie, a zaraz potem chce, żeby ją przytulać godzinami. Całymi dniami nie wychodzi z domu, a potem znika, kiedy najmniej się tego spodziewam. Do tego nie mogę przestać myśleć o tej jej liście.
- Wiesz- zaczyna mama.- że jedyną rzeczą, jaką naprawdę moglibyśmy dla niej zrobić, jest sprawienie, żeby wyzdrowiała. Ale to jest niemożliwe.

Tata wpatruje się w nią intensywnie.

- Nie wiem, jak długo wytrzymam w pojedynkę. Są poranki, kiedy nie chce mi się otwierać oczu.

Cal szturcha mnie w bok.

- Napluć na niego?- pyta szeptem.
- Tak. Napluj mu do filiżanki.

Cal zbiera całą ślinę w ustach i pluje tak daleko, jak może. Ale to na nic. Piwocina ledwo dolatuje do drzwi. Większość zostaje mu na brodzie i spada na dywan.

Przewracam oczami, dając mu znak, żeby poszedł za mną. Wchodzimy po schodach do mojego pokoju.

- Usiądź na podłodze przy drzwiach- mówię.- Zakryj twarz dłońmi i nie wpuszczaj nikogo.
- Co robisz?
- Chcę się ubrać.
- A potem?

Zdejmuję piżamę, ubieram się w najlepsze majtki i jedwabną sukienkę, którą kupiłam tego pamiętnego dnia spędzonego na szalonych zakupach z Calem. Rozcieram drętwiącą nogę i wkładam buty wiązane na rzemienie.

- Chcesz zobaczyć Megazorda?- pyta Cal.- Musisz przyjść do mojego pokoju, bo właśnie broni miasta. Jeśli go stamtąd zabiorę wszystko zostanie zniszczone.

Zdejmuję płaszcz z oparcia krzesła.

- Trochę się śpieszę.

Zerka na mnie spomiędzy palców zakrywających oczy.

- To sukienka na wielką przygodę!

- Tak.

Wstaje i zasłania sobą drzwi.

- Zabierzesz mnie?
- Nie.
- Proszę, nie wytrzymuję tu już.
- Nie.

Zostawiam telefon, bo wiem, że będą mogli mnie dzięki niemu namierzyć. Wyjmuję moje zapiski z szuflady i wpycham do kieszeni. Potem wyrzucę je gdzieś do kosza. Widzisz, tato, jak wszystko znika ci przed oczu?

Przekupuję Cala, zanim posyłam go na dół. Doskonale wie, ile czarodziejskich zabawek może zdobyć za dziesiątaka. Zdaje sobie sprawę, że pominę go w testamencie, jeśli piśnie słówko.

Czekam, aż pójdzie, i powoli schodzę po schodach. Zatrzymuję się na półpiętrze, żeby złapać oddech i wyrzucić przez okno na trawnik. Przesuwam palcem po ścianie i rzeźbieniach poręczy, uśmiecham się do wiszących fotografii.

Cal wchodzi do kuchni, siada na podłodze i patrzy na rodziców.

- Chcesz czegoś?- pyta tata.
- Przyszedłem posłuchać, o czym rozmawiacie.
- Przykro mi, ale ciebie to nie dotyczy.
- Więc chcę coś zjeść.
- Właśnie zjadłeś pół paczki herbatników.
- Mam gumę do żucia- oświadcza mama.- Chcesz?- Szuka w kieszeni i podaje mu.

Cal pakuje sobie gumę do buzi i żuje ją z namysłem.

- Pojedziemy na wakacje, kiedy Tessa umrze?- pyta.

Tacie udaje się obrzucić go wzrokiem jednocześnie groźnym i pełnym zaskoczenia.

- To, co mówisz, jest podłe!
- Już nawet nie pamiętam, kiedy byliśmy w Hiszpanii. Po raz pierwszy i ostatni leciałem wtedy samolotem, ale miało to miejsce tak dawno temu, że nie jestem pewien, czy zdarzyło się naprawdę.
- Dostyc tego!- oburza się tata i wstaje, lecz mama go powstrzymuje.
- Nic się nie stało- mówi do Cala.- Tessa choruje bardzo długo, prawda? Na pewno czasem czujesz się odtrącony.

Cal krzywi się w uśmiechu.

- Tak. Są poranki, kiedy nie chce mi się otwierać oczu.

Rozdział 21

Zoey podchodzi do drzwi. Jest rozczochrana i ma na sobie te same ciuchy, w których widziałam ją ostatnio.

- Jedziemy nad morze?- Dzwonię jej przed nosem kluczykami do samochodu.

Dostrzega wóz taty.

- Sama nim przyjechałaś?
- Tak.
- Przecież nie umiesz prowadzić.

- Nauczyłam się. To numer piąty na mojej liście.

Marszczy brwi.

- Naprawdę brałaś lekcje?
- Coś w tym rodzaju. Mogę wejść?

Otwiera drzwi szerzej.

- Wytrzymaj buty albo je zdejmij.

Dom jej rodziców jest niewiarygodnie wypucowany, jakby był z katalogu. Oboje bez przerwy pracują, więc nie mają czasu nabrudzić. Idę za Zoey do salonu i siadam na kanapie. Zoey siada naprzeciwko na poręczu fotela i zakłada ręce.

- Tata pożyczył ci samochód, mimo, że nie jesteś ubezpieczona i nie masz prawa jazdy?
- Nie wiem, że go wzięłam, ale naprawdę potrafię prowadzić. Przekonasz się. Zdałabym egzamin bez trudu, gdybym była w odpowiednim wieku.

Zoey kręci głową, jakby nie mogła się nadziwić mojej głupocie. Powinna być ze mnie dumna. Związałam z domu i tata nic nie zauważył.

Pamiętałam o tym, żeby spojrzeć w lusterko, zanim zapaliłam silnik, wrzuciłam sprzęgło, pierwszy bieg i wcisnęłam gaz. Objechałam ulicę trzy razy i dwukrotnie zgasł mi silnik. Pierwszy raz poszło mi tak dobrze. Przejechałam rondo i nawet wrzuciłam trójkę na głównej ulicy w drodze do domu Zoey. Tymczasem ona przygląda mi się tak, jakbym popełniła jakiś straszny błąd.

- Wiesz co?- Wstaję i zapinam płaszcz.- Sądziłam, że jeśli uda mi się tu dojechać, jedyną trudnością pozostanie jazda dwupasmówką. Nie przyszło mi do głowy, że właśnie ty okażesz się taką zrzędą.

Szura nogami po dywanie, jakby chciała coś zetrzeć.

- Przepraszam. Jestem trochę zajęta.
- A co robisz?

Wzrusza ramionami.

- Nie wszyscy mają tyle czasu, co ty.

Czuję, jak coś we mnie rośnie, kiedy na nią patrzę. W tej chwili zupełnie jej nie lubię.

- Dobra. Zapomnijmy o tym. Sama zrealizuję swoją listą.

Zoey wstaje i potrząsa swoimi głupimi włosami. Próbuje udawać obrażoną. To sztuczka, która działa na facetów, ja nie dam się na to nabrać.

- Nie powiedziałam: „Nie”.

Ale widzę wyraźnie, że ją nudzę. Wolałabym, żebyś szybciej umarła, bo wtedy mogłabyś się zająć swoim życiem.

- Lepiej zostać- rzucam.- I tak przy tobie nic nie wychodzi.

Idzie za mną do przedpokoju.

- To nieprawda!

Odwracam się.

- Dla mnie tak. Nie zauważyłaś, że całe gównno zawsze mi spada na głowę, a ty że wszystkiego wychodzisz bez szwanku?

Marszczy brwi.

- Kiedy tak było?
- Zawsze tak jest. Czasem myślę, że zadajesz się ze mną, żeby poczuć, jaką jesteś szczęściarą.
- Chryste!- Krzywi się.- Nie możesz chociaż na chwilę przestać myśleć o sobie?
- Zamknij się!- krzyczę i czuję się z tym tak dobrze, że muszę to zrobić jeszcze raz.

- Nie. To ty się zamknij.- odpowiada, ale potrafi zdobyć się ledwie na szept. Dziwne. Cofa się o krok i przystaje, jakby chciała coś dodać, lecz zmienia zdanie i wbiega po schodach na górę.

Nie idę za nią. Czekam chwilę w przedpokoju. Czuję, jak gruby jest dywan pod moimi stopami. Potem wracam do salonu i włączam telewizor. Przed siedem minut oglądam program dla amatorów ogrodnictwa. Dowiaduję się z niego, że w nasłonecznionym miejscu można hodować morele wszędzie, nawet w Anglii. Zastanawiam się, czy Adam o tym wie. Szybko nudzą mnie informacje o mszycach i czerwonych pajakach podawane monotonnym głosem przez spikera, więc wyłączam telewizor i wysyłam Zoey SMS-a: PRZEPRASZAM. Wyglądam przez okno, żeby sprawdzić czy samochód wciąż tam stoi. Jest. Niebo wygląda brzydko. Chmury wiszą nisko i mają kolor siarki.

Jeszcze nigdy nie prowadziłam w deszczu. Trochę się tego boję. Szkoda, że październik już minął. Tego roku był tak ciepły, jakby świat zapomniał o tym, że pora na nadejście jesieni. Pamiętam, jak przyglądałam się spadającym liściom przez szpitalne okno.

Zoey odpisuje: JA TEŻ.

Schodzi do salonu. Ma na sobie krótką turkusową sukienkę i mnóstwo bransoletek. Owijają jej rękę jak węża i brzęczą, kiedy podchodzi, żeby mnie uściskać. Ładnie pachnie. Opieram się o jej ramię, a ona całuje mnie w czubek głowy.

Śmieje się, kiedy zapalam silnik, który, oczywiście, natychmiast mi gaśnie. Próbuję znowu i gdy jedziemy ulicą w dół, opowiadam jej, jak tata pięć razy próbował mnie nauczyć kierować samochodem, ale nigdy mi nie wychodziło. Nie umiałam naciskać na pedały sprzęgła i gazu z wyczuciem.

„Dobrze!- krzyczy tata.- Czujesz ten punkt?”

Ale ja nic nie czułam, nawet gdy zdjęłam buty.

Byliśmy zmęczeni moją nauką. Kolejne jazdy stawały się coraz krótsze, aż w końcu zrezygnowaliśmy z nich i nikt z nas więcej o tym nie wspominał.

- Nie sądzę, żeby zauważył zniknięcie samochodu przed lunchem- oznajmiam.- A potem, co może zrobić? Tak jak mówiłaś, żadne zasady mnie nie dotyczą.
- Prawdziwa z ciebie bohaterka!- stwierdza Zoey.- Jesteś fantastyczna!

Śmiejemy się jak za dawnych czasów. Zapomniałam już, jak wesoło spędza się czas w jej towarzystwie. Nie krytykuje mojej jazdy tak, jak robił to tata. I nie boi się, kiedy wrzucam trzeci bieg albo zapominam pokazać migaczem, że skręcam w lewo, wyjeżdżając z ulicy, przy której mieszka. Gdy jest ze mną, czuję się o wiele lepiej.

- Nieźle. Staruszek cię jednak wyszkolił.
- Uwielbiam to- przyznaję.- Fantastycznie byłoby tak jechać przez Europę. Mogłabyś zrobić sobie rok przerwy w college'u i wybrać się ze mną w podróż.
- Nie chcę.- Bierze mapę i milknie.
- Nie potrzebujemy mapy.
- Dlaczego?
- Wyobraź sobie, że gramy w filmie drogi.
- Blokada- mówi, pokazując palcem szosę.

Przed nami ustawili się jacyś chłopcy na motorach. Mają kaptury na głowach i papierosy w rękach. Niebo przybrało dziwną barwę, dookoła e widać nikogo innego. Zwalniam.

- Co robimy?
- Wrzuć wsteczny- radzi Zoey.- Nie zjadą nam z drogi.

Wychylam się przez okno.

- Hej, wy tam! Ruszcie dupy!

Usuwa się leniwie i uśmiechają krzywo, gdy posyłam im całusa.

Zoey jest wstrząśnięta.

- Co cię napadło?
- Nic, po prostu nie umiem cofać.

Na głównej drodze stajemy w korku. Przez okna zaglądam w życie innych ludzi. Dziecko płacze na tylnym siedzeniu, mężczyzna bębni palcami w kierownicę. Kobieta wyciera nos. Dziecko macha.

- Niesamowite, prawda?
- Co?
- Jestem sobą i ty jesteś sobą, podobnie jak oni wszyscy. Każdy jest inny i równie nieistotny.
- Mów za siebie.
- Tak jest. Nie myślisz o tym nigdy, kiedy patrzysz w lustro? Nie wyobrażasz sobie swojej czaszki?
- Nie.
- Nie znoszę jadać siedem, osiem razy dziennie i nie cierpię buraczków i selera. Tobie nie podobają się twoje nogi i trądzik, ale to wszystko i tak nie ma znaczenia z szerszej perspektywy.
- Zamknij się, Tesso! Wygadujesz bzdury.

Milknę, ale myślę o tym, że mój oddech pachnie miętową pastą do zębów, a jej papierosowym dymem. Mam raka. Ona mieszka z obojgiem rodziców. Kiedy wstałam rano z łóżka, na prześcieradle zostawiłam pot. Teraz prowadzę samochód. Widzę w lusterku swoją twarz, uśmiech i kości, które zostaną spalone lub pogrzebane. To będzie moja śmierć. Nie Zoey. Moja. Myślę to i po raz pierwszy nie czuję się z tym okropnie.

Nie rozmawiamy. Zoey wygląda przez okno, a ja prowadzę. Wyjeżdżamy z miasta na dwupasmówkę. Niebo ciemnieje coraz bardziej. Jest wspaniale.

Zoey znowu zaczyna marudzić.

- To najgorsza przejażdżka, w jakiej brałam udział- jęczy.- Mdli mnie. Dlaczego jeszcze nie dojechałyśmy?
- Bo nie zwracam uwagi na tablice drogowe.

Patrzy na mnie zaskoczona.

- Dlaczego? Chcę, żeby nasza podróż miała jakiś cel.

Przyciskam nogą pedał gazu.

- Dobra.

Zoey piszczy i chwytą się deski rozdzielczej.

- Zwolnij! Jesteś początkującym kierowcą!

Prędkościomierz wskazuje 45 km/h. 50! Ależ mam parę.

- Zwolnij. Słyszałam grzmot!

Krople deszczu znaczą przednią szybę. Lśnią na szkle i zamazują widok. Przypominają iskry elektryczne.

Liczę po cichu do momentu pojawienia się błyskawicy.

- Piorun strzelił kilometr stąd.- mówię.
- Zatrzymaj się.
- Po co?

Deszcz bębni o dach samochodu, a ja nie wiem, jak się włącza wycieraczki. Manipuluję światłami i rozrusznikiem. Zapominam, że wrzuciłam czwarty bieg, i samochód nagle staje.

- Nie tutaj!- wrzeszczy Zoey.- Jesteśmy na dwupasmówce! Chcesz zginać?

Wrzucam na luz. Nie czuję strachu. Strugi wody spływają po szybie. Samochody, które

nadjeżdżają z tyłu, trąbią na nas i migają światłami. Spokojnie zerkam w lusterko, włączam silnik i wrzucam pierwszy bieg. Ruszamy. Odnajduję wycieraczki i wrzucam drugi bieg, a potem trzeci.

Zoey wpada w panikę.

- Jesteś stuknięta. Teraz ja poprowadzę!
- Nie masz ubezpieczenia.
- Ty też!

Odgłosy burzy narastają, nie ma już przerw między grzmotami a błyskawicami. Jest dzień, ale wszystkie samochody jadą na światłach. Nie umiem włączyć swoich.

- Proszę cię!- krzyczy Zoey.- Stań!
- W samochodzie jesteście bezpieczni. On ma gumowe opony.
- Zwolnij!- nie przestaje się drzeć.- Spowodujesz wypadek. Nie słyszałaś o zachowaniu bezpiecznej odległości?

Nie. Za to odkrywał piąty bieg, o którego istnieniu nie miałam pojęcia. Pędzimy przed siebie pod niebem rozświetlonym błyskawicami. Jeszcze nigdy nie widziałam burzy z bliska. Kiedy tata zabrał nas do Hiszpanii, na morzu rozpełtał się sztorm. Obserwowaliśmy go z hotelowego balkonu. Nie wydawał się prawdziwy, przypominał widowisko zorganizowane dla turystów. Teraz przed moimi oczami rozgrywa się fantastyczny spektakl. Zoey nie podziela mojego zachwytu. Kuli się ze strachu na siedzeniu.

- Samochody są z metalu!- piszczy.- W każdej chwili może uderzyć w nas piorun. Zatrzymaj się!

Żal mi jej, ale wiem, że nie ma racji.

Stuka palcem w szybę.

- Tam jest stacja. Zjedź na nią albo wyskoczę.

Mam ochotę na czekoladę, więc postanawiam się zatrzymać. Rozpędziłam samochód, ale udaje mi się znaleźć hamulec. Wjeżdżamy jak szalone na podjazd i parkujemy przy pompach paliwowych oświetlonych jarzeniówkami. Zoey zamyka oczy. Wolałabym jechać dalej, chłonąc pełną piersią widok rozpościerający się za oknem.

- Nie wiem, w co ty grasz- syczy.- ale mogłaś nas zabić.

Otwiera drzwi, wysiada i zatrząskuje je za sobą, a potem maszeruje do sklepu. Przez chwilę mam ochotę odjechać bez niej, lecz zanim podejmuję decyzję, wraca i otwiera drzwi.

Pachnie inaczej, chłodem i świeżością. Odgarnia mokry kosmyk włosów, który przykleił jej się do ust.

- Nie mam pieniędzy. Chcę zapalić.

Podaję jej torebkę. Nagle czuję się bardzo szczęśliwa.

- Możesz mi kupić czekoladę?
- Najpierw fajki- mówi. - Idę do toalety. Kiedy wrócę, siadam za kierownicą.

Zatrząskuję drzwi i idzie w stronę sklepu. Wciąż leje, Zoey kuli się pod kroplami deszczu i zerka na niebo. Kolejny grzmot. Jeszcze nigdy nie widziałam, jak się boi, i czuję przyływ miłości do niej. Nie radzi sobie tak dobrze jak ja. Nie jest przyzwyczajona. Dla mnie cały świat mógłby pograżyć się w chaosie. Nie bałabym się. Chciałabym, żeby na następnych skrzyżowaniu stoczyła się na nas lawina. Niech z nieba spadnie czarny deszcz, a ze schowka na rękawiczki wyleci szarańcza. Biedna Zoey. Widzę ją za szybą sklepu, jak niewinnie kupuje słodycze i papierosy. Pozwolę jej prowadzić, bo tak chcę. Nie może mnie już kontrolować. Przekroczyłam granicę.

Rozdział 22

Jest czwarta dwadzieścia, a przed nami szare morze. Niebo też jest szare, chociaż nieco jaśniejsze, i chmury nie płyną tak szybko. Na widok morza kręci mi się w głowie. Pograżam się w nieustającym ruchu, którego nikt nie zdoła zatrzymać.

- Szaleństwo- mruczy Zoey.- Nie wiem, jak ci się udało mnie na to namówić.

Siedzimy na ławeczce. Wokół nie widać żywej duszy. Daleko na plaży słychać szczekanie psa. Jego właściciel jawi się jako mały punkcik na horyzoncie.

- Przyjeżdżałam tu co roku na wakacje- mówię.- Zanim mama odeszła. Zanim zachorowałam. Mieszkałyśmy w hotelu Crosskeys. Każdego ranka wstawaliśmy, jedliśmy śniadanie i szliśmy na plażę, gdzie przebywaliśmy cały dzień. Codziennie przez dwa tygodnie spędzaliśmy czas w ten sam sposób.
- Bardzo zajmujące!- oznajmia Zoey, która osuwa się niżej na ławce i szczerzej owija płaszczem.
- Nie wracaliśmy do hotelu nawet na lunch. Tata robił kanapki, a na deser kupował budyń Angel Delight. Mieszał go na plaży z mlekiem w plastikowym pojemniku. Pamiętam, jak dziwnie brzmiało uderzenie widelca o miskę pośród krzyku mew i szumu fal.

Zoey przygląda mi się z natężeniem.

- Zapomniałaś dziś wziąć jakieś ważne lei?
- Nie!- Łapię ją za rękę i ciągnę za sobą.- Chodź, pokażę ci hotel.

Idziemy promenadą. Pod nami na piasku leżą matwy. Są ciężkie i przestraszone, jakby przed chwilą wpadały na siebie pośród fal. Żartuję, że pozbieramy je i sprzedamy do sklepu zoologicznego, ale wyglądają naprawdę dziwnie. Nie pamiętam, żebym je tu wcześniej widziała.

- Czy to normalne jesienią?- zastanawiała się Zoey.- Albo oglądamy skutki zanieczyszczenia środowiska. Nasza zwariowana planeta umiera. Możesz uważać się za szczęściarę, bo nie będziesz oglądać jej końca.

Zoey musi się załatwić, więc schodzi na plażę i przykuca na piasku. Nie mogę uwierzyć, że to robi. Wprawdzie tu nikogo nie mam ale zawsze bała się, że ją ktoś zobaczy. Parujący mocz drąży dziurkę w piasku i wsiąka. Zoey wygląda nawet naturalnie, kiedy się podnosi i idzie w moją stronę.

Przystajemy na chwilę i patrzymy na morze. Fale przyplływają okryte białą pianą, a potem się cofają.

- Cieszę się, że jesteś moją przyjaciółką, Zoey- mówię i mocno ściskam ją za rękę.

Idziemy przez port. Niewiele brakowało, a opowiedziałabym jej o Adamie, przejażdżce na motorze i o tym, co się wydarzyło na wzgórzu, ale wciąż jest mi dość ciężko i wolę nie rozmawiać na ten temat. Zamiast tego przypominam sobie okolicę. Wszystko wygląda znajomo- budka z pamiątkami, gdzie sprzedawano wiaderka, łopatki i pocztówki, białe ściany lodziarni, na których wymalowano wielki różowy wafel. Odnajduję nawet boczną uliczkę, którą możemy dojść na skrót do hotelu.

- Wygląda inaczej- stwierdzam, kiedy dotarliśmy na miejsce. Dawniej wydawał się większy.
- Ale to tutaj?
- Tak.

- Świetnie. Możemy już wrócić do samochodu?

Otwieram furtkę i idę wąską ścieżką.

- Ciekawe, czy pozwolą mi zajrzeć do pokoju, który zajmowaliśmy.
- Chryste!- mruczy Zoey i opiera się o ścianę.

Drzwi otwiera kobieta w średnim wieku. Jest gruba i wygląda dobrodusznie. Ma na sobie fartuch. Nie pamiętam jej.

- Słucham?

Opowiadam jej, że przyjeżdżałam tu jako dziecko każdego lata na dwa tygodnie i zajmowaliśmy apartament rodzinny.

- Szukasz pokoju na tę noc?- pyta.

Nie przyszło mi to do głowy, ale teraz uważam, że to świetny pomysł.

- A możemy zająć tamten pokój?

Zoey pojawia się tuż za mną, szarpie mnie za rękę i odwraca do siebie.

- Co ty wyprawiasz, do cholery?
- Załatwiam nocleg.
- Nie mogę tu zostać, mam jutro zajęcia w college'u.
- Codziennie masz zajęcia. Jeszcze zdążysz się na nie nachodzić.

Uznałam, że zabrzmiało to błyskotliwie. Zoey milknie. Znow przywiera do ściany i siada tam, gapiąc się na niebo.

Odwracam się do kobiety.

- Przepraszam- mówię. Podoba mi się. Nie patrzy na nas podejrzliwie. Może jej się wydaje, że mam pięćdziesiąt lat, a Zoey jest moją okropną nastoletnią córką.
- Wstawiliśmy tam podwójne łóżko, ale pokój nadal funkcjonuje jako apartament.
- Świetnie. Bierzemy go.

Idziemy za nią po schodach. Ma szerokie biodra i kołysze nimi, kiedy się porusza.

Zastanawiam się, jak by to było mieć taką matkę.

- Proszę.- Otwiera drzwi.- Zmieniliśmy umeblowanie, więc pewnie pokój wygląda inaczej.

Rzeczywiście. Ogromne łóżko dominuje w tej przestrzeni. Jest wysokie i staromodne, okryte welwetową narzutą.

- Przyjeżdżają tu nowożeńcy- tłumaczy kobieta.
- Fantastycznie!- prychna Zoey.

Trudno mi odnaleźć to słoneczne pomieszczenie, w którym budziłam się rankiem. Znikły tapczaniki, a na ich miejscu powstawiano stolik z czajnikiem elektrycznym i szklankami do herbaty. Rozpoznaję tylko łukowate okno i szafę pod ścianą.

- Zostawiam was- mówi kobieta.

Zoey zrzuca buty i kładzie się na łóżku.

- Ten pokój kosztuje siedemdziesiąt funtów za noc!- zwraca mi uwagę.- Masz tyle kasy?
- Chciałam tu tylko zajrzeć.
- Oszalałaś?

Wspinam się na łóżko obok niej.

- Nie, po prostu wiem, że gdybym powiedziała na głos, o co mi chodzi, na pewno zabrzmiało to idiotycznie.

Zoey podnosi się i opiera się na łokciach. Przygląda mi się podejrzliwie.

- Wypróbuj na mnie.

Opowiadam jej o ostatnich wakacjach spędzonych w tym hotelu, o tym, jak mama i tata

kłócili się częściej niż zwykle. Któregoś ranka mama nie chciała jeść śniadania, powiedziała, że ma dosyć parówek i pomidorów z puszki i że taniej byłoby pojechać do Benidorm.

– To jedź- rzucił tata.- Przyślij nam pocztówkę.

Mama wzięła mnie za rękę i poszliśmy razem do pokoju.

– Schowajmy się przed nimi- zaproponowała.- Będzie fajnie.

Byłam bardzo przejęta. Zostawiła Cala z tatą, a mnie zabrała ze sobą.

Ukryliśmy się w szafie.

– Nikt nas tutaj nie znajdzie- oznajmiła.

Rzeczywiście, nikt nas nie znalazł, chociaż nie jestem pewna, czy ktoś w ogóle szukał. Siedziałyśmy tam całą wieczność i w końcu mama wyszła z szafy, żeby wziąć długopis z torebki. Napisała nim swoje imię na wewnętrznej stronie drzwi szafy. Potem podała mi długopis, a ja podpisałam się tuż obok.

– Gotowe- oświadczyła.- Nawet jeśli już nie przyjedziemy do tego hotelu, pozostaniemy tu na zawsze.

Zoey patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– To wszystko? Koniec opowieści?

– Tak.

– Wypisałyście z mamą swoje imiona w szafie i musiałyśmy przejechać sześćdziesiąt kilometrów, żebyś mi o tym opowiedziała?

– Co kilka lat znikamy, Zoey. Wszystkie nasze komórki są zastępowane nowymi. Nie zostało już nic po mnie takiej, jaką byłam, kiedy mieszkałam w tym pokoju. To ktoś inny napisał tu swoje imię. Zdrowy.

Zoey siada. Jest wściekła.

– Uważasz, że jeśli odnajdziesz ten napis, to cudownie ozdrowiejesz? A jeśli go tam nie ma, co wtedy będzie? Nie słyszałaś, co mówiła ta kobieta? Zmienili umeblowanie.

Nie podoba mi się, że na mnie krzyczy.

– Możesz zajrzeć do szafy, Zoey?

– Nie. Zmusiłaś mnie do przyścia tutaj, mimo, że nie miałam na to ochoty. Czuję się beznadziejnie, a teraz dochodzi jeszcze jakaś głupia szafa! Niewiarygodnie.

– Dlaczego tak się złościś?

Zoey wstaje z łóżka.

– Wychodzę. Przez cały czas zmuszasz mnie do szukania jakichś znaków.- Podnosi płaszcz z podłogi i wkłada go.- Bez przerwy zajmujesz się sobą, jakby tylko tobie na całym świecie przydarzyło się nieszczęście. Jedziemy na tym samym wózku. Wszyscy rodzimy się, jemy, sramy i umieramy. Tak jest!

Nie wiem, jak się zachować, kiedy ona tak krzyczy.

– Co się z tobą dzieje?

– Mogłabym zadać to samo pytanie tobie!

– Ze mną wszystko w porządku, poza tym, co jest oczywiste.

– Ze mną też.

– Wcale nie. Spójrz na siebie.

– I co? Jak wyglądam?

– Smutno.

Zatrzymuje się przy drzwiach.

– Smutno?

Zapada straszna cisza. Widzę małe rozdarcie na tapecie tuż nad jej ramieniem. Dostrzegam ślady palców na kontakcie. Gdzieś na dole drzwi otwierają się i zamykają. Kiedy Zoey odwraca się do mnie, uświadamiam sobie, że życie składa się z szeregu chwil, z których każda jest podróżą do kresu.

Wreszcie się odzywa niskim matowym głosem:

- Jestem w ciąży.
- O Boże!
- Nie chciałam ci mówić.
- Wiesz na pewno?

Opada na krzesło stojące przy drzwiach.

- Robiłam test dwa razy.
- A dobrze go odczytałaś?
- Jeśli w okienku pojawiają się dwie różowe kreski, to jesteś w ciąży. Były dwie różowe kreski za każdym razem.
- Boże!
- Przestań to powtarzać!
- Scott wie?

Kiwa potakująco głową.

- Nie mogłam go wtedy znaleźć na rynku. Przez cały weekend nie odbierał telefonu, więc wieczorem poszłam do niego i musiał wysłuchać, co miałam mu do powiedzenia. Nienawidzi mnie. Szkoda, że nie widziałas jego miny.
- Jakiej?
- Patrzył na mnie jak na idiotkę. Jakby pytał, dlaczego byłam taka głupia? Jestem pewna, że potyka się z kimś innym. Te dziewczyny miały rację.

Chcę podejść i pogłaskać ją po ramieniu, po przygarbionych plecach. Nie robię tego, bo wydaje mi się, że Zoey nie ma ochoty na tego typu gesty.

- Co będzie dalej?

Wzrusza ramionami. Dostrzegam w jej zachowaniu lęk. Wygląda teraz tak, jakby miała dwanaście lat. Jak dziecko na łodzi płynącej po wzburzonym morzu bez zapasów jedzenia i kompasu.

- Możesz urodzić, Zoey.
- To nie jest zabawne.
- Nie miało być. Będziesz miała dziecko. Dlaczego nie?
- Nie zamierzam go mieć, bo tak mówisz!

Widzę, że te myśli nie są dla niej nowością.

- To pozbądź się go.

Jęczy cicho, opiera głowę o ścianę i wpatruje się ponuro w sufit.

- To czwarty miesiąc- mówi. - Myślisz, że nie jest za późno? Pozwolą mi usunąć?- Ociera łzę rękawem.- Jak mogłam być tak głupia? Mama się dowie o wszystkim. Powinnam była iść do apteki i kupić pigułki. Po co w ogóle poszłam z tym do Scotta?

Nie mam pojęcia, co mogłabym powiedzieć. Nie wiem nawet, czy chciałaby mnie słuchać, gdybym umiała ją pocieszyć. Wydaje się taka odległa na tym krześle.

- Chcę, żeby znikło- szepcze i patrzy prosto na mnie.- Nienawidzisz mnie za to?
- Nie.
- Ale znienawidzisz, jeśli usunę ciążę?

Możliwe.

- Zrobię herbatę- mówię.

Na tacy leżą kruche ciasteczka oraz saszetki z cukrem i mlekiem. Ten pokój jest naprawdę ładny. Wyglądam przez okno, czekając, aż zagotuje się woda. Dwaj chłopcy kopią piłkę na promenadzie. Pada, więc włożyli kaptury. Nie wiem, w jaki sposób widzą piłkę. Jeszcze przed chwilą to ja tam byłam z Zoey, szłyśmy zmoknięte i zmarznięte. Trzymałam ją za rękę.

- Z portu codziennie wypływają statki- zauważam.- Może udają się w jakieś odległe strony, gdzie jest ciepło.
- Idę spać- oświadcza Zoey.- Obudź mnie, kiedy będzie po wszystkim.

Jednak nie wstaje z krzesła i nie zamyka oczu.

Pod oknem przechodzi rodzina. Ojciec popycha wózek, a mała dziewczynka w różowym, lśniącym płaszczku trzyma mamę za rękę. Zmokła, pewnie marznie, ale wie, że zaraz znajdzie się w domu i wyschnie. Czekaj ją ciepłe mleko. Bajki w telewizji. Może ciasteczko i piżamka.

Ciekawe, jak ma na imię. Rosie? Amber? Wygląda tak, jakby jej imię miało kolor. Scarlett? Nie miałam zamiaru tego robi. Nie zastanawiałam się. Po prostu przechodzę przez pokój i otwieram szafę. Przestraszyłam wieszaki, które cicho dzwonią jeden o drugi. Czuję zapach wilgotnego drewna.

- I co?- pyta Zoey.

Wnętrze szafy okazuje się lśniaco białe. Odmalowane. Dotykam go palcami, ale nic się nie zmienia. Jest tak jasno, że kształty pokoju zaczynają się zacierać. Co kilka lat znikamy bez śladu.

Zoey wzdycha i opiera się na krześle.

- Nie powinnaś była zaglądać.

Zamykam szafę i wracam do czajnika.

Liczę, nalewając wodę do filiżanek. Zoey jest w czwartym miesiącu ciąży. Dziecko potrzebuje dziewięciu miesięcy, żeby urosnąć. Urodzi się w maju, tak jak ja. Lubię maj. Są długie weekendy. Kwitną wiśnie. I dzwonki. Ludzie zajmują się swoimi trawnikami. Wokół unosi się usypiający zapach świeżo skoszonej trawy.

Do maja pozostało 154 dni.

Rozdział 23

Cal nadbiega truchtem z głębi ciemnego ogrodu. Wyciąga rękę.

- Następna- prosi.

Mama otwiera pudełko z petardami. Ma taką minę, jakby wybierała czekoladkę. Podnosi delikatnie jedną i czyta napis na etykiecie.

- Kwitnący ogród.

Cal pędzi z petardą do taty. Nogawki spodni ocierają się o siebie. Pomiędzy gałęziami jabłoni prześwituje światło księżycy i pada na trawę.

Przyniosłyśmy z mamą krzesła z kuchni i usiadłyśmy przy drzwiach. Jest zimno. Nasze oddechy parują. Nadeszła zima, ziemia pachnie wilgocią, jakby wszelkie życie zamarło, przyczało się, żeby zachować resztki energii.

- Czy wiesz, jakie to straszne tak zniknąć, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybierasz?- pyta mama.

Jest specjalistką od znikania, więc wybucham śmiechem. Wygląda na zaskoczoną, nie rozumie ironii.

- Tata twierdzi, że po powrocie spałaś bez przerwy przez dwa dni.
- Byłam zmęczona.
- Napędziłaś mu stracha.
- A tobie?
- Mnie też.
- Kwitnący ogród!- woła tata.

Rozlega się trzask i świetliste kwiaty strzelają w górę, rozprzestrzeniają się w powietrzu i powoli opadają na ziemię.

- Ach!- Mama wzdycha- To było piękne.
- Doskonałe!- Cal gania się po ogrodzie, żeby się nacieszyć rakieta, zanim odda ją tacie. Razem wbijają patyk w ziemię. Myślę o ptaku i o króliku Cala. W naszym ogrodzie pochowano wiele zwierząt, pozostały po nich tylko kości leżące pod ziemią.
- Dlaczego pojechałaś nad morze?- pyta mama.
- Bo miałam ochotę.
- Po co wzięłaś samochód taty?

Wzruszam ramionami.

- Jazda samochodem była na mojej liście.
- Wiesz- mówi- nie możesz robić wszystkiego, co ci przyjdzie do głowy. Musisz myśleć o ludziach, którzy cię kochają.
- O kim?
- O tych, którzy cię kochają.
- Będzie hałas- ostrzega tata.- Zatkajcie uszy.

Rakieta startuje z głośnym hukiem, który czuję w sobie. Wibracje przedostają się do mojej krwi. Przepływają przez mózg.

Mama nigdy nie powiedziała, że mnie kocha. Ani razu. Pewnie nigdy tego nie powie. Teraz byłoby to zbyt oczywiste. Zrobiłaby to z litości i wprawiła nas obie w zakłopotanie. Czasem myślę o tych krótkich chwilach wypełnionych ciszą, które się zdarzały, zanim się urodziłam, kiedy leżałam zwinięta w ciemnej przestrzeni jej ciała. Ale nie poświęcam im uwagi zbyt często.

Mama poprawia się na krześle.

- Tesso, zamierzasz kogoś zabić?- mówi to lekkim tonem, ale czuję, że jest poważna.
- Oczywiście, że nie!
- To dobrze- wzdycha z ulgą.- Więc, co jest następne na twojej liście?

Zaskoczyła mnie.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Naprawdę.
- OK. Sława.

Kręci głową z niedowierzaniem, ale Cal, który właśnie podbiegł po petardy, uważa, że to fantastyczny pomysł.

- Spróbuj wsadzić do buzi jak najwięcej słomek do picia- proponuje.- Światowy rekord to 258.
- Zastanowię się- obiecuję.
- Możesz też dać się wytatuować na lamparta. Albo położysz się na łóżku, a my wciągniemy cię na nim na autostradę.

Mama przygląda się mu w zamyśleniu.

– 21 wystrzałów. Kaskada- mówi.

Liczmy. Fajerwerki unoszą się miękko w górę, rozpryskują na niebie jak gromady gwiazd, a potem powoli opadają na ziemię. Zastanawiam się, czy trawa będzie rankiem nosiła żółte ślady siarki, cynobru i akwamaryny.

Wysyłamy kometę w kosmos, żeby zapewnić Calowi nowe atrakcje. Tata zapala ją i wypuszcza z dachu. Petarda ciągnie za sobą lśniący ogon.

Mama kupiła bomby dymne. Kosztowały trzy i pół funta każda i Cal jest pod wrażeniem. Głośno obwieszcza ich cenę tacie.

– Więcej to kosztuje, niż jest warte!- odkrzykuje tata.

Mama składa dwa palce i celuje w niego, wywołując tym samym jego serdeczny śmiech, który przyprawia ją o drżenie.

– Kupiłam dwie w cenie jednej- mówi do mnie.- To jedna z korzyści twojej choroby i urządzania pokazu sztucznych ogni w grudniowy wieczór.

Bomby rozpryskują się w ogrodzie, wypełniając go zielonym dymem. Wygląda to jak zapowiedź ataku goblinów. Cal i tata biegną dookoła i śmieją się głośno.

– Ile dymu!- woła tata.- Jakbyśmy byli w Bejrucie!

Mama uśmiecha się i podaje mu koło Katarzyny.

– Teraz to. Moje ulubione.

Tata idzie po młotek, a mama przytrzymuje sztachetkę, żeby mógł wbić w nią gwóźdź. Oboje się śmieją.

– Tylko nie zmiążdż mi palców- ostrzega mama, szturchając go łokciem.

– Zrobię to, jeśli uderzysz mnie jeszcze raz.

Cal sadowi się na fotel mamy i otwiera paczkę z diabełkami.

– Założę się, że zostanę sławny przed tobą- rzuca.

– Na pewno nie.

– Będę najmłodszym uczestnikiem „Magicznego kręgu”.

– Najpierw muszą cię tam zaprosić.

– Zaproszą. Mam talent. A ty co? Nawet nie umiesz śpiewać.

– Hej!- woła tata.- O co chodzi?

Mama wzdycha.

– Nasze dzieci chcą być sławne.

– Naprawdę?

– Tessa umieściła sławę na następnej pozycji na swojej liście.

Widzę po jego minie, że to go zaskoczyło. Odwraca się do mnie z młotkiem w opuszczonej dłoni.

– Chcesz zostać sławna?

– Tak.

– Ale jak?

– Jeszcze się nie zdecydowałam.

– Myślałam, że zrealizowałam już całą listę.

– Nie.

– Po tej przejażdżce i tym, co się wydarzyło...

– Nie, tato, to jeszcze nie koniec.

Dawniej wierzyłam, że tata może wszystko, że potrafi mnie ocalić. Ale to nieprawda, jest tylko człowiekiem. Mama obejmuje go ramionami, a on pochyla się w jej stronę.

Patrzę na nich. Na mamę. Na ojca. Ma twarz skrytą w cieniu, przez końcówki jego włosów prześwituje światło. Nie ruszam się. Cal też nieruchomieje obok mnie na krześle.

– Jeju!- szepcze.

Boli bardziej, niż mogłabym to sobie wyobrazić.

Nabieram do ust wodę z kranu i wypluwam ją do zlewu. Moja ślina wydaje się pełna śluzu. Spływa tak wolno, że muszą ją spłukać wodą, żeby się jej pozbyć. Metalowa obudowa zlewu jest zimna.

Gaszę światło i przyglądam się swojej rodzinie zza szyby. Stoją razem na trawniku, grzebiąc w pozostałych fajerwerkach. Tata podnosi je w górę i oświetla latarką. W końcu wybierają coś i zamykają pudełko, a potem odchodzą w głąb ogrodu.

Może już jestem martwa. Może nic więcej się nie wydarzy. Żywi będą nadal mieszkać w swoim świecie- dotykać wszystkiego i poruszać się. A ja pozostanę w pustce i będę bezdźwięcznie stukać palcami w szybę, która nas dzieli.

Wychodzę przez drzwi od frontu, zamykam je za sobą i przysiadam na schodkach. W trawie coś szeleści, jakby jakiś nocny stwór próbował ukryć się przede mną, ale nie panikuję.

Siedzę w bezruchu. Kiedy mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności, dostrzegam płot i krzewy rosnące za nim. Wyraźnie widzę ulicę za furtką, światło latarni pada na chodnik, prześlizguje się po stojących samochodach. odbija się w ślepych oknach domów.

Czuję zapach cebuli. Kebab. Gdyby moje życie potoczyło się inaczej, byłabym teraz z Zoey. Jadłybyśmy frytki. Przystanąłybyśmy na rogu jakiejś ulicy i oblizywałybyśmy sól z palców, czekając na rozwój wydarzeń. Tymczasem tkwię na schodach. Martwa.

Słyszę Adama, zanim udaje mi się go dostrzec. Dobiega mnie gardłowy warkot jego motocykla. Kiedy się zbliża, dźwięk wibruje w powietrzu, a drzewa zdają się tańczyć w jego rytmie. Zatrzymuje się przed furtką, gasi silnik i wyłącza światła. Cisza i ciemność zapadają znowu, podczas gdy on zdejmując kask, przywiązuje go do kierownicy i prowadzi motor po ścieżce.

Wierzę przede wszystkim w chaos. Gdyby życzenia się spełniały, moje kości nie bolałyby tak bardzo, jakby cała przestrzeń w środku została zużyta. Uporczywa mgła nie przesłaniałaby mi wzroku.

Obserwuję Adama idącego ścieżką i czuję, że jednak mam wybór. Wszechświat może być dziełem przypadku, ale mogę zrobić coś, żeby odmienić tę sytuację.

Przekraczam niski mur oddzielający nasze ogrody. Adam przypina motor do furtki z boku domu. Nie widzi mnie. Podchodzi bliżej i staje tuż za nim. Czuję się silna i pewna siebie.

– Adam?

Odwraca się gwałtownie.

– Cholera! Myślałem, że to duch!- Pachnie chłodem i wilgocią, jak zwierzę wynurzające się z nocy. Zbliżam się o krok.

– Co robisz?- pyta.

– Ustaliliśmy, że będziemy przyjaciółmi.

Jest zmieszany.

– Tak.

– Nie zgadzam się.

Oddziela nas przestrzeń, a w tej przestrzeni panuje ciemność. Robię kolejny krok. Staję tak blisko, że nasze oddechy łączą się. Wdech i wydech.

– Tesso- mówi. Wyczuwam w jego głosie ostrzeżenie, ale mam to gdzieś.

– Jaki jest najgorszy możliwy scenariusz?

– Będzie bolało- odpowiada.

– Już boli.

Powoli kiwa głową. I nagle zapadamy się w dziurę czasową. Wszystko nieruchomieje na tę jedną minutę, gdy przyglądamy się sobie z bliska. Kiedy pochyla się nade mną, przenika

mnie dziwne ciepło. Zapomniałam o tym, że mój mózg jest pełen smutnych twarzy, które widziałam, przechodząc pod oknami cudzych domów. Przysuwa się bliżej, czuję ciepło jego oddechu na skórze. Całujemy się bardzo delikatnie. Prawie unikamy dotyku, jakbyśmy nie byli pewni tego, co robimy. Stykają się tylko nasze usta.

Odsuwamy się i patrzymy na siebie. Jakimi słowami mam opisać to spojrzenie wędrujące ode mnie do niego i z powrotem? Całe otoczenie nieruchomieje i wpatruje się w nas. To, co zginęło, odnajduje się.

– Cholera, Tesso!

– W porządku- stwierdzam.- Nie załamie się.

Żeby to udowodnić, popycham go na ścianę domu i przytrzymuję w uścisku. Tym razem nie jestem delikatna. Moje wargi odnajdują jego usta. Język napotyka jego język. Adam otacza mnie ramionami. Kładzie rękę na mojej szyi. Topnieję. Przesuwam dłoń w dół po jego plecach. Prziciskam się do niego, ale wciąż nie znajduję się wystarczająco blisko. Chcę wejść w niego. Żyć w nim. Być nim. Wszystko jest językiem i tęsknotą. Liżę go i kąsam kąciki ust.

Rozdział 25

– Dokąd jedziemy?

Tata zdejmuję jedną rękę z kierownicy, żeby poklepać mnie po kolanie.

– Zdamy na czas.

– Czy to będzie kłopotliwe?

– Mam nadzieję, że nie.

– Spotkamy jakichś sławnych ludzi?

Przez chwilę wydaje się skonsternowany.

– A o to ci chodziło?

– Niezupełnie.

Jedziemy przez miasto, a on wciąż nie chce mi powiedzieć, co jest celem naszej podróży.

Mijamy dzielnicę willową i wyjeżdżamy na obwodnicę. Zgaduję w ciemno. Tata śmieje się ze mnie. Rzadko się tak zachowuje.

– Wybieramy się na Księżyc?

– Nie.

– Mam wziąć udział w jakimś programie poszukującym talentów?

– Z twoim głosem?

Dzwonię do Zoey i pytam, czy próbuje zgadnąć, gdzie tata mnie wiezie, ale ona myśli tylko o czekającym ją zabiegu.

– Muszę tam pójść z jakąś odpowiedzialną dorosłą osobą. Skąd ja wytrzasnę kogoś takiego?

– Weź mnie.

– Powiedzieli: „z kimś dorosłym”. Na przykład z rodzicami.

– Nie mogą cię zmusić, żebyś przyznała się starym.

– Nie wytrzymam tego dłużej. Sądziłam, że dadzą mi pigułkę na poronienie. Po co ten cały zabieg? Przecież dziecko jest wielkości kropki.

Myli się. Wczoraj zjrzałam do Księgi medycyny rodzinnej Reader's Digest i przeczytałam

rozdział poświęcony ciąży. Chciałam wiedzieć, jakiej wielkości jest dziecko w szesnastym tygodniu. Ma długość mlecza. Nie mogłam oderwać się od lektury. Przeczytałam o uządleniu pszczoły i pokrzywce. Dowiedziałam się wiele o wprost uroczych z powodu swej przyziemności chorobach rodzinnych- egzemie, zapaleniu migdałków, krupie.

- Jesteś tam jeszcze?- pyta Zoey.
- Tak.
- Muszę już kończyć. Kwasy żołądkowe podchodzą mi do gardła.

Ma zgagę. Powinna wymasować sobie okrężnicę i napić się mleka, a wtedy jej przejdzie. Cokolwiek zdecyduje w sprawie dziecka, dolegliwości odmiennym stanem po jakimś czasie miną. Ale tego już jej nie mówię. Naciskam czerwony przycisk na komórce i koncentruję się na drodze.

- Głupia dziewczyna- komentuje tata.- Im dłużej będzie zwlekać, tym gorzej. Usunięcie ciąży to nie to samo, co wyrzucenie śmieci.
- Ona o tym wie, tato. A poza tym, to nie twoja sprawa. Zoey nie jest twoją córką.
- Rzeczywiście- zgadza się.- Nie jest.

Piszę SMS-a do Adama: GDZIE JESTEŚ, DO CHOLERY? Potem kasuję wiadomość. Sześć nocy temu jego mama wyszła z domu i się rozplakała. Powiedziała, że przestraszyła się fajerwerków. Pytała, dlaczego ją opuścił w chwili, gdy świat się kończy.

- Podaj mi swój numer- powiedział.- Zadzwoń.

Wymieniliśmy się komórkami. Czynność ta miała jakiś erotyczny podtekst. Uznałam ją za obietnicę.

- Czym właściwie jest sława?- zastanawia się tata.

Weźmy na przykład Szekspira. Na okładkach wszystkich jego sztuk znajdujących się w szkolnej bibliotece widniała charakterystyczna podobizna autora- ze sterczącą bródką i piórem w dłoni. Wymyślił miliony słów. Minęły setki lat, a każdy wie, kim był. Żył w czasach, w których nie było samochodów ani samolotów, karabinów, bomb i zanieczyszczenia środowiska. Nie znano nawet długopisów. Panowała wówczas królowa Elżbieta I. Ona też stała się sławna, nie dlatego, że była córką Henryka VIII, ale dzięki ziemniakom, Armadzie, tytoniowi oraz inteligencji.

Jest jeszcze Marilyn. I Elvis. Nawet współczesne ikony, takie jak Madonna, przejdą do historii. Take That znów wyjechali na tournée i doskonale się sprzedają. Zmarszczki wokół ich oczu zdradzają wiek, a Robbie nawet nie umie śpiewać, ale ludzie chcą ich słuchać. Chodzi mi właśnie o ten rodzaj popularności. Chciałabym, żeby cały świat zatrzymał się na chwilę i wszyscy ludzie poświęcili mi swoją uwagę, żeby się pożegnać, kiedy będę umierała. Cóż więcej?

- A czym dla ciebie jest sława, tato?
- Chyba pozostawieniem czegoś po sobie- odpowiada po chwili namysłu.

Myślę o Zoey i jej dziecku. Rosnącym z każdym dniem. Rozwijającym się.

- Jesteśmy na miejscu- mówi tata.

Nie wiem, gdzie się znajdujemy. Budynek przypomina bibliotekę, jest kwadratowy i funkcjonalny, ma mnóstwo okien i własny parking, na którym oznaczono miejsce dla samochodu dyrektora. Zatrzymujemy się na stanowisku dla niepełnosprawnych.

Kobieta, której głos odzywa się w domofonie, chce wiedzieć, do kogo przyjechaliśmy. Tata usiłuje przekazać jej tę informację szeptem, ale recepcjonistka nie słyszy go, więc musi powtórzyć głośniej

- Do Richarda Greena- oświadcza, zerkając na mnie.
- Do Richarda Greena?

Kiwa głową z zadowoloną miną.

- Jest znajomym księgowego, z którym kiedyś pracowałem.
- Ale po co...?
- Chce przeprowadzić z tobą wywiad.

Zatrzymuję się na schodach.

- Wywiad? W radiu? Przecież wszyscy będą mnie słuchać!
- A nie o to ci chodziło?
- O czym będzie ten wywiad?

Tata się czerwieni. Chyba dopiero teraz uświadamia sobie, że to najgorszy pomysł, jaki mógł mu przyjść do głowy, ponieważ jedynym powodem, dla którego mogłabym zostać sławna, jest moja choroba. Gdyby nie ona, byłabym teraz w szkole albo na wagarach. Może siedziałabym u Zoey i biegała do łazienki po tabletki na niestrawność. Albo leżałabym w ramionach Adama.

Recepcjonistka udaje, że wszystko jest w porządku. Pyta o nasze nazwiska i daje nam identyfikatory. Przypinamy je posłusznie do płaszczy. Obiecuje, że producent zaraz się nami zajmie.

- Proszę usiąść- pokazuje nam rząd krzeseł stojących w drugim końcu holu.
- Nie musisz nic mówić- uspokaja mnie tata.- Jeśli chcesz, pójdę tam sam, a ty możesz na mnie poczekać tutaj.
- O czym będziesz opowiadał?

Wzrusza ramionami.

- O złym wyposażeniu dziecięcych oddziałów onkologicznych, braku funduszy na stosowanie medycyny alternatywnej, braku dotacji na twoją specjalną dietę. Mogłbym opowiadać o tym godzinami. Stałem się specjalistą w tej dziedzinie.
- Chodzi o uzyskanie dotacji? Nie chcę być sławna, dlatego że zdobędę trochę pieniędzy. Chcę zyskać popularność, ponieważ jestem kimś niezwykłym. Pragnę sławy na skalę światową. Słyszałeś o czymś takim?

Tata odwraca się do mnie z błyszczącymi oczami.

- A w jaki sposób miałabyś ją osiągnąć?

Obok nas bulgocze woda w wielkiej butli. Czuję mdłości. Myślę o Zoey. O jej dziecku, które pewnie ma już paznokcie- maleńkie paznokietki przypominające płatki mleczka.

- Mam odwołać spotkanie?- pyta tata.- Nie chcę cię do niczego zmuszać.

Trochę mi go żal, kiedy szura nogami pod krzesłem jak mały chłopiec. Nie potrafimy się porozumieć.

- Nie, tato. Nie odwołuję.
- Pójdiesz tam ze mną?
- Pójdę.

Ściska mnie za rękę.

- Bardzo się cieszę, Tesso.

Jakaś kobieta schodzi po schodach i zbliża się do nas. Serdecznie wita się z tatą.

- Rozmawialiśmy przez telefon- mówi.
- Tak.
- A to na pewno Tessa.
- We własnej osobie!

Wyciąga dłoń na powitanie, ale ignoruję ten gest, udając, że nie mogę ruszać rękami. Może uzna, że to jeden z objawów choroby. Jej smutny wzrok prześlizguje się po moim płaszczu, szaliku i czapce. Na pewno wie, że na dworze nie jest aż tak zimno.

- Nie ma windy- tłumaczy.- Dasz radę zejść po schodach?

- Nie ma problemu- wyręcza mnie tata.

Kobieta oddycha z ulgą.

- Richard bardzo się cieszy ze spotkania z wami.

Flirtuje z tatą w drodze do studia. Przechodzi mi przez myśl, że troskliwość, jaką mi okazuje, może zwiększać jego atrakcyjność w oczach kobiet. Czują, że muszą go ratować. Przede mną. Przed tym całym cierpieniem.

- Wywiad będzie na żywo- uprzedza kobieta, ścisząc głos, kiedy zbliżamy się do studia.- Widzicie tę czerwoną lampkę? Oznacza, że Richard jest na antenie i nie możemy teraz wejść. Za chwilę włączy muzykę i wtedy zapali się zielone światło.- Mówi to z taką dumą, jakby chciała zrobić na nas wrażenie.
- O czym będzie program? – pytam.- Poświęcony w całości umierającej dziewczynie czy Richard zaplanował jakieś niespodzianki?
- Nie rozumiem.- Uśmiecha się kącikami ust. Obrzuca tatę lekko zaniepokojonym spojrzeniem. Czyżby wychwyciła jakąś wrogość w mojej wypowiedzi?
- Dziecięce oddziały onkologiczne są rzadkością w szpitalach- wtrąca pośpiesznie tata.- Jeśli uda nam się wzbudzić zainteresowanie, odniesiemy sukces.

Czerwone światło nad drzwiami studia zmienia się na zielone.

- Teraz wy- mówi producentka i otwiera drzwi.- Tessa Scott i jej ojciec- anonsuje. Brzmi to tak, jakby obwieszczała przybycie gości, jakbyśmy zostali wprowadzeni na bal. Ale Richard Green nie jest księciem. Unosi się lekko na powitanie i wyciąga do nas tłustą dłoń, którą ściskamy po kolei. Jego ręka jest tak spocona, że należałoby ją wycisnąć. Świszcze mi w płucach, kiedy opada na krzesło. Cuchnie tytoniem. Grzebie w papierach.

- Usiądźcie- prosi.- Przedstawię was i zaczynamy.

Oglądałam jego programy lokalne w telewizji śniadaniowej. Pamiętam, że podobał się jednej z pielęgniarek. Dopiero teraz dowiedziałam się, że przenieśli go do radia.

- Dobra- mówi.- Zaczynamy. Postarajcie się zachować naturalność. To będzie nieformalna pogawędka.- Pochyla się nad mikrofonem.- A teraz mam zaszczyt powitać w studiu pewną bardzo dzielną młodą damę, Tessę Scott.

Serce bije mi szybciej, gdy słyszę, jak wymawia moje imię. Czy Adam tego słucha? A Zony? Może leży w łóżku przy włączonym radiu. Męczą ją mdłości albo właśnie drzemie.

- Tessa żyje z białaczką od czterech lat. Przyszła do nas dzisiaj z tatą, żeby opowiedzieć nam o swoich doświadczeniach.

Tata pochyla się do przodu i Richard, jakby wyczuwając jego gotowość do rozmowy, zadaje mu pierwsze pytanie.

- Opowiedz nam o tym, jak dowiedziałeś się, że Tessa jest chora- prosi Green.

Tata jest w swoim żywiole. Opowiada o rzekomej grypie, która utrzymywała się przez miesiąc i wydawało się, że nigdy się nie skończy. O rutynowych badaniach, które niczego nie wykazały, ponieważ ten rodzaj białaczki jest raczej rzadki.

- Zauważyliśmy zadrapania- wyjaśnia.- Niewielkie ranki na plecach Tessy powstałe na skutek redukcji płytek krwi.

Tata jest bohaterem. Mówi o ty, że był zmuszony porzucić pracę doradcy finansowego, gdyż nasze życie zostało podporządkowane wizytom w szpitalach i terapii.

- Białaczka nie jest schorzeniem miejscowym- tłumaczy.- To choroba atakująca cały organizm. Kiedy Tessa podjęła decyzję o zaniechaniu terapii agresywnej, rozpoczęliśmy domowe leczenie metodą holistyczną. Córka stosuje specjalną dietę. Jest ona kosztowna, ale przekonałem się, że to nie jedzenie w naszym życiu jest źródłem zdrowia, lecz życie w jedzeniu.

Zaskoczył mnie swą wypowiedzią. Czy on liczy na to, że ludzie zaczną dzwonić i ofiarować

nam pieniądze na produkty organiczne?

Richard zwraca się do mnie z powagą:

- Postanowiłaś zrezygnować z leczenia, Tesso? To trudna decyzja dla kogoś, kto ma szesnaście lat.

Zaschło mi w gardle.

- Niezupełnie.

Kiwa głową, jakby spodziewał się, że powiem coś więcej. Zerkam na tatę, który do mnie mruga.

- Chemioterapia przedłuża życie- przyznaję- Ale pogarsza samopoczucie. Przeszłam ciężką kurację i wiedziałam, że jeśli zrezygnuję z dalszego leczenia, więcej rzeczy będzie mi wolno robić.
- Tata mówił, że pragniesz być sławna- wtrąca Richard.- To dlatego chciałaś wystąpić w radiu? Przez piętnaście minut poczuć się gwiazdą?

Przedstawia mnie jako jedną z tych smutnych małych dziewczynek, które zamieszczają ogłoszenia w lokalnych gazetach, bo chcą być druhami na weselu, ale nie znają żadnej panny młodej. Przez niego wyjdę na idiotkę.

Biorę głęboki oddech.

- Przygotowałam listę rzeczy, które chcę zrobić, zanim umrę. Sława jest jedną z nich.

W oczach Richarda pojawia się błysk. Jest dziennikarzem i potrafi rozpoznać dobrą historię.

- Tata nie wspominał mi o tej liście.
- Pewnie dlatego, że większość rzeczy, które na niej wypisałam, są nielegalne.

Kiedy rozmawiał z moim ojcem, robił wrażenie sennego, a teraz nie jest w stanie usiedzieć na krześle.

- Naprawdę? Możesz podać przykłady?
- Wzięłam kiedyś samochód taty i pojechałam na całodniową wycieczkę, bez prawa jazdy oraz wyników badań.
- Ho, ho!- cieszy się Richard.- Chyba straci pan kilka punktów, panie Scott!- Szturcha tatę, żeby nie odebrał źle tej wiadomości, ale widzę, że tata jest wstrząśnięty. Mam poczucie winy i odwracam od niego wzrok.
- Któregoś dnia postanowiłam, że będę robiła wszystko, o co inni mnie poproszą.
- I co się stało?
- Wylądowałam w rzece.
- Widziałem taką reklamę w telewizji- zauważa Richard.- To stąd wzięłaś pomysł?
- Nie.
- Omal nie złamała karku podczas jazdy na motorze- przerywa tata. Pragnie wrócić do bezpiecznego tematu. Ale sam jest sobie winien, zaaranżował tę rozmowę, która wymknęła mu się spod kontroli.
- Niewiele brakowało, żebym została aresztowana za kradzież w sklepie. Chciałam łamać prawo tak często, jak tylko byłoby to możliwe w ciągu jednego dnia.

Richard jest wyraźnie poruszony.

- A potem był seks.
- Ach.
- Narkotyki...
- I rock and roll!- dorzuca Richard do mikrofonu.- Słyszałem już, że śmiertelna choroba skłania ludzi do porządkowania domu lub załatwiania niedokończonych spraw. Jednak myślę, że się ze mną zgodzicie w jednym, panie i panowie- ta młoda dama bierze życie za rogi.

Wyprasza ją nas ze studia w dość jednoznaczny sposób. Spodziewałam się, że tata będzie wściekły, ale nie jest. Powoli wchodzimy po schodach. Jestem wykończona.

- Ludzie mogą zacząć ofiarowywać pieniądze- mówi tata.- Już tak bywało. Będą chcieli ci pomóc.

Moją ulubioną sztuką Szekspira jest Makbet. Kiedy król zostaje zamordowany, w jego kraju zaczynają dziać się dziwne rzeczy. Sowy krzyczą. Świerszcze płaczą. W oceanie brakuje wody, żeby zmyć krew.

- Jeśli zdobędziemy wystarczająco dużo pieniędzy będziemy mogli wysłać cię do tego instytutu badawczego w Stanach.
- To nie jest kwestia pieniędzy, tato.
- Przeciwnie! Nie dalibyśmy rady bez pomocy innych ludzi, a wiem, że program wzmacniania układu immunologicznego opracowany przez tych uczonych odniósł sukces.

Przytrzymuję się poręczy. Jest plastikowa, ma lśniąca i gładką powierzchnię.

- Chcę, żebyś zrezygnował, tato.
- Z czego?
- Z udawania, że wyzdrowieję.

Rozdział 26

Tata zbiera miotełką kurz ze stolika, kominka i czterech parapetów. Rozsuwa zasłony i zapala obie lampy. Mam wrażenie, że chce w ten sposób odstraszyć mrok.

Mama siedzi obok mnie na kanapie. Jest wstrząśnięta swoim odkryciem.

- Już zapomniałam – stwierdza
- O czym?
- O tym, jak łatwo wpadasz w panikę.

Tata patrzy na nią podejrzliwie

- Czy to oskarżenie?

Mama odbiera mu miotełkę i wręcza szklanę sherry, którą co chwila napełnia sobie do śniadania

- Proszę – mówi. - Masz sporo do nadrobienia

Myszę, że obudziła się pijana. A już na pewno obudziła się w łóżku taty, razem z nim. Cal zaciągnął mnie do ich sypialni, żebym przekonała się o tym na własne oczy.

- Numer siódmy – powiedziałam.
- Co?

- Na mojej liście. Chciałam podróżować po świecie, ale zamieniłam to na ponowne zejście się rodziców.

Cal uśmiechnął się do mnie, jakby to było moją zasługą, a przecież na nic nie miałam wpływu. Następnie zabraliśmy się do rozpakowywania skarpet z prezentami, leżących na podłodze w sypialni taty, a oni nam się przyglądali nie do końca rozbudzeni. Miałam wrażenie, że znaleźliśmy się w jakiejś dziurze czasowej.

Tata podchodzi teraz do stołu, przestawia sztuce i serwetki. Udekorował go ciasteczkami i małymi bałwankami z waty. Ułożył serwetki we wzory origami.

- Zaprosiłem ich na pierwszą – mówi.

Cal jęczy z za swojego rocznika „Beano”.

- Nie wiem, po co w ogóle ich zapraszałeś. Są dziwni.
- Cicho – prosi mama. - Mamy święta.
- Święta są głupie – mamrocze Cal. Przewraca się na dywanie i patrzy na nią z rozżaleniem – Wolałbym, żebyśmy byli sami.

Mama trąca go czubkiem buta, ale on nie ma ochoty na zabawę. Próbuje więc rozweselić go, machając mu przed oczyma miotelką.

- Odkurzyć się?
- Tylko spróbuj! - Cal zrywa się z podłogi, głośno się śmiejąc, i biegnie do taty. Mama go gonie, ale tata zachodzi jej drogę i odgania ja udawanymi ciosami karate.
- Zaraz coś strącicie – mówię, jednak nikt mnie nie słucha. Mama z tatą ganiają się wokół stołu, łaskocząc się i próbując nawzajem wsadzić sobie gdzieś miotelkę do kurzu.

To dziwne, ale denerwuje mnie ich zachowanie. Chciałam, żeby się zeszli, lecz niezupełnie tak to sobie wyobrażałam. Sądziłam, że połączy ich coś głębszego.

Z powodu panującego hałasu nie słyszemy dzwonka do drzwi. Nagle dobiega nas stukanie w okno.

- Ups – mruży mama. - Przyszli goście! - Zerka na mnie domyślnie i wychodzi otworzyć drzwi. Tata poprawia spodnie. Wciąż się uśmiecha, kiedy podąża z Caliem za mamą.

Zostaję na kanapie. Zakładam nogę na nogę. Potem siadam prosto. Biorę gazetę telewizyjną i przerzucam strony.

- Spójrz, kto przyszedł. - Mama wprowadza Adama do salonu.

Chłopak ma na sobie koszulę z guzikami i porządne spodnie zamiast džinsów. Uczesał się.

- Wszystkiego najlepszego z okazji świat Bożego Narodzenia – mówi.
- Nawzajem.
- Przyniosłem ci życzenia

Mama mruga do mnie.

- W takim razie zostawię was samych.

Mało subtelne.

Adam przysiadł na poręczu fotela naprzeciwko mnie i przygląda się, jak otwieram kartkę. Jest na niej renifer z kreskówki z gałązką ostrokrzewu owiniętą wokół rogów. W środku znajduje się napis: „Wesołych świąt!”. Tylko tyle.

Stawiam kartkę na stole pomiędzy nami i oboje się jej przyglądamy. Ogarnia mnie ból.

Zadawniony ostry ból, który nie odejdzie.

- Co do tamtej nocy... - zaczynam

Zsuwa się z poręczu i siada na fotelu.

- Tak?
- Myślisz, że powinniśmy o tym pogadać?

Waha się, jakby moje pytanie mogło okazać się podchwytliwe.

- Chyba tak.
- Przyszło mi do głowy, że się przestraszyłeś. - Ośmielam się na niego spojrzeć. - Czy tak było?

Zanim ma szansę odpowiedzieć, otwierają się drzwi i wpada Cal.

- Kupiłeś mi buławy do żonglowania! - woła z przejęciem i staje przed Adamem. - Skąd wiedziałeś, że chciałem je mieć? Są super! Zobacz, już prawie umiem się nimi posługiwać.

Żonglowanie mu nie wychodzi. Buławy latają po całym pokoju i spadają na podłogę. Adam śmieje się, podnosi je i sam próbuje. Jest zaskakująco dobry, udaje mu się podrzucić je siedemnaście razy.

- A potrafisz rzucać nożami? - pyta Cal. - Widziałem gościa, który żonglował jabłkiem i trzema nożami jednocześnie. W tym czasie obrał jabłko i je zjadł. Nauczyłbyś mnie tego, zanim skończę dwanaście lat?
- Pomogę ci ćwiczyć.

Jak dobrze jest im razem, kiedy tak rzucają do siebie buławami. Jak łatwo przychodzi im snuć plany na przyszłość.

Wchodzi mama Adama i siada przy mnie na kanapie. Wymieniamy uścisk dłoni, co sprawia, że czuję się trochę nieswojo. Ma drobne i suche ręce. Wygląda na zmęczoną, jakby miała za sobą wielodniową podróż.

- Jestem Sally - mówi. - Tobie też przynieśliśmy prezent.

Podaje mi torbę. W środku jest pudełko czekoladek. Nawet nie zostało opakowane.

Wyjmuję je i kładę na kolanach.

Cal podaje jej buławy.

- Spróbuj pani? - Sally patrzy na nie z niepewnością, ale podnosi się z kanapy - Pokażę pani, jak to się robi.

Adam zajmuje jej miejsce. Przysuwa się do mnie oświadcza:

- Wcale się nie przestraszyłem.

Uśmiecha się. Odwzajemniam ten uśmiech. Chcę go dotknąć, jednak nie mogę tego zrobić, ponieważ akurat wchodzi tata z butelką sherry w jednej ręce i nożem w drugiej. Ogłasza, że podano do stołu.

Mamy mnóstwo jedzenia. Tata przygotował indyka, pieczeń i puree z ziemniaków, pięć rodzajów warzyw, farsz i sosy. Włącza płytę Binga Crosby'ego. Jemy, słuchając starego przeboju o dzwoniących dzwoneczkach u sań i śniegu.

Sądziłam, że dorośli będą rozmawiać o hipotekach i innych nudziarstwach, ale mama i tata są lekko wstawieni i całkiem miło się wygłupiają.

Nawet Sally nie może powstrzymać śmiechu, kiedy mama opowiada o tym, jak jej rodzice uznali, że tata pochodzi z niższej sfery, i zabronili się z nim spotykać. Mówi o prywatnych szkołach, do których ją posyłali, i wielkich przyjęciach, w których brała udział. O tym, jak regularnie wykradała kucyka swojej siostry i jeździła na nim nocą do miasta, żeby odwiedzić tatę.

Tata śmieje się z tych wspomnień.

- Mieszkaliśmy w małym miasteczku, w którym prawie wszyscy zajmowali się handlem. Mój dom znajdował się na drugim jego końcu. Biedny kucyk był tak zmęczony tymi sobotnimi wycieczkami, że już nigdy nie zdobył żadnej nagrody na manężu.

Mama napętnia kieliszek Sally. Cal prezentuje magiczną sztuczkę z nożem do masła i serwetką.

Być może leki, które Sally zażywa, pozwalają jej zajrzeć w głąb innej rzeczywistości, bo patrzy na Cala z niekłamanym podziwem, mimo że sztuczka okazuje się dość przewidywalna.

- Potrafisz zrobić coś jeszcze - pyta.

Cal jest w siódmym niebie.

- Pewnie. Później pani pokażę.

Adam siedzi naprzeciw mnie. Dotykamy się stopami pod stołem. Czuję jego obecność każdą częścią swojego ciała. Przyglądam mu się jak je. Kiedy popija wino, zastanawiam się,

jak smakują jego pocałunki.

- Na górę – proszę oczami. - Chodźmy na górę. Ucieknijmy.

Co nam zrobią? Czy mogą w ogóle coś zrobić? A gdybyśmy tak się rozebrali i wskoczyli do łóżka?

- Łańcuch kawałów! - krzyczy mama. - Zapomnieliśmy zrobić łańcuch kawałów!

Krzyżujemy ręce i łączymy dłonie, świąteczne żarty obiegają stół. Sypimy dowcipami jak z rękawa.

Cal odczytuje głośno swój żarcik.

- Jaka jest różnica między słoniem a fortepianem? - Nikt nie wie. -Fortepian można zasłonić, a słonia nie można zafortepianić! - woła triumfalnie.

Wszyscy wybuchają śmiechem z wyjątkiem Sally. Może myśli o swoim zmarłym mężu. Mój kawał jest beznadziejny, o człowieku, który idzie do baru, ale to jest pierwiastek baru i dostaje od tego bólu głowy. Adam nie przygotował żadnego żartu. Stwierdza, że gdyby wszechświat powstał dzisiaj, cała zapisana historia musiałaby się wydarzyć w ciągu dziesięciu sekund.

- To prawda – wtrąca Cal. - Człowiek jest niczym w porównaniu z Układem Słonecznym.
- Chyba powinnam pracować w fabryce żartów – rzuca mama. - Wyobrażacie sobie, jakby to było móc układać żarty przez okrągły rok.
- Chciałbym wtrącić swoje co nieco – mówi tata, mrugając do mamy. Stanowczo za dużo oboje wypili.

Sally dotyka włosów.

- Mogę przedstawić swój dowcip?

Uciszamy się nawzajem. Ma smutne oczy, kiedy czyta:

- Siedzi jeź na polance i je jabłko. Podchodzi do niego sarna i pyta: „Co jesz?”. A jeź na to: „Co, sarna?”.

Cal wybuchają śmiechem. Rzuca się na podłogę i macha nogami. Sally jest zadowolona, odczytuje kawał jeszcze raz. Jest naprawdę śmieszny. Czuję falowanie brzucha, które przemieszcza się coraz wyżej, aż dosięga gardła. Sally też się śmieje, wydając niski, bulgoczący dźwięk. Chyba ją samą to zaskakuje, co sprawia, że mama, tata i Adam chichoczą. Co za ulga. Cholerna ulga. Nie pamiętam, kiedy ostatnio głośno się śmiałam. Łzy spływają mi po policzkach. Adam podaje mi serwetkę.

- Masz – Jego palce dotykają moich.

Ocieram oczy. „Chodź na górę. Chcę cię dotykać wszędzie” - myślę. Już otwieram usta, żeby powiedzieć na głos: „Mam coś dla ciebie, Adamie, ale zostawiłam to w swoim pokoju, więc musimy tam pójść”, kiedy rozlega się pukanie do okna.

To Zoey, przyciska twarz do szyby jak Maria z opowieści bożonarodzeniowej. Miała przyjść dopiero na podwieczorek razem z rodzicami.

Wznosi ze sobą powiew chłodu. Staje przed nami na dywanie.

- Wesołych świąt – życzy.

Tata unosi kieliszek i życzy tego samego. Mama wstaje i obejmuje ją na powitanie.

- Dziękuję – mówi Zoey i wybuchają płaczem

Mama podsuwa jej krzesło i sięga po chusteczki. Nagle wjeżdżają na stół dwa półmiski z leguminą podlane kremem z brandy. Zoey nie powinna wprowadzić alkoholu, ale krem może się nie liczyć.

- Kiedy zajrzałam do was przez okno – zaczyna, pociągając nosem – wyglądaliście jak z reklamy. Już chciałam zawrócić.
- Co się dzieje, Zoey? - pyta tata.

Zoey wpycha do buzi kawał leguminy z kremem, przeżuwa go i połyka.

- A co chcecie usłyszeć?
- To, co zechcesz nam powiedzieć.
- Mam zapchany nos i czuję się jak wrak. Czy to wystarczy?
- Twój stan jest spowodowany przyrostem HCG – wyjaśniam – To taki hormon ciążyowy.

Zapada cisza i wszyscy patrzą na mnie.

- Przeczytałam o tym w *Księdze medycyny*.

Nie jestem pewna, czy powinnam była mówić na ten temat głośno. Zapomniałam, że Adam, Cal i Sally nie wiedzą, że Zoey jest w ciąży. Ale żadne z nich się nie odzywa, a Zoey wydaje się nie mieć mi tego za złe. Pakuje sobie kolejną porcję leguminy do ust.

- Masz kłopoty w domu? - pyta tata.

Moja przyjaciółka nabiera kolejną łyżkę deseru.

- Powiedziałam rodzicom.
- Dzisiaj? - Tata jest zaskoczony.

Zoey ociera usta rękawem.

- może wybrałam nieodpowiednią porę.
- Jak zareagowali?
- Wygadywali straszne rzeczy. Znienawidzili mnie. Wszyscy mnie nienawidzą. Z wyjątkiem dziecka.

Cal szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Będiesz miała dziecko?
- Tak.
- Założę się, że to chłopiec.

Zoey kręci głową.

- Nie chcę chłopca.
- Ale chcesz tego dziecka? - pyta tata łagodnym głosem.

Zoey waha się, jakby po raz pierwszy przeszło jej to do głowy. Potem uśmiecha się do niego. Ma wilgotne, zachwycone spojrzenie. Jeszcze nigdy jej takiej nie widziałam.

- Tak – stwierdza. - Naprawdę chcę. Dam jej na imię Lauren.

W dziewiętnastym tygodniu ciąży dziecko jest już w pełni ukształtowane, waży około dwustu czterdziestu gramów. Gdyby urodziło się teraz, zmieściłoby się w mojej dłoni. Miałoby przezroczysty żołądek pokryty czerwonymi żyłkami. Usłyszałoby mnie, gdybym coś do niego powiedziała.

- Dodałam twoje dziecko do swojej listy – mówię. Chyba tego również nie powinnam była ujawniać. Nie chciałam. I znowu wszyscy na mnie patrzą.

Tata wyciąga rękę nad stołem i dotyka mojej dłoni.

- Tesso – szepce.

Nie mogę tego znieść. Odpycham go.

- Chciałbym być przy porodzie.
- To jeszcze pięć miesięcy, Tesso – przypomina Zoey.
- I co z tego? To tylko sto sześćdziesiąt dni. Ale jeśli wolisz, żebym ci nie towarzyszyła, mogę poczekać na zewnątrz i przyjść później. Chcę być jedną z pierwszych osób na ziemi, które wezmą ją w ramiona.

Wstaje i okrąża stół. Obejmuje mnie. Jest inna. Brzuch jej stwardniał i ma gorącą skórę.

- Tesso, chcę, żebyś przy mnie była

Rozdział 27

Popołudnie mija szybko. Sprzątamy ze stołu i włączamy telewizję. Wszyscy słuchamy wystąpienia królowej, apotem Cal prezentuje nam kilka sztuczek.

Zoey spędza cały ten czas na kanapie między mamą i Sally. Opowiada im ze szczegółami historię swojego nieudanego romansu ze Scottem. Nawet próbuje dowiedzieć się od nich czegoś więcej na temat porodu.

– Powiedzcie – prosi – czy to naprawdę tak bardzo boli?

Tata zagłębia się w lekturze swej nowej książki *Pokarmy organiczne*. Od czasu do czasu czyta na głos dane statystyczne na temat chemikaliów i pestycydów

Adam rozmawia z Calem. Pokazuje mu, jak należy żonglować buławami; uczy go nowego triku z monetą. Wciąż nie wiem, co o Adamie myśleć. Nie chodzi o to, czy mi się podoba, ale czy ja podobam się jemu. Co chwilę nasze spojrzenia się spotykają, ale zawsze to on pierwszy odwraca wzrok.

– On cię pragnie – mówi Zoey bezgłośnie. Jeśli to prawda, nie wiem, jak mam doprowadzić do zbliżenia.

Spędziłam popołudnie naprzeglądaniu książki, którą dostałam od Cala – *Sto dziwnych sposobów na spotkanie ze Stwórcą*. Jest zabawna, ale nie pomaga mi pozbyć się uczucia, że coś we mnie nieustannie się kurczy. Siedzę na tym fotelu od dwóch godzin i zupełnie się od wszystkich odizolowałam. Wiem, że moje postępowanie nie jest w porządku, nie potrafię jednak zachowywać się inaczej.

Już o czwartej robi się ciemno i tata zapala wszystkie światła. Wnosi miseczki ze słodyczami i orzeszki. Mama proponuje grę w karty. Wymykam się na korytarz, kiedy ustawiają krzesła. Mam dość wciąż grzejących kaloryferów oraz gier. Zdejmuję płaszcz z wieszaka i wychodzę do ogrodu.

Wstrząsa mną zimno. Wnika w moje płuca i zamienia oddech w parę. Nasuwam na głowę kaptur, zawiązuję go pod brodą i czekam.

Powoli mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności, zaczynam dostrzegać różne szczegóły, jakby wyłaniały się z mgły. Ostrokrzew drapiący ścianę szopy, ptaka na płocie z piórkami napuszonymi przez wiatr.

Tam, w domu, pewnie już rozdają karty i częstują się orzeszkami, ale tutaj każde źdźbło trawy lśni od mrozu. Na niebie jest pełno gwiazd, zupełnie jak w bajce. Nawet księżyc wydaje się zdziwiony tym widokiem.

Ugniatam śnieg butami, podchodząc do jabłonki. Dotykam jej sękatego pnia, staram się wyczuć palcami szarą pobrudzoną korę. Na gałęziach wisi jeszcze parę listków. Kilka zwiędłych jabłek pokrywa się rdzawym nalotem.

Cal twierdzi, że ludzie powstali z pyłu wygasłych gwiazd. Mówi, że po śmierci znowu obracamy się w pył, blask i deszcz. Jeśli to prawda, chcę być pochowana pod tym drzewem.

Jego korzenie sięgną do mojego ciała i wchłoną mnie w siebie. Stanę się kwiatem jabłoni.

Opadnę wiosną jak konfetti i przykleję się do butów moich bliskich. Schowają mnie do kieszeni i rozsypią wieczorem na poduszkach. Pomogę im zasnąć. Ciekawe, co im się wtedy przyśni.

Latem będą mnie jeść. Adam przejdzie przez płot, żeby mnie wykraść, zwabiony moim zapachem, krągłością, połyskiem i obietnicą zdrowia. Poprosi mamę, żeby ugotowała mu kompot albo upiekła placek z jabłkami. Będzie się mną opychał.

Kładę się na ziemi i próbuję to sobie wyobrazić. Dzieje się tak naprawdę. Jestem martwa. Zamieniam się w jabłkonkę. Mam z tym pewne trudności. Myślę o ptaku, z którego widziałam przed chwilą. Zastanawiam się, czy już odleciał. Ciekawe, co oni robią tam, w domu? Czy już za mną tęsknią?

Obracam się na brzuch i przyciskam twarz do ziemi, od której bije chłód. Przesuwam po niej dłońmi, przesiewam ją między palcami, żeby poczuć jej zapach. Dochodzi mnie woń zgniłych liści i robaków.

– Co ty wyprawiasz?

Odwracam się bardzo powoli. Widzę twarz Adama do góry nogami.

– Postanowiłem sprawdzić, co się z tobą dzieje. Dobrze się czujesz?

Siadam i otrzepuję piach ze spodni.

– Świetnie. Było mi za gorąco.

Kiwa głową, jakby moje wyjaśnienie tłumaczyło obecność mokrych liści na płaszczu. Wyglądam jak wariatka, wiem. Do tego zawiązałam sobie kaptur pod brodą jak staruszka. Rozwiązuję go pośpiesznie.

Kurtka Adama szeleści, kiedy siada obok mnie.

– Zapalisz?

Biorę papierosa i czekam, aż mi go podpali. Wydmuchujemy dym, który unosi się nad ogniskiem. Czuję, że na mnie patrzy. To, co myślę, jest tak wyraźne, że nie zdziwiłabym się, gdyby rozświetliło się nad moją głową jak neon sklepu rybnego. Podobasz mi się. Podobasz mi się. Błysk. Błysk. Błysk. Obok słów zapalają się czerwone lampki tworzące serce. Kładę się z powrotem na trawie, żeby uniknąć jego wzroku. Chłód przenika przez materiał spodni jak woda.

Adam kładzie się obok mnie. Jego bliskość powoduje ból. Robi mi się niedobrze.

– Pas Oriona – mówi.

– Gdzie?

Pokazuje palcem na niebie.

– Widzisz te trzy małe gwiazdy w jednym szeregu? Mintaka, Alnilam, Alnitak. - Rozświetlają się na czubku jego palca, kiedy wymawia ich nazwy.

– Skąd je znasz?

– Gdy byłem mały, tata dużo opowiadał mi o gwiazdach. Jeśli skierujesz lornetkę poniżej Oriona, zobaczysz gigantyczną chmurę gazu, w której rodzą się nowe gwiazdy.

– Nowe gwiazdy? Myślałam, że wszechświat umiera.

– Zależy jak na to spojrzeć. Jednocześnie wciąż się rozszerza – Adam obraca się na bok i wspiera na łokciu. - Twój brat wyjawiał mi, że podjęłaś próbę zdobycia sławy.

– Przyznał się, że poniosłam klęskę?

Śmieje się.

– Nie, ale ty musisz mi o tym opowiedzieć.

Lubię go rozśmieszać. Mam teraz okazję, by patrzeć na jego piękne usta. Mówię mu, jak żałośnie wypadła mój wywiad w radiu, i ubarwiam opowieść, żeby brzmiała jeszcze zabawniej. Przedstawiam siebie jako bohaterkę, anarchistkę fal radiowych. Rozkręcam się i dorzucam historię o tym, jak zabrałam samochód taty i pojechałyśmy z Zoey do hotelu. Leżymy na wilgotnej trawie pod wielkim niebem, na którym nisko zawisł księżyc, a ja mówię o szafie i moim imieniu, które starto z tego świata. Opowiadam mu nawet o tym, że

mam zwyczaj bazgrać po ścianach. Łatwiej jest zwierzać się w ciemności – nie wiedziałam o tym wcześniej

Kiedy kończę, odzywa się:

- Nie powinnaś się bać, że o tobie zapomną, Tesso. Myślisz, że zaczną nas szukać, jeśli znikniemy na dziesięć minut?

Uśmiecham się do siebie.

Błysk, błysk. To, co czuję w tej chwili, rozświetla ciemność nad moją głową.

Kiedy przełazimy przez dziurę w płocie i ruszamy ścieżką prowadzącą do tylnych drzwi jego domu, ramię Adama ociera się o moje. Prawie się nie dotykamy. Ale przyprawia mnie to o dreszcz.

Idę za nim do kuchni.

- Zaraz wracam – mówi. - Mam dla ciebie prezent. - Znika w korytarzu i słyszę, jak wbiega po schodach.

Zaczynam za nim tęsknić w tej samej chwili. Kiedy nie ma go przy mnie, myślę, że go sobie wymyśliłam.

- Adam! - po raz pierwszy wołam go po imieniu. Dziwnie brzmi w moich ustach. Wypowiadam je z naciskiem i wydaje mi się, że jeśli będę czyniła to dostatecznie często, wydarzy się coś nieoczekiwanego. Wychodzę na korytarz i patrzę w górę.
- Adam?
- Jestem tutaj. Chodź do mnie, jeśli chcesz.

Idę.

Jego pokój ma taki sam układ jak mój, tylko na odwrót. Adam siedzi na łóżku. Wygląda inaczej. Dziwnie. Trzyma w ręku srebrną paczkę.

- Nie wiem, czy ci się spodoba.

Sadowię się obok niego. Każdej nocy, kiedy zasypiamy, dzieli nas tylko jedna ściana. Postanawiam zrobić w niej dziurę, za szafą, i w ten sposób zyskać tajemnice przejścia do jego świata.

- Proszę – podaje mi prezent. - Otwórz.

Rozrywam papier i znajduję torbę. W torbie jest pudełko. W pudełku bransoletką. Ma siedem kamieni, każdy w innym kolorze, na srebrnym łańcuszku.

- Wiem, że nie chcesz gromadzić nowych rzeczy, ale pomyślałem, że ci się spodoba.

Jestem tak wzruszona, że nie mogę nic powiedzieć.

- Pomóc ci ja włożyć? - pyta.

Wyciągam rękę. Zakłada mi bransoletkę i zapina zamek. Potem splata palce z moimi.

Patrzymy na nasze złożone ręce leżące między nami na łóżku. Moje wyglądają odmiennie, na nadgarstku lśni bransoletka. Jego są całkiem inne, niż mi się wydawało.

- Tesso?

Kiedy mu się przyglądam, ogarnia mnie strach. W jego zielonych oczach widzę cienie.

Pochyla się nade mną i już wiem. Wiem.

To się jeszcze nie stało, ale się stanie.

Numerem ósmym na mojej liście jest miłość.

Rozdział 28

Serce mi łomocze.

- Sama to zrobię.
- Nie – mówi Adam. - Pozwól mi.

Każdy rozpinany guzik pochłania całkowicie jego uwagę, potem zdejmuję mi buty i ustawia równo przy łóżku.

Ześlizguję się obok niego na dywan. Rozwiążuję mu sznurowadła, kładę jego stopy na swoich kolanach i ściągam mu trampki. Głaszczę kostki, wsuwam rękę pod nogawkę spodni i przesuwam po łydce. Dotykam go. Muskam ręką miękkie włosy na jego nogach. Nie sądziłam, że potrafię być tak odważna.

Urządzamy z tego grę, coś w rodzaju rozbieranego pokera, bez kart czy kości. Rozpinam jego kurtkę i pozwalam jej zsunąć się na podłogę. On zdejmuje za mnie płaszcz. Znajduje liść w moich włosach. Dotykam jego czarnych kędziorów i czuję, że są mocne.

Nic nie wydaje się ważne, kiedy on patrzy, więc nie spieszę się z rozpinaniem jego koszuli. Ostatni guzik przeobraża się w planetę pod siłą naszego wzroku - mlecznobiałą i doskonale okrągłą.

Jestem wstrząśnięta tym, że oboje wiemy, co mamy robić. Wszystko w jednej chwili staje się dla mnie oczywiste. Do niczego się nie zmuszam, a moje zachowanie bynajmniej nie wynika z doświadczenia. Oboje, wiedzeni instynktem, dokonujemy kolejnych odkryć na tej drodze.

Unoszę ramiona w górę jak dziecko, kiedy Adam zdejmuje mi sweter. Moje włosy, krótkie, dopiero odrastające, elektryzują się w zetknięciu z materiałem. Słyszę, jak iskry strzelają w ciemności, i chce mi się śmiać. Czuję, jak całe ciało pulsuje, jakby było zdrowe.

Adam muska palcami moje piersi pod stanikiem i wie, bo cały czas patrzy mi w oczy, że postępuje jak należy. Moje ciało było przedmiotem badań tak wielu ludzi – nakłuwali mnie, opukiwali i operowali. Sądziłam, że stało się obojętne na dotyk.

Całujemy się. Długo. Wymieniamy delikatne pocałunki. On gryzie lekko moją górną wargę, ja przesuwam językiem po krawędzi jego ust. Wydaje mi się, że pokój jest pełen duchów, drzew i nieba.

Całujemy się mocnej. Zapadamy się w siebie nawzajem. Jakbyśmy całowali się po raz pierwszy – natarczywie, namiętnie.

- Pragnę cię – mówi.

A ja pragnę jego.

Chcę, żeby zobaczył moje piersi. Chcę rozpiąć stanik i pokazać mu je. Pociągam go na łóżko. Nie przestajemy się całować. Zdaje mi się, że pokój wypełnia się dymem, jakby coś się paliło między nami.

Opadam na łóżko i unoszę biodra. Próbuję zdjąć dzinsy. Chcę pokazać mu się cała, chcę, żeby na mnie patrzył.

- Jesteś pewna? - pyta.
- Całkowicie.

To proste.

Zdejmuję mi dzinsy. Rozpinam pasek u jego spodnie jedną ręką, jakbym wykonywała czarodziejską sztuczkę. Przesuwam palcem po krągłości guzika, naciskając kciukiem na materiał szortów.

Czuję dotyk skóry Adama, ciężar jego ciała, ciepło, które na mnie napiera – nie wiedziałam,

że będzie tak wspaniale. Nie rozumiałam, że kiedy się z kimś kocha, naprawdę uprawia się miłość. Rodzą się nowe uczucia, które silnie na nas oddziałują. Mój oddech wprawia w oszołomienie. Adam połyka go jednym haustem.

Wsuwa ramię pod moje biodro. Nasze dłonie się spotykają. Splatamy palce. Nie wiem, która ręka należy do mnie.

Jestem Tessa.

Jestem Adam.

Przekraczanie wszelkich granic jest nieskończenie pięknym przeżyciem.

Nasze palce odbierają wrażenia. Języki pozwalają poznać smak drugiej osoby. Nieustannie patrzymy na siebie, obserwujemy swoje reakcje. To jest jak muzyka, jak taniec. Znajdujemy się blisko w oko.

Tęsknimy do siebie coraz bardziej. Bolesne napięcie rośnie i nabrzmiewa. Pragnę go. Chcę być jeszcze bliżej. Nie mogę jednak tego uczynić. Oplatam jego ciało nogami, głaszczę go po plecach, próbuję mocniej przyciągnąć do siebie.

Czuję się tak, jakby moje serce rozkwitło i połączyło się z duszą, eksploduje. Przypomina kamień wpadający w wodę, który tworzy kręgi miłości na powierzchni rozchodzące się coraz szerzej i szerzej w moim ciele.

Adam krzyczy z radości.

Przytulam go i trzymam w uścisku. Jestem zachwycona. Nami. Tym podarunkiem.

Głaszczę mnie po głowie, po twarzy, całuje moje łzy.

Jestem żywa, nasz związek został pobłogosławiony na ziemi, właśnie w tej chwili.

Rozdział 29

Krew leci mi z nosa. Stoję w przedpokoju przed lustrem i patrzę, jak spływa strużka po moim policzku na palce. Czuję jej lepkość. Kapie na podłogę i wsiąka w dywan.

– Proszę – szepczę. - Nie tera. Nie tej nocy.

Ale nie potrafię jej zatamować.

Słyszę z dołu, jak mama mówi „dobranoc” Calowi. Zamyka drzwi do jego pokoju i idzie do łazienki. Czekam, nasłuchując, jak się załatwia, a potem spuszcza wodę. Wyobrażam sobie, że myje ręce i wyciera je ręcznikiem. Być może patrzy na siebie w lustrze, tak jak ja tu na dole. Zastanawiam się, czy wydaje się sobie równie odległa, czy jest równie oszołomiona swoim odbiciem.

Opuszcza łazienkę i schodzi na parter. Zbliżam się do niej.

– O Boże!

– Mam krwawienie z nosa.

– Ależ to krwotok! - Łapie mnie za ramiona. - Szybko, chodź tutaj! - Popycha mnie do salonu. Ciężkie krople krwi spadają na dywan. Pod moimi stopami rozkwitają maki.

– Usiądź – komenderuje. - Połóż się na plecach i ściśnij nos.

Adam przyjdzie za dziesięć minut. Idziemy potańczyć. Mama przygląda mi się przez chwilę, a potem wybiega z pokoju. Przychodzi mi na myśl, że pewnie musi wymiotować, ale ona wraca ze ścierką i rzuca mi ją.

– Połóż się i przyciśnij ścierkę do nosa.

Mój sposób nie działa, więc robię, co każe. Krew spływa mi do gardła. Staram się ją

przełykać, ale pęcznieje w ustach i nie pozwala złapać oddechu. Siadam i wypluwam na ścierkę. Ogromna grudka zakrzepłej krwi lśni złowrogo. Z całą pewnością nic takiego nie powinno wydostać się z mojego nosa.

– Daj mi to – mówi mama.

Podaję jej ścierkę, ona przygląda się temu, co udało mi się wykrztusić, a następnie zawija. Jej ręce, podobne jak moje, są poplamione krwią.

– Co robić, mamó? On tu zaraz będzie.

– Za chwilę ci przejdzie.

– Spójrz na moje ubranie!

Potrząsa głową z rozpaczą.

– Lepiej się połóż.

To nie jest dobry pomysł, ale nic przecież nie działa. Wszystko zaprzepaszczone. Mama przysiadła na krawędzi kanapy. Leżę płasko na plecach i obserwuję cienie, które pojawiają się i rozpraszają. Wyobrażam sobie, że jestem na tonącym statku. Jakiś cień rozpościera nade mną swoje skrzydła.

– Czujesz się trochę lepiej? - pyta mama.

– O wiele.

Nie sądzę, żeby mi uwierzyła, bo wychodzi do kuchni i po chwili wraca z lodem na tacy. Kuca przy kanapie i przekłada go na kolana. Zamrożone kostki spadają z jej spodni na dywan. Podnosi jedną nich, czyści z włosów i podaje mi.

– Połóż ją na nosie.

– Lepszy byłby mrożony groszek.

Zastanawia się na tym chwilę, a potem znowu wybiega z pokoju i zaraz wraca z paczką mrożonej kukurydzy.

– Może być? Nie było groszku.

Śmieje się, więc chyba jest poprawa.

– O cho chodzi? - pyta. - Co cię tak rozbawiło?

Ma rozmazany tusz do rzęs pod oczami i włosy w nieładzie. Chwytam ją za ramię i pomagam mi usiąść. Czuję się jak staruszka. Opuszczam nogi na podłogę i ściskam dwoma palcami nos tak, jak uczyli mnie w szpitalu. Pulsuje mi w skroniach.

– Nie przestaje, prawda? Dzwonię po tatę.

– Uzna, że sobie nie radzisz.

– Trudno.

Pospiesznie wystukuje numer taty. Myli się i musi uczynić to jeszcze raz.

– Prędeej, prędeej – mruczy pod nosem.

W pokoju robi się jasno. Ozdoby na komiku lśnią jak kości.

– Nie odbiera. Dlaczego nie odbiera? Czy na kręgielni panuje aż taki hałas?

– To jego pierwszy wolny wieczór od tygodni, mamó. Daj mu spokój. Poradzimy sobie.

Jej twarz kurczy się ze strachu. Nigdy nie uczestniczyła w transfuzji krwi ani punkcji lędźwiowej. Nie pozwolona jej być przy mnie podczas przeszczepu szpiku kostnego, ale mogła towarzyszyć mi w wielu innych zabiegach. Nigdy tego nie robiła. Obiecowała, że będzie odwiedzać mnie częściej, ale zawsze kończyło się na wspólnym spędzaniu świąt. Nadszedł czas, by stanęła oko w oko z rzeczywistością.

– Musisz mnie zawieść do szpitala, mamó.

Jest przerażona.

– Tata ma samochód.

- Wezwij taksówkę.
- A Cal?
- Przecież śpi.

Kiwa głową nieprzytomnie. Sprawy organizacyjne ja przerastają.

- Napisz mu wiadomość.
- Nie możemy zostawić go samego!
- Ma jedenaście lat. Jest prawie dorosły.

Waha się przez chwilę, a potem przerzuca kartki w notesie, żeby znaleźć numer firmy taksówkarskiej. Przyglądam się jej, ale mam kłopoty z koncentracją. Ogarnia mnie lęk, czuję się zdezorientowana. Zamykam oczy i przypominam sobie matkę z filmu, który kiedyś obejrzałam. Mieszkam w górach ze strzelbą i gromadką dzieci. Była pewna siebie i zdyscyplinowana. Nakładam postać tej kobiety na moją mamę jak plaster.

Kiedy znowu otwieram oczy, widzę, jak trzyma w dłoni ręczniki i sięga po mój płaszcz.

- Chyba nie powinnaś zasypiać – mówi. - Pomogę ci wstać. Ktoś dzwoni do drzwi.

Kręci mi się w głowie, jestem rozpalona. Odnoszę wrażenie, że to sen. Mama podtrzymuje mnie i prowadzi do przedpokoju. Słyszę szepty zza ściany.

To nie taksówkarz, w drzwiach stoi Adam, gotowy udać się na randkę. Próbuję zejść mu z oczu, potykam się i cofam w głąb korytarza, ale dostrzega mnie.

- Tessa! O Boże! Co się stało?
- Ma krwotok z nosa – wyjaśnia mama. - Sądziłyśmy, że to taksówkarz.
- Jedziecie do szpitala? Zawiozę was samochodem mojego taty.

Wchodzi i próbuje mnie objąć, jakby naprawdę zamierzał wsadzić nas do swojego auta, jakby naprawdę nie miało dla niego żadnego znaczenia to, że zachlapię krwią siedzenia. Wyglądam jak ofiara wypadku drogowego. Czy on nie rozumie, że nie powinien oglądać mnie w takim stanie?

Odpycham go.

- Wracaj do domu, Adamie.
- Zawiozę cie do szpitala – powtarza. Pewnie myśli, że nie usłyszałam, co mówił, albo że krwotok zmacił mi umysł.

Mama bierze go pod rękę i delikatnie wyprowadza za drzwi.

- Poradzimy sobie – oświadcza. - Wszystko będzie dobrze. Zobacz, taksówka przyjechała.
- Chcę być przy niej.
- Wiem – szepcze mama. - Przykro mi.

Adam dotyka mojej ręki, kiedy mijam go na ścieżce

- Tesso – mówi.

Nie odpowiadam. Nie patrzę na niego, bo jego głos jest tak natarczywy, że mogłabym zmienić zdanie. Co za ironia losu. Odnaleźć miłość i być zmuszoną z niej zrezygnować. Ale nie mam wyboru. Muszę to przetrwać, zanim zacnie boleć jeszcze bardziej.

Mama rozkłada ręczniki na tylnym siedzeniu taksówki, upewnia się, że mam zapięty pas, i zachęca kierowcę do wzięcia ostrego zakrętu tuż za naszą bramą.

- Dobrze – ilustruje go. - może pana jechać szybciej. - Przemawia do niego, jakby grała w filmie.

Adam patrzy za nami, stojąc przy ogrodzeniu. Macha do nas. Robi się coraz mniejszy i mniejszy, w miarę jak się oddalamy.

- Miły chłopak – rzuca mama.

Zamykam oczy. Mam wrażenie, że spadam.

Mama szturcha mnie łokciem.

- Nie zasypiaj.

Światło księżycy odbija się w szybie taksówki. Z przodu rozpościera się mgła. Mieliśmy iść potańczyć. Chciałam znowu spróbować alkoholu. Wejść na stół i śpiewać razem z innymi. Wspiąć się na płot w parku, wykraść łódź i pływać nią po jeziorze. Pragnę wśliznąć się do pokoju Adama i kochać się z nim.

- Adam – mówię pod nosem. Ale jego imię zalewa krew, tak jak wszystko wokół.

W szpitalu podsuwają mi wózek i pomagają usiąść. Należę do nagłych przypadków – tłumaczą i wywożą mnie w pośpiechu z poczekalni. Zostawiamy w tyle tyle ofiar bójek w pubach, przedawkowania narkotyków i wypadków domowych. Pędzimy korytarzem do ważniejszego miejsca.

Nieoczekiwanie szpital dodaje mi otuchy. Jest moim drugim światem, który rządzi się swoimi prawami. Dla każdego znajdzie się tutaj miejsce. W poczekalni pogotowia sadowią się młodzi mężczyźni, właściciele szybkich samochodów z kiepskimi hamulcami oraz motocykliści za skłonnościami do przyspieszania na zakrętach.

Na bloku operacyjnym czekają ci, którzy wpadli w ręce psychopaty albo zostali postrzeleni. Są tu również ofiary dziwnych wypadków – dziecko z głową poranioną na skutek zaplątania włosów w ruchome schody, kobieta w staniku na metalowych fiszbinach, który włożyła podczas burzy z piorunami.

Na łóżkach stojących w głębi budynku leżą pacjenci cierpiący na uporczywe bóle głowy, schorzenia nerek, wysypki, znamiona o poszarpanych krawędziach, guzy w piersi lub uporczywy kaszel niewróżący nic dobrego. Oddział imienia Marii Curie, znajdujący się na czwartym piętrze, przeznaczono dla dzieci z chorobami nowotworowymi. Rak potajemnie toczy ich ciała.

Jest tu jeszcze kostnica, w szufladach wielkiej lodówki leżą zmarli. Do stóp mają przychepione karteczki z nazwiskami.

Wjeżdżamy do jasnego, sterylne go pomieszczenia. Łóżko, umywalka, pielęgniarka i lekarz.

- Powinna się czegoś napić – sugeruje mama. - Straciła mnóstwo krwi. Dacie jej coś do picia?

Doktor zbywa ją machnięciem ręki.

- Musimy zaczipować nos.
- Zaczopować?

Pielęgniarka prowadzi mamę na krzesło i siada obok niej.

- Doktor włoży kłębek gazy do nosa pani córki, żeby zatamować krwotok – tłumaczy.
- Może pani zostać.

Dygoczę. Pielęgniarka wstaje i okrywa mnie kocem aż po brodę. Znowu wstrząsa mną dreszcz.

- To znak, że komuś się śnisz – stwierdza mama. Ja jednak zawsze wyobrażałam sobie, że w innym życiu ktoś stanął przy moim grobie.

Doktor ścisza mi noc palcami, zagląda w usta, bada gardło i kark.

- Proszę pani – odzywa się.

Mama jest przestraszona, prostuje się na krześle.

- Pan mówi do mnie?
- Pojawiły się dzisiaj jakieś objawy małopłytkowości?
- Nie rozumiem?
- Czy córka skarżyła się na ból głowy? Zauważyła pani różowe pręgi na skórze?

- Nie sprawdzałam.

Doktor wzdycha, uświadamia sobie, że przemawia w obcym dla niej języku, a mimo to nie daje za wygraną.

- Kiedy przeprowadzono ostatnią transfuzję krwi?

Mama wydaje się bardziej zakłopotana.

- Nie jestem pewna.
- Zażywała ostatnio aspirynę?
- Przykro mi. Nie wiem.

Postanawiam jej pomóc. Nie ma dość siły, może nagle wstać i wyjść, jeśli sytuacja okaże się dla niej zbyt trudna.

- Ostatnią transfuzję przeprowadzono dwudziestego pierwszego grudnia – mówię chrapliwym głosem, bo krew bulgocze mi w gardle.

Doktor marszczy brwi.

- Nic nie mów. Niech pani podejdzie i weźmie córkę za rękę.

Mama podchodzi posłusznie i siada na krawędzi łóżka.

- Jedno ściśnięcie za rękę oznacza „tak” - ciągnie lekarz. - Dwa ściśnięcia to „nie”. Rozumiesz?
- Tak
- Cicho. Ściskaj, nic nie mów.

Przerabiamy wszystkie rutynowe pytania – pręgi na skórze, bóle głowy, aspiryna, ale tym razem mama zna odpowiedź.

- W postaci tabletek czy rozpuszczalną?

Dwa ściśnięcia.

- Nie – tłumaczy mama. - Nie brała aspiryny.
- ?Środki przeciwzapalne?
- Nie. - Mama patrzy mi w oczy. Nareszcie zaczyna mówić moim językiem.
- Świetnie – oznajmia lekarz. - Teraz włożę gazę z przodu nosa. Jeśli to nie pomoże, będę musiał wepchnąć głębiej. W ostateczności trzeba będzie przeprowadzić kauteryzację. Miałaś już taki zabieg?

Ściskam mamę za rękę tak mocno, że się krzywi.

- Tak, miała.

Bolało jak diabli. Potem jeszcze przez wiele dni paliło mnie w całym ciele.

- Musimy sprawdzić poziom płytek – ciągnie lekarz. - Byłbym zdziwiony, gdyby był wyższy niż dwadzieścia. - Dotyka mojego kolana przez koc. - Przykro mi. Masz parszywą noc.
- Dwadzieścia? - powtarza mama jak echo.
- Pewnie będziemy musieli jej podać kilka jednostek – tłumaczy doktor. - Proszę się nie martwić. To potrwa zaledwie godzinę.

Kiedy wpycha mi gazę do nosa, usiłuję się skupić na prostych rzeczach – krzesło, srebrne bliźniacze brzozy w ogrodzie Adama, ich liście drżące w promieniach słońca.

Ale nie mogę się skoncentrować.

Czuję się tak, jakbym zjadła ścierkę; mam sucho w gardle i oddycham z trudem. Patrzę na mamę, wyraźnie ją mdli i odwraca głowę. Jak to możliwe, że czuję się od niej starsza?

Zamykam oczy, żeby nie widzieć, w jakim jest stanie.

- Nieprzyjemnie? - pyta lekarz. - Czy mama mogłaby odwrócić uwagę córki?

Wolałabym, żeby tego nie mówił. Co niby miałaby zrobić? Zatańczyć dla nas? Zaśpiewać? Może zdecyduje się na swój popisowy numer i po prostu wyjdzie.

Zapada długie milczenie. I nagle słyszę:

- Pamiętasz, jak pierwszy raz jedliśmy ostrygi, a tata tak się struł, że wymiotował do kosza na końcu moła?

Otwieram oczy. Cienie gęstniejące w pokoju uciekają przed jasnością jej słów. Nawet pielęgniarka się uśmiecha.

- Miały smak morza – wspomina mama. - Pamiętasz?

Pewnie. Kupiliśmy cztery, po jednej dla każdego. Mama odchyliła główkę i połknęła ją w całości. Ja zrobiłam tak samo. Tylko tata długo przeżuwał swoją ostrygę i jej kawałki powychodziły mu między zęby. Ruszył biegiem na koniec moła, trzymając się za żołądek. Kiedy wrócił, wypił całą puszkę lemoniady bez przerwy na zaczerpnięcie oddechu. Calowi też nie smakowały.

„Może ostrygi są tylko dla kobiet” - stwierdziła mama i kupiła nam obu po jeszcze jednej. Teraz opowiada o nadmorskim miasteczku i hotelu, z którego było tak blisko spacerem na plażę. Wspomina gorące promienie słońca na pisaku.

- Podobało ci się tam – mówi. - Całymi godzinami zbierałaś muszle i kamyki. Pewnego razu przywiązałaś sznureczek do kawałka drewna i przez cały dzień ciągnęłaś go za sobą, udając, że to pies.

Pielęgniarka śmieje się i mama też się uśmiecha.

- Byłaś dziewczynką obdarzoną wielką wyobraźnią. I bardzo grzeczną.

Gdybym mogła, spytałabym ją, dlaczego mnie opuściła. Może wreszcie opowiedziałaby mi o mężczyźnie, dla którego odeszła od taty, i ich miłości tak wielkiej, że zdołałabym wszystko zrozumieć.

Ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Mam skurczone, rozpalone gardło. Słucham więc, jak mama mówi o tamtym słońcu, minionych dniach i utraconym pięknie. Dobrze jej idzie. Wykazuje inwencję. Nawet lekarz wydaje się rozbawiony. W jej opowieści niebo jest zawsze błękitne i codziennie oglądamy delfiny pluskające się w morzu.

- Podamy ci tlen – doktor mruga do mnie, jakby proponował mi działkę. - Nie będziemy robić kauteryzacji. Już po wszystkim. - Rozmawia przez chwilę z pielęgniarką i odwraca się w drzwiach, żeby pomachać nam na pożegnanie. - Jesteś dzisiaj moją najlepszą pacjentką – oznajmia i kłania się lekko mamie. - Pani też nieźle się spisała.

- Co to była za noc! - rzuca mama, kiedy wsiadamy do taksówki.

- Cieszę się, że byłaś ze mną.

Moje słowa są dla niej zaskoczeniem, wydaje się nawet zadowolona.

- Nie jestem pewna, czy się na coś przydałam.

Poranne promienie słońca oświetlają drogę. W taksówce panuje zimno, powietrze jest rozrzedzone jak w kościele.

- Proszę – mówi mama, rozpinając płaszcz i okrywając nim moje plecy. - gazu – poleca kierowcy i obie chichoczymy.

Wracamy tą samą drogą. Usta jej się nie zamykają, snuje plany na wiosnę i Wielkanoc. Chciałaby więcej czasu spędzić w naszym domu, zaprosić na obiad dawnych przyjaciół swoich i taty. Może urządzi dla mnie przyjęcie urodzinowe w maju.

Czy tym razem mówi poważnie?

- Wiesz – zwierza mi się – co wieczór po zakończeniu handlu na bazarze idę tam, by zebrać z ziemi warzywa i owoce. Czasami ludzie wystawiają całe skrzynki mango. W zeszłym tygodniu znalazłam pięć okoni w plastikowej torbie. Gdybym zaczęła to

wszystko gromadzić w lodówce taty, moglibyśmy urządzić przyjęcie i nie kosztowałby to nas nawet pensa.

Opowiada ze szczegółami o różnych zabawach i koktajlach. O zespołach i komiksach. Planuje wynajęcie miejscowej świetlicy i ozdobienie jej girlandami i balonikami.

Przysuwam się do mamy i kładę głowę na jej ramieniu. Ostatecznie jestem jej córką. Saram się nie poruszać, żeby nic się nie zmieniło. Cudownie jest tak przytulać się do niej, słuchać jej słów i grzać się pod jej płaszczem.

– Popatrz – rzuca nagle. - To dziwne.

Z trudem otwieram oczy.

– Co takiego

– Tam na moście. Nie było tego przedtem.

Stajemy na światłach przed stacją kolejową. Na ulicach panuje ruch, mimo że jest jeszcze dość wcześnie; taksówki przepychają się przez tłok, próbując wyprzedzać inne samochody. Na moście, wysoko nad jezdnią, nocą zakwitły litery. Ludzie im się przyglądają. Odczytuję chwiejne T, kanciaste E, cztery zawijasy tworzące podwójne S i na końcu górujące nad pozostałymi A.

– To zbieg okoliczności – mówi mama.

Nieprawda.

Mam w kieszeni komórkę. Przebieram palcami.

Musiał to zrobić tej nocy. Było ciemno. Wspiął się namur, przeszedł po nim i przechylił się w dół.

Boli mnie serce. Wyjmuję telefon i piszę: ŻYJESZ?

Światła zmieniają kolor – z bursztynowego na zielony. Taksówka wyjeżdża pod most i sunie po Hugh Street.

Jest wpół do siódmej. Może śpi? A jeśli stracił równowagę i spadł prosto na jezdnię?

– Boże! - wykrzykuje mama. - Twoje imię jest wszędzie!

Sklepy na High Street jeszcze mają zamknięte oczy, śpią, ich okna są zasłonięte metalowymi żaluzjami. A moje imię znajduje się na nich wszystkich. Przed kioskiem Ajaya. Na drogich okiennicach sprzedawcy zdrowej żywności. Wyjątkowo wielkie napisy zdobią skład meblowy Handie, bar King's Chicken i kawiarnię Barbecue. Widnieją na chodniku, sięgając od banku aż do sklepu Mothercare. Tworzą lśniące koło na rondzie.

– To cud! - szepcze mama.

– To Adam.

– Nasz sąsiad? - Jest zachwycona, jakby była świadkiem jakiejś magicznej sztuczki.

Rozlega się sygnał potwierdzający otrzymanie SMS-a. ŻYJĘ, A TY?

Wybucham głośnym śmiechem. Po powrocie zastukam do jego drzwi i powiem, że jest mi przykro. On zaś uśmiechnie się do mnie tak samo jak wczoraj, kiedy wynosił śmieci z ogrodu i zobaczył, że mu się przyglądam.

– Nie potrafisz się trzymać z daleka, co? - Roześmiałam się wtedy, bo miał rację. Mówiąc to na głos, sprawił, że mniej bolało.

– Adam zrobił to dla ciebie? - Mama drży z przejęcia. Zawsze uwielbiała romantyczne historie.

JA TEŻ ŻYJĘ. WRACAM DO DOMU, odpisuję.

Zoey spytała mnie kiedyś, jaka była najlepsza chwila w moim życiu do tej pory.

Opowiedziałam jej o tym, jak ćwiczyłam stanie na rękach z moją przyjaciółką Lorraine.

Miałam osiem lat, następnego dnia w szkole urządzano kiermasz i mama obiecała mi kupić szkatułkę na biżuterię. Leżałam na trawie, trzymając Lorraine za rękę, oszołomiona uczuciem szczęścia i absolutnie przekonana o tym, że świat jest piękny.

Zoey uznała, że jestem stuknięta. Ale wtedy po raz pierwszy poczułam się szczęśliwa. Po raz pierwszy byłam świadoma tego uczucia.

A potem całowałam się z Adamem. Jeszcze później kochałam się z nim. Teraz zrobił dla mnie coś takiego. Uczynił mnie sławną. Objawił moje imię całemu światu, podczas gdy ja spędziłam noc w szpitalu z nosem wypchanym gazą. Trzymam w ręku torebkę pełną antybiotyków i środków przeciwbólowych, ramię boli mnie po podaniu dwóch jednostek krwi. A mimo to czuję się niezwykle szczęśliwa.

Rozdział 30

- Chcę, żeby Adam się do mnie wprowadził.

Tata odwraca głowę znad zlewu, jego ręce ociekają zupą. Jest wstrząśnięty.

- Nie bądź śmieszna!
- Mówię poważnie.
- I gdzie będzie spał?
- W moim pokoju.
- Nie zgadzam się Tess! - Odwraca się z powrotem do zlewu i postukuje miskami oraz talerzami. - To też jest na twojej liście? Zamieszkać z chłopakiem?
- Ma na imię Adam.

Potrząsa głową.

- Wykluczone.
- W takim razie ja przeprowadzę się do niego.
- I myślisz, że jego mama wyrazi zgodę?
- To pojedziemy do Szkocji i zamieszkamy w szałasie. Tak będzie lepiej?

Usta ma wykrzywione złością, gdy odwraca głowę i patrzy na mnie.

- Odpowiedź brzmi: „Nie”.

Nie znoszę, kiedy demonstruje swoją władzę, jakby wszystko już było postanowione, bo on tak mówi.

Wybiegam po schodach do swojego pokoju i trzaskam drzwiami. Myśli, że chodzi o seks. Czy nie widzi, że to coś poważniejszego? Nie rozumie, jak trudno było mi go było o to poprosić?

Trzy tygodnie temu, pod koniec stycznia, Adam zabrał mnie na przejażdżkę motorem. Pojechaliśmy szybciej i dalej niż do tej pory – aż za granicę hrabstwa Kent, gdzie płaski, bagnisty teren opada w dół na plażę. W morzu stały wiatraki, których skrzydła przypominały upiorne ostrza.

Adam rzucał kamyczki do wody, a ja siedziałam na kamieniu i opowiadałam, że moja lista rozrasta się ponad miarę.

- Jest tak wiele rzeczy, które chciałbym jeszcze zrobić. Dziesięć punktów to stanowczo za mało.
- Opowiadaj.

Z początku szło mi gładko. Mówiłam bez przerwy. O wiośnie. Żonkilach i tulipanach. Pływaniu pod spokojnym wieczornym niebem. O długiej podróży pociągiem, pawiach i latawcach. O kolejnym lecie. Ale nie mogłam powiedzieć mu o tym, czego pragnę najbardziej.

Tego wieczoru poszedł do domu. Wraca tam codziennie, żeby jego matka czuła się bezpiecznie. Zasypia zaledwie kilka metrów ode mnie, za ścianą, po drugiej stronie szafy.

Następnego dnia przyniósł bilety do zoo. Pojechaliliśmy pociągiem. Widzieliśmy wilki i antylopy. Paw rozpostarł przede mną swój szmaragdowoniebieski ogon. Zjedliśmy lunch w kawiarni. Adam zamówił dla mnie talerz z owocami, ciemne winogrona i soczyste kawałki mango.

Kilka dni później zabrał mnie na podgrzewany basen znajdujący się na świeżym powietrzu. Potem siedzieliśmy na jego krawędzi opatuleni ręcznikami i machaliśmy nogami w wodzie. Piliśmy gorącą czekoladę i śmialiśmy się z dzieci krzyczących na zimnie.

Któregoś ranka wniósł do mojego pokoju doniczkę z krokusami.

– Wiosna – powiedział.

Zabrał mnie motorem na nasze wzgórze. Kupił latawiec w kiosku i puszczaaliśmy go razem. Dzień po dniu wzrastało we mnie poczucie, że ktoś podzielił moje życie na fragmenty i wypolerował każdy z nich, a potem pieczołowicie odłożył je na miejsce.

Jednak nigdy nie spędziliśmy razem ze sobą całej nocy.

W walentynki okazało się, że mam anemię już dwanaście dni po transfuzji krwi.

– Co to znaczy? - spytałam lekarza.

– Zbliża się koniec – odparł.

Coraz trudniej mi oddychać. Cienie pod oczami się pogłębiły. Moje usta wyglądają jak plastik rozciągnięty nad jakąś bramą.

Ostatniej nocy obudziłam się o drugiej. Czułam darcie w nogach, głęboki pulsujący ból przypominający rwanie zęba. Zażyłam paracetamol przed pójściem do łóżka, ale potrzebowałam kodeiny. W drodze do łazienki minęłam pokój taty. Drzwi były otwarte.

Zobaczyłam mamę – leżącą z włosami rozrzuconymi na poduszce w objęciach taty. To już trzecia noc w ciągu ostatnich dwóch tygodni, którą u nas spędza.

Stałam w przedpokoju i patrzyłam, jak śpią. Poczułam wtedy, że nie mogę już zostawać sama w ciemnościach.

Mama wchodzi na górę i siada na moim łóżku. Stoję w oknie i obserwuję, jak zapada zmrok. Niebo wygląda tak, jakby coś zapowiadało, chmury wiszą nisko.

– Podobno chcesz, żeby Adam się tu wprowadził – mówi.

Piszę swoje imię na zaparowanej szybie. Ślady moich palców, rozmazane na szkle, sprawiają, że czuję się młoda.

– Tata mógłby zgodzić się na jedna noc, Tess, ale nie pozwoli Adamowi tu zamieszkać.

– Obiecał, że pomoże mi zrealizować moje postanowienia.

– Przecież pomaga. Kupił nam bilety na wycieczkę na Sycylię.

– Bo chce spędzić cały tydzień z tobą!

Odwracam się, by na nią spojrzeć, i widzę, że przygląda mi się ze zmarszczoną miną, jakby mnie nigdy wcześniej nie widziała.

– Tak powiedział?

– Jest w tobie zakochany, to oczywiste. A podróż skreśliłam już z listy.

– Sądziłam, że umieściłaś ja na siódmym miejscu.

– Zamieniłam na twój powrót do taty.

– Och, Tesso!

Dziwnie, spośród wszystkich ludzi na świecie ona najlepiej powinna rozumieć miłość. Obejmuje ją ramionami.

– Opowiedz mi o nim.

– O kim?

- O mężczyźnie, dla którego nas zostawiłaś..

Potrząsa głową.

- Dlaczego teraz o tym wspominasz?
- Powiedziałaś, że nie miałaś wyboru, pamiętasz?
- Mówiłam, że byłam nieszczęśliwa.
- Wielu ludzi jest nieszczęśliwych, a jednak nie uciekają.
- Proszę cię, Tesso, nie chcę o tym rozmawiać.
- Kochaliśmy cię.

Oznajmiam to w liczbie mnogiej, w czasie przeszłym. Mimo to moje oświadczenie i tak wydaje się zbyt wielkie jak na tak małe pomieszczenie. Patrzy na mnie z pobladłą, wydłużoną twarzą.

- Przykro mi.
- Musiałaś go kochać bardziej niż kogokolwiek. Pewnie był cudownym człowiekiem, miał magiczną osobowość.

Nie odpowiada.

To proste. Wielka miłość. Odwracam się z powrotem do okna.

- Powinnaś zrozumieć, co czuję do Adama.

Wstaje i podchodzi do mnie. Nie dotyka mnie, ale jest bardzo blisko.

- Czy on czuje to samo do ciebie, Tesso?
- Nie wiem.

Chcę się do niej przytulić i udawać, że wszystko będzie dobrze. Jednak ścieram tylko swoje imię z szyby i spoglądam w noc za oknem. Jest dziwnie ponura.

- Porozmawiam z tatą – mówi mama. - Usypia Cala, ale kiedy skończy, wyciągnę go na piwo. Dacie sobie radę?
- Zaproszę Adama. Przygotuję kolację.
- Dobrze. - Mama zabiera się do wyjścia, lecz przystaje w drzwiach.
- Pragniesz miłych i dobrych rzeczy, Tesso, ale bądź ostrożna. Ludzie nie zawsze mogą ofiarować to, czego chcemy.

Kroję cztery kawałki chleba na desce i wkładam do piekarnika. Wyjmuję pomidory, a ponieważ Adam przygląda mi się oparty plecami o zlew, biorę po jednym do każdej ręki i podnoszę je na wysokość piersi, a potem tanecznym krokiem zbliżam się do blatu kuchennego.

Śmieje się. Kroję w plasterki i układam w piekarniku obok tostów. Wyjmuję tartkę i ser z lodówki. Podczas gdy tosty się przypiekają, ścieram trochę sera na deskę. Wiem, że koszulka, którą mam na sobie, jest dość krótka i odsłania fragment mojego ciała. Wiem o wystającej spod niej krągłości (jedynej zresztą jaką posiadam), znajdującej się w miejscu, gdzie plecy łączą się z pupą. Kiedy opieram się na biodrze, krągłość ta wypina się w kierunku Adama.

Po starciu sera celowo oblizuje palce i uzyskuje efekt, jakiego się spodziewałam. Adam podchodzi i całuje mnie w kark.

- Chcesz usłyszeć, o czym myślę? - szepcze.
- Powiedz, choć i tak wiem.
- Pragnę cię. - Obraca mnie i całuje w usta. - Bardzo cię pragnę.

Mówi tak, jakby przyciągała go jakaś siła, której działania nie rozumie. Uwielbiam to.

Przyciskam się do niego.

- Powiedzieć ci, czego ja chcę?
- Tak.

Uśmiecha się. Sądzi, że wie, co powiem. Nie pozwolę, żeby przestał się uśmiechać.

- Ciebie.

I jest to prawda. I jednocześnie nieprawda.

Wyłączam piekarnik, zanim wejdziemy na górę. Tost i tak już się zwęglił. Swąd spalenizny wywołuje we mnie smutek.

Zapominam o nim w ramionach Adama. Ale potem, kiedy leżymy razem w milczeniu, uczucie przygnębienia ogarnia mnie na nowo.

- Mam złe sny – przyznaję.

Głaszcz mnie po biodrze, po udzie. Jego ręka jest ciepła i silna.

- Opowiedz o nich.
- Udaję się w nich do różnych miejsc.

Idę boso polami na sam kraniec świata. Wspinam się na zbocza, deptę po wysokich trawach. Każdej nocy posuwam się coraz dalej. Wczoraj doszłam do lasu – ponurego i niezbyt dużego. Obok płynęła rzeka. W powietrzu unosiła się mgła. W rzece nie było ryb. Kiedy do niej weszłam, stopy zapadły się w mulistym dnie.

Adam muska palcem moją twarz. Potem przyciąga mnie do siebie i całuje. W policzek. W brodę. W drugi policzek. A potem w usta. Robi to bardzo delikatnie.

- Poszedłbym z tobą, gdybym mógł.
- Tam jest strasznie.

Kiwa głową.

- Jestem bardzo odważny.

Wiem. Ilu ludzi zdecydowałoby się leżeć przy mnie w takiej chwili?

- Muszę cię o coś zapytać.

Czeka. Jego głowa leży obok mojej na poduszce, ma spokojny wzrok. To trudne. Nie mogę znaleźć słów. Książki na półce zdają się wzdychać i poruszać niespokojnie.

Siada i podaje mi długopis.

- Zapisz na ścianie.

Przyglądam się temu wszystkiemu, co tu nabazgrałam w ciągu ostatnich miesięcy.

Gryzmoły pełne pożąda. A przecież jeszcze tyle mogłabym dopisać. Wspólne konto w banku, wspólne śpiewanie pod prysznicem, słuchanie chrapania mężczyzn przez długie lata.

- Pisz – prosi. - Zaraz muszę iść.

I to właśnie te słowa przypominające o istnieniu świata zewnętrznego, plany czekające na realizację, miejsca, które pragnę odwiedzić, pozwalają mi to wyznać.

Chcę, żebyś się do mnie wprowadził. Chcę spędzać z tobą noce. Gryzmołę w pośpiechu, mając nadzieję, że może nie uda mu się odczytać. Potem chowam głowę pod kołdrę.

Przez chwilę panuje cisza.

- Nie mogę, Tesso.

Wysuwam głowę spod kołdry. Nie widzę jego twarzy, dostrzegam tylko błysk światła odbijający się w oczach. Może to światło gwiazd. Albo księżyc.

- Nie chcesz?
- Nie mogę zostawić mamy.

Nienawidzę jej, zmarszczek, które ma na czole i wokół oczu. Nienawidzę jej spojrzenia pełnego cierpienia. Straciła męża, ale nic poza tym.

- Nie możesz tu wrócić, kiedy zaśnie?

- Nie.
- Pytałeś ją o to?

Wstaje z łóżka, nie dotykając mnie, i umiera się. Żałuję, że nie jestem w stanie wetrzeć mu komórek rakowych w tyłek. Miałabym do niego dostęp i byłby mój na zawsze. Uniosłabym dywan i wepchnęłabym go głęboko pod kołdrę, aż do fundamentów domu. Kochalibyśmy się w obecności robaków. Moje palce zagłębiałyby się w jego skórę.

- Będę cię nawiedzać – mówię. - Od środka. Za każdym razem, kiedy zakaszlniesz, pomyślisz o mnie.
- Nie mieszaj mi w głowie – prosi.

A potem wychodzi

Łapię ubranie i wybiegam za nim. Zdejmuję kurtkę z poręczy. Słyszę, jak przechodzi przez kuchnię i otwieram tylne drzwi.

Wciąż stoi na schodach, kiedy go doganiam. Za nim, w ogrodzie, wirują wielkie płatki śniegu. Zaczęło padać, gdy poszliśmy na górę. Śnieg przykrył już ścieżkę i trawnik. Zastłania całe niebo. Świat stał się cichy i mały.

- Chciałaś śniegu. - Wyciąga rękę, żeby złapać śnieżynkę, i pokazuje mi ją. Jest taka jak trzeba, taka, jakie wycinałam z papieru i naklejałam na okno, kiedy byłam w podstawówce. Przyglądamy się, jak topnieje na jego dłoni.

Wkładam płaszcz, Adam podaje mi buty, szalik i czapkę i pomaga zejść po schodkach.

Oddech mi zamarza. Śnieg pada tak gęsto, że nasze ślady znikają już po chwili.

Warstwa pokrywająca trawnik jest grubsza; skrzypi pod butami. Chodzimy razem po świeżym śniegu. Ubijamy go butami, wypisując nasze imiona, usiłujemy dotrzeć do trawy ukrytej pod spodem. Jednak cały czas pada i zasypuje wszystko prawie natychmiast.

- Patrz – mówi Adam i kładzie się na śniegu, a potem macha rękami i nogami. Wrzeszczy, że zimne płatki dostały mu się za kołnierz, marznie w głowę. Wstaje i otrzepuje spodnie.
- Dla ciebie – oświadcza. - Anioł śnieżny.

Spogląda na mnie po raz pierwszy od chwili, kiedy napisałam swoje życzenie na ścianie. Ma smutne oczy.

- Jadłeś kiedyś lody lodowe? - pytam.

Posyłam go do domu po miseczkę, cukier puder, wanilię oraz łyżkę. Wypełnia moje polecenia i nakłada garściami śnieg do naczynia, a potem miesza wszystkie składniki. Całość robi się brązowa, ma dziwny smak. Taki, jaki zapamiętałam z dzieciństwa.

- Może będzie lepszy z jogurtem i sokiem pomarańczowym.

Pędzi do domu. Po chwili wraca. Próbuje jeszcze raz. Smakuje gorzej, ale tym razem Adam się śmieje.

- Masz piękne usta – mówię.
- Dygoczesz. Powinnaś wracać.
- Nie wracam bez ciebie.

Zerka na zegarek.

- Jak się nazywa bałwan na pustyni?
- Muszę już iść, Tesso.
- Kałuża.
- Poważnie.

- Nie możesz teraz odejść. Jest burza śnieżna. Nie odnajdę drogi do domu.

Rozpinam płaszcz. Poły rozwierają się i obnażają moje ręce. Wcześniej Adam długo całował właśnie to miejsce na moim ramieniu. Patrzy na mnie. Śnieg spada mu na rzęsy.

- Czego ode mnie chcesz, Tesso?
- Wspólnej nocy.
- Czego chcesz naprawdę?

Wiedziałam, że zrozumie.

- Chcę być z tobą w ciemności. Leżeć w twoich ramionach. Pragnę, żebyś mnie kochał. Był obok, kiedy się boję. Chcę, żebyśmy razem poszli na koniec świata i zobaczyli, co tam jest.

Patrzy na mnie uważnie.

- A jeśli zrobię coś nie tak?
- To niemożliwe.
- Mogę cię zawieść.
- Nie zawiedziesz mnie.
- Mogę spanikować.
- To nie ma znaczenia. Chcę, żebyś tam był.

Patrzy na mnie w zimowym ogrodzie. Oczy Adama przybrały intensywnie zieloną barwę. Widzę w nich jego przyszłość. Nie wiem, co on widzi w moich. Ale jest odważny. Zawsze to wiedziałam. Bierze mnie za rękę i prowadzi do środka.

Na górze czuję się ociężała, jakby łóżko przykleiło się do mnie i nie chciało puścić. Adam rozbiera się nieskończenie długo, a potem staje przede mną, dygocząc z zimna w samych bokserkach.

- Mogę wejść?
- Tylko jeśli chcesz.

Przewraca oczami, sugerując, że nigdy nie daję za wygraną. Tak trudno mi zdobyć to, czego pragnę. Boję się, że ludzie ofiarowują mi różne rzeczy tylko z powodu poczucia winy. Zależy mi na tym, żeby Adam chciał być ze mną. Jak mam dowiedzieć się, co on naprawdę czuje?

- Nie powinniśmy powiedzieć twojej mamie? - pytam, kiedy kładzie się obok mnie.
- Powiem jej jutro. Jakoś to przeżyje.
- Ale nie robisz tego z litości, prawda?

Potrząsa głową.

- Przestań, Tesso.

Obejmujemy się, lecz nie możemy opanować drżenia po przemarznięciu na dworze; mamy lodowate dłonie i stopy. Splatamy nogi, żeby się rozgrzać. Adam rozciera mnie i głaszcze, trzyma mocno w ramionach. Czuję, jak jego penis pęcznieje. Wybucham śmiechem. On też chichocze, nerwowo, tak, jakby myślał, że śmieję się z niego.

- Masz na mnie ochotę? - pytam.

Uśmiecha się.

- Zawsze, ale jest już późno. Powinnaś zasnąć.

Śnieg sprawia, że świat za oknami staje się jaśniejszy. Światło prześwituje przez szybę. Zасыpiam wpatrzona w blask na skórze Adama.

Kiedy się budzę, wciąż jest noc, a on śpi. Widzę jego ciemne włosy na poduszce, ramię obejmujące moje ciało, jakby próbujące mnie tu zatrzymać. Wzdycha, jego oddech cichnie na chwilę, porusza się i znowu oddycha. Jest pogrążony we śnie – przebywa częściowo w tym świecie, ale również gdzie indziej. Dziwne, lecz to przeświadczenie wpływa na mnie uspokajająco.

Jego obecność nie uwalnia mnie jednak od bólu w nogach. Zostawiam Adamowi kołdrę, owijam się kocem i kuśtykam do łazienki po kodeinę.

Kiedy wychodzę, tata stoi w przedpokoju w piżamie. Zapomniałam o jego istnieniu. Nie ma kapci, a jego palce u nóg wydają się długie i szare.

– Starzejesz się – stwierdzam. - Starzy ludzie wstają w nocy.

Owija się szczelnie piżamą.

– Wiem, że Adam jest u ciebie.

– A mama u ciebie.

Ta istotna uwaga, jednak on ją ignoruje.

– Zaprosiłaś go bez mojego pozwolenia.

Wpatruję się uporczywie w dywan w nadziei, że ta rozmowa szybko się skończy. Czuję ciężar w nogach, jakby puchły mi kości. Szuram nogami.

– Nie miałem zamiaru psuć ci zabawy, Tesso, ale opiekuję się tobą i nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

– Trochę na to za późno.

Chciałam, żeby to zabrzmiało jak żart, lecz on nie uśmiech się.

– Adam jest jeszcze dzieckiem, Tesso. Nie powinnaś we wszystkim na nim polegać: może cię zawieść.

– Nie zawiedzie mnie.

– A jeśli tak się stanie?

– Mam jeszcze ciebie.

Dziwnie się czuję, obejmując go w ciemności na korytarzu. Przytulamy się mocniej niż kiedykolwiek. Tata rozluźnia uścisk i patrzy na mnie bardzo poważnie.

– Zawszę będę przy tobie, Tesso. Cokolwiek zrobisz, cokolwiek masz do zrealizowania z tej twojej głupiej listy. Chcę żebyś o tym wiedziała.

– Już prawie nic mi nie zostało.

Numer dziewięć to przeprowadzka Adama. To coś ważniejszego niż seks. Chcę się zmierzyć ze śmiercią, stanąć z nią twarzą w twarz, ale nie samotnie. Moje łóżko przestało przerażać.

Leży tam Adam, ciepły, i czeka na mnie.

Tata całuje mnie w czubek głowy.

– Zmykaj.

Wchodzi do łazienki.

Wracam do Adama.

Rozdział 31

Wiosna ma w sobie czarodziejską moc.

Błękit. Wysoko na niebie piętrzą się pierzaste chmury. Powietrze jest cieplejsze niż w ciągu ostatnich tygodni

– Światło było inne dziś rano – mówię do Zoey. - Obudziło mnie.

Poprawia się w ogrodowym fotelu.

– Szczęściara. Mnie obudził skurcz w nogach.

Siedzimy pod jabłonią. Zoey przyniosła koc z kanapy i owinęła się nim, ale ja nie czuję zimna. Jest jeden z tych łagodnych dni marcowych, kiedy ziemia budzi się do życia. Na trawniku zakwitły stokrotki. Wzdłuż ogrodzenia pojawiły się kępy tulipanów. Ogród pachnie inaczej niż do tej pory – wilgocią i tajemnicą

– Dobrze się czujesz? - pyta Zoey. - Jakoś dziwnie wyglądasz.

- Koncentruję się.
- Na czym?
- Na znakach.

Jęczy cicho, a potem bierze folder z ofertami biura podróży moich z kolan i przerzuca kartki.

- W takim razie ja będę się torturować tymi widokami. Powiedz, gdy skończysz. Nigdy nie skończę.

Widzę piękną chmurę, przez którą prześwituje słońce, brązowego ptaka przecinającego niebo prostą linią. Znaki są wszędzie. Jestem bezpieczna.

Cał też dał się wyciągnąć w moje poszukiwania różnych niecodziennych zjawisk, ale jest bardziej praktyczny. Nazywa je czarami przeganiającymi śmierć. Rozwiesił czosnek nad wszystkimi drzwiami i w każdym rogu nad moim łóżkiem. Na frontowej bramie i na furcie z tyłu domu umieścił tabliczki z napisem „TRZYMAJ SIĘ Z DALEKA”.

Wczoraj wieczorem oglądaliśmy razem telewizję. Związał nasze nogi skakanką. Wyglądaliśmy jak przedstawiciele rasy trójnogich.

- Nikt Cię nie zabierze, jeśli będziesz przywiązana do mnie – oznajmił.
- Mogą zabrać i ciebie!

Wzruszył ramionami, jakby się tym nie przejął.

- Na Sycylii też cię nie znajdą.

Jutro wylatujemy. Cały tydzień w słońcu. Drażnię się z Zoey, pokazując jej wulkaniczne plaże z czarnym piaskiem, morze okolone łańcuchem gór, kawiarenki i rynki. Niektóre zdjęcia przedstawiają potężną Etnę w tle, odległą i zionącą ogniem.

- To aktualny wulkan – mówię. - Nocą poszcza ikry, a kiedy pada deszcz, wszystko wokół pokrywa pył.
- Ale chyba będzie ładna pogoda? Pewnie jest tam ze trzydzieści stopni – zgaduje Zoey, zamykając folder. - Nie mogę uwierzyć, że twoja mama oddała swój bilet Adamowi.
- Tata też w to nie wierzy.

Zoey zastanawia się przez chwilę.

- Wydawało mi się, że jednym z punktów na twojej liście było połączenie ich.
- Na pozycji siódmej.
- Okropność. - Rzuca gazetę na trawę. - Nagle zrobiło mi się smutno.
- To przez hormony.
- Smutniej, niż mogłabyś sobie wyobrazić.
- Mówiłam. Hormony.

Wpatruje się smętnie w niebo, a już w następnej chwili odwraca się do mnie z uśmiechem.

- Wiesz, że za trzy tygodnie odbieram klucze?

Rozmowa o mieszkaniu zawsze ją rozwesela. Rada Miejska postanowiła przyznać Zoey stypendium. Może zamienić talony na farby i tapetę. Ożywia się, opowiadając o urządzeniu sypialni i o kafelkach z wzorem tropikalnych ryb, które chce kupić do łazienki.

Dziwne, kiedy o tym opowiada, jej ciało zaczyna falować. Usiłuję się skupić na wyobrażeniu sobie tej kuchni, ale mam wrażenie, że Zoey drży od przegrzania.

- Dobrze się czujesz? - pyta. - Znów masz taką dziwną minę.

Pochyliam się i masuję sobie czaszkę. Koncentruję się na bólu między oczami i staram się go złagodzić.

- Zawołać twojego tatę?
- Nie.

- Podać ci szklanę wody?
- Nie. Zostań. Zaraz wracam.
- Dokąd idziesz?

Nie widzę Adama, ale go słyszę. Przekopuje kawałek ogrodu, żeby jego mama mogła posadzić kwiaty, kiedy on wyjedzie. Słyszę, jak naciska butem na łopatę, a wilgotna ziemia stawia mu opór.

Przechodzę przez dziurę w płocie. Dobiega mnie szept rosnących roślin – pączki otwierają się, delikatnie zielone pędy torują sobie drogę na powierzchnię.

Adam zdjął sweter i pracuje w podkoszulce bez rękawów i dzinsach. Wczoraj ostrzygł włosy. Łuk jego szyi w miejscu, w którym łączy się z barkami, jest wstrząsająco piękny. Uśmiecha się na mój widok, odstawia łopatę i podchodzi.

- Cześć!

Wtulam się w niego i czekam, aż poczuję się lepiej. Jest ciepły. Ma słoń, pachnącą słońcem skórę.

- Kocham cię.

Cisza. Strach. Czy zamierzałam to powiedzieć?

Uśmiecha się na swój sposób, krzywo.

- Ja też cię kocham, Tesso.

Kładę mu rękę na ustach.

- Nie mów nic, jeśli tak nie czujesz.
- Tak właśnie czuję.

Palce wilgotnieją mi pod jego oddechem. Całuje moją dłoń.

Chowam to wszystko w sercu – dotyk skóry pod palcami, jego smak na moich ustach. Będę tego potrzebowała jak talizmanu, żeby przetrwać swoją niemożliwą podróż.

Muska mój policzek jednym palcem, przesuwając nim od skroni po brodę i wyżej, aż do ust.

- Dobrze się czujesz?

Kiwam głową.

Patrzy na mnie lekko zaintrygowany.

- Jesteś dziwnie spokojna. Przyjść do ciebie, kiedy skończę? Moglibyśmy przejechać się motorem, pożegnać się ze wzgórzem na tydzień.

Znowu kiwam głową. Tak.

Całuje mnie na do widzenia. Smakuje jak masło.

Przytrzymuję się płotu, przełaząc z powrotem przez dziurę. Jakiś ptak wyśpiewuje skomplikowane trele. Tata stoi na schodkach z anansem w dłoni. To są dobre znaki. Nie ma potrzeby się bać.

Wracam na fotel. Zoey udaje, że śpi, ale otwiera jedno oko, kiedy siadam obok.

- Ciekawe, czy podobałby ci się, gdybyś była zdrowa.
- Tak.
- Nie jest tak przystojny jak Jake.
- Za to dużo miłszy.
- Założę się, że czasem cię wkurza. Wygaduje brednie albo chce się kochać, kiedy ty nie masz na to ochoty.
- Nie.

Zerka na mnie spode łba.

- Przecież to facet.

Jak mam jej to wyjaśnić? To szczęście, gdy otacza mnie nocą ramieniem? Sposób, w jaki zmienia się jego oddech w miarę upływu godzin i dzięki temu wiem, kiedy zacznie świtać?

Każdego ranka po obudzeniu całuje mnie. Jego ręka leżąca na mojej piersi podtrzymuje bicie serca.

Zbliża się tata z ananasem.

- Chodź do środka. Philippa czeka.

Ale ja nie chcę. Źle się czuję w zamkniętym pomieszczeniu. Wolę zostać pod jabłonką, na świeżym, wiosennym powietrzu.

- Poproś ją, żeby przyszła tutaj.

Wzrusza ramionami i zwraca do domu.

- Zrobi mi badanie krwi – mówię do Zoey.

Marszczy nos.

- W porządku. I tak już zmarłam.

Philippa wkłada gumowe rękawiczki.

- Widzę, że miłość czyni cuda.
- Jutro obchodzimy naszą dziesiątą rocznicę.
- Dziesięć tygodni? Cóż, uczucie ci służy. Od dzisiaj będę rekomendowała stanz akochania wszystkim pacjentom.

Podnosi moje ramię i dezynfekuje miejsce wokół portu kawałkiem gazy.

- Spakowałaś się już?
- Biorę tylko kilka sukienek, bikini i sandałki.
- Nic więcej?
- A czego mi jeszcze trzeba?
- Przede wszystkim kremu do opalania, kapelusza i cieplejszego swetra! Nie chcę cię leczyć z poparzeń słonecznych po powrocie.

Lubię, kiedy tak zrzedzi. Przychodzi do mnie od tygodni. Chyba jestem jej ulubioną pacjentką.

- Jak się miewa Andy?

Uśmiecha się blado.

- Był przeziębiony przez cały tydzień. Chociaż, oczywiście, twierdził, że ma grypę. Wiesz, jacy są mężczyźni.

Nie wiem, ale kiwam głową ze zrozumieniem. Ciekawa jestem, czy mąż ją kocha, czy dba o to, żeby czuła się wspaniale, czy leży w jej tłustych ramionach.

- Dlaczego nie masz dzieci, Filippo?

Patrzy prosto na mnie, odciągając krew do strzykawki.

- Nie zniósłabym ciągłego lęku o nie.

Napełnia krwią drugą strzykawkę i wstrzykuje ją do butelki, oblewa wenflon roztworem soli oraz heparyną, pakuje swoje narzędzia do torby i wstaje. Przez chwilę mam wrażenie, że mnie przytuli, ale nie robi tego.

- Baw się dobrze – mówi. - I nie zapomnij wysłać mi pocztówki

Patrzę na nią, jak idzie po ścieżce, kołysząc się na boki. Odwraca się na schodach i macha na pożegnanie.

Z domu wychodzi Zoey.

- Czego ona tak szuka w tej krwi?
- Choroby.

Zoey siada i kiwa głową ze zrozumieniem.

- Twój tata szykuje lunch. Zaraz nam przyniesie.

Roztańczony liść. Długi cień padający na trawnik.

Wszędzie widzę znaki. Niektóre robię sama. Inne przychodzą nie wiadomo skąd.

Zoey łapie mnie za rękę i przyciska do brzucha.

- Poruszyła się! Połóż tu dłoń... nie, tutaj. Dobrze.

Czuję powolny, okrężny ruch. Jakby jej dziecko fikało koziołki w zwolnionym tempie. Chcę cały czas trzymać tu rękę. Chcę, żeby dziecko zmieniło pozycję jeszcze raz.

- Jesteś pierwszą osobą, której to pokazałam. Poczujesz, jak się porusza, prawda?
- Tak.
- Wyobraź ja sobie – prosi Zoey. - Postaraj się ją sobie wyobrazić.

Często to robię. Narysowałam ją nad moim łóżkiem. Nie jest to najlepszy obrazek, ale proporcjonalny – uda, brzuch, obwód głowy.

Jest to dziesiąta na mojej liście. Lauren Tessa Walker.

- Ma już ukształtowany kręgosłup – oznajmiam Zoey. - Trzydzieści trzy kręgi, sto pięćdziesiąt stawów i tysiąc ścięgien. Potrafi otworzyć oczy, wiedziałaś o tym? Ma też siatkówkę.

Zoey zerka na mnie z niedowierzaniem, jakby sądziła, że nikt nie może wiedzieć takich rzeczy na pewno. Postanowiłam przemilczeć informację, że jej własne serce bije teraz dwukrotnie szybciej niż normalnie, pompując sześć litrów krwi na minutę. Pewnie bym ją przestraszyła.

Nadchodzi tata.

- Smacznego – mówi, stawiając tacę na trawie między nami. Awokado i sałatka z rukwi. Kawałki ananasa i kiwi. Miseczka czerwonych porzeczek.
- Nie ma szansy na burgera? - pyta Zoey.

Tata marszy brwi, a potem uświadamia sobie, że Zoey żartuje, i się uśmiecha.

- Idę po kosiarkę – oznajmia i znika w szopie.

Adam i jego mama pojawiają się w dziurze w płocie.

- Śliczny dzień, prawda? - woła Sally.
- Już wiosna – bełkocze Zoey z buzią pełną sałatki.
- Jeszcze nie było zmiany czasu.
- W takim razie winne jest zanieczyszczenie powietrza.

Sally wygląda na przestraszaną.

- Spiker w radiu mówił, że gdybyśmy zrezygnowali z samochodów, ludzkość zyskałaby dodatkowo tysiąc lat życia na tej planecie.

Adam śmieje się, podzwaniając kluczykami.

- W takim razie może przejdziemy się do centrum ogrodniczego?
- Nie, chcę kupić rośliny na ściółkę. Nie dalibyśmy rady ich przynieść.

Adam kręci głową.

- Będziemy za godzinę.

Patrzemy, jak odchodzą. Adam odwraca się przed furką i mruga do mnie.

- Ja bym się wkurzyła – rzuca Zoey.

Ignoruję ją. Zjadam plasterki kiwi. Smakuje inaczej niż zwykle. Pierzaste obłoki na niebie przypominają baranki pasące się na błękitnej łące. Słońce to wychodzi, to znów się chowa. Wszystko się zmienia.

Tata wyciąga kosiarkę. Jest przykryta starymi ręcznikami, jakby pozostawała w stanie hibernacji. Dawniej pielęgnował ogród z niemal religijnym zapałem. Sadził i pielął, podwiązywał rośliny sznurkiem i utrzymywał porządek. Teraz w ogrodzie panuje chaos. Trawniki są zapuszczony, a krzewy różane zagładają już prawie do szopy.

Śmiejemy się, kiedy kosiarka odmawia współpracy, ale na tacie nie robi to wrażenia. Wzrusza tylko ramionami, jakby i tak nie miał ochoty brać się do roboty. Wraca do szopy, wychodzi z sekatorem i zaczyna przycinać gałązki żywopłotu.

- Jest grupa wsparcia dla nastolatków w ciąży – zaczyna Zoey. - Podają ciastka i herbatę, i uczą zmieniać pieluszki. Myślałam, że będzie beznadziejnie, ale świetnie się wszystkie bawiłyśmy.

Po niebie leci samolot, zostawiając za sobą smugę białego dymu. Pojawia się drugi i przecina mu drogę. Całują się. Żaden nie spada.

- Słuchasz mnie? - mówi Zoey. - Mam wrażenie, że nie.

Przecieram oczy i staram się skupić na tym, co mówi. Opowiada, że zaprzyjaźniła się z jakąś dziewczyną... mają zbliżony termin porodu... dodaje coś o położnej. Jej głos dociera do mnie z daleka, jakby z głębi tunelu.

Zauważam, jak guzik jej bluzki nagle się napina

Motyl ląduje na ścieżce i rozpościera skrzydła. Opala się. Motyle pojawiły się w tym roku bardzo wcześnie.

- Na pewno mnie słuchasz?

Cal przechodzi przez furtkę. Rzuca rower na trawę i obiega ogród dwa razy.

- Ferie! - krzyczy z radości. Wspina się na jabłonkę, wsuwa kolana między gałęzie i kuca tam jak elf.

Odebrał SMS-a. Spomiędzy młodych listków drzewa błyska niebieskie światełko jego komórki. Przypomina mi to sen sprzed kilku nocy. Błękitne promienie wydobywały się z mojego gardła za każdym razem, kiedy otwierałam usta.

Cal odpisuje i dostaje odpowiedź. Śmieję się. Jeszcze jeden SMS i jeszcze jeden, przylatują ptaki na drzewo.

- Siódma klasa górą! - ogłasza ze śmiechem. - Urządziliśmy bitwę morską w parku i ci z dziesiątej przegrali!

Cal idący po raz pierwszy do gimnazjum. Cal z przyjaciółmi i nową komórką. Cal zapuszczający włosy, żeby wyglądać jak skejt.

- Co się gapisz? - Wystawia język, zeskakuje z drzewa i biegnie do domu.

Na ogród pada cień. Powietrze pachnie wilgocią. Wiatr unosi paperek po cukierku.

Zoey się wzdryga.

- Chyba już pójde. - Przytula mnie tak mocno, jakby jedna z nas mogła upaść. - Ależ ty jesteś gorąca. Czyto dobrze?

Tata odprowadza ją do wyjścia.

Adam przechodzi przez dziurę w ogrodzeniu.

- Gotowe – oznajmia, przysuwa sobie fotel i siada blisko mnie. - Mama wykupiła połowę sklepu ogrodniczego. Wydała kupę forsy, ale jest zachwycana. Chce hodować zioła.

Czar odpędzający śmierć – mocno trzymać swojego chłopaka za rękę.

- Dobrze się czujesz?

Kładę głowę na jego ramieniu. Mam wrażenie, że zaraz coś się stanie.

Dobiegają mnie różne dźwięki – niewyraźne szczykanie naczyń w kuchni, szelest liści, warkot silnika w oddali.

Słońce rozbłyska, wtapiając się w chłodny horyzont.

- Jesteś rozpalony – Przykłada mi rękę do czoła, głaszcze po policzku i karku. - Nie ruszaj się.

Zostawia mnie i biegnie do domu.

Ziemia wiruje mi przed oczami, wiatr porusza drzewami.

Nie czuję strachu.

Oddychaj, nie przestawaj. To łatwe – wdech i wydech.

Dziwne, jak ziemia wychodzi mi na spotkanie, czuję się lepiej, kiedy jestem bliżej niej.

Leżę i myślę o swoim imieniu u nazwisku. Tessa Scott. Niezłe. Trzy sylaby. Co siedem lat nasze ciała wymieniają wszystkie komórki. Co siedem lat znikamy.

- Chryste! Ależ ma gorączkę! - Widzę nad sobą twarz taty. - Dzwon po karetkę! - jego głos dobiega gdzieś z daleka. Próbuję się uśmiechnąć. Chcę mu podziękować za to, że jest przy mnie, ale z jakiegoś powodu nie mogę wymówić ani słowa.
- Nie zamykaj oczu, Tesso. Słyszysz mnie? Zostań z nami!

Kiwam głową, a niebo wiruje z prędkością, która przyprawia mnie o mdłości; czuję się tak, jakbym spadła z wysokiego budynku.

Rozdział 32

Śmierć przywiązuje mnie do szpitalnego łóżka, przywiera do mojej piersi i siedzi tam. Nie wiedziałam, że będzie aż tak bolało. Nie spodziewałam się, że potrafi wymazać z mojej pamięci wszystkie dobre rzeczy, które mnie spotkały.

To, co się dzieje teraz, jest jak najbardziej prawdziwe i chociaż moi bliscy obiecują, że mnie zapamiętają, i tak nie będzie to miało żadnego znaczenia, bo nie będę o tym wiedziała, kiedy odejdę.

W kacie pokoju tworzy się czarna dziura i wypełnia mgłą, która przypomina tkaninę falującą między drzewami.

Z oddali dobiega mnie mój własny jęk. Nie chcę tego słyszeć. Widzę, jak wymieniają spojrzenia – pielęgniarka z lekarzem, lekarz z tatą. Dochodzą mnie przyciszone głosy. Z gardła taty wydobywa się szloch.

Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie.

Koncentruje myśli na białych kwiatach otwierających się pod błękitnym niebem. Jakże mali jesteśmy my, ludzie, jak znikomymi w porównaniu ze skałami i gwiazdami.

Wchodzi Cal. Pamiętam go. Chcę mu poradzić, żeby się nie bał. Chcę, żeby mówił normalnym głosem i opowiedział mi coś zabawnego. Ale on staje obok taty, cichy i mały.

- Co jej jest? - szepcze.
- Ma infekcję.
- Umrze?
- Podali jej antybiotyk.
- Więc wyzdrowieje?

Milczenie.

Nie tak miało być. Nie tak nagle, jakbym wpadła pod samochód. Bez tego dziwnego gorąca, bez tych wewnętrznych ran. Białaczka jest chorobą postępującą. Miałam słabnąć stopniowo do chwili, aż stanę się zupełnie obojętna.

A ja nie jestem obojętna. Kiedy to się zmieni?

Staram się myśleć o prostych rzeczach – o gotowaniu ziemniakach, mleku. Jednak wciąż dręczą mnie straszne obrazy – wypalone drzewa, kurz. Obnażona kość szczęki.

Chcę powiedzieć tacie, jak bardzo się boję, ale mówienie okazuje się wysiłkiem równie dużym jak dla zdrowego człowieka wydostanie się ze zbiornika pełnego ropy. Moje słowa wpływają z jakiegoś ciemnego i śliskiego miejsca.

- Nie pozwól mi spaść.
- Trzymam cię.
- Spadam.
- Jestem tutaj. Trzymam cię.

Ale w jego oczach czai się lek, twarz skurczyła mu się jakby miał sto lat.

Rozdział 33

Budzę się w kwiatkach. Wazony pełne są tulipanów i goździków jak podczas ślubu, gipsówka pełni się przy łóżku.

Budzę się przy tacie, który wciąż trzyma moja rękę.

Otoczają mnie same wspaniałe rzeczy – kubek, krzesło. Błękitne niebo za oknem.

- Jesteś spragniona? - pyta tata. - Podać ci coś do picia?

Mam ochotę na sok z mango. Dużo soku. Tata podnosi poduszkę i przytrzymuje szklankę.

Patrzy mi w oczy. Nabieram soku w usta, przełykam. Czekam chwilę, aż złapię oddech, i znów podsuwa szklankę. Potem ociera mi usta chusteczką.

- Poisz mnie jak dziecko.

Kiwa głową. Łzy napływają mu do oczu.

Zasypiam. Budzę się znowu. Tym razem umieram z głodu.

- Jest szansa na lody?

Tata odkłada książkę z uśmiechem.

- Za minutkę. - Nie ma tylko chwilę, wraca z lodem truskawkowym. Owija patyk chusteczką, żeby nie kapało. Mogę go wziąć do ręki. Lód jest przepyszny. Moje ciało rozpoczęło proces naprawy. Nie sądziłam, że jeszcze to potrafi. Wiem, że nie umrę, trzymając w reku truskawkowego lodu na patyku.
- Chyba będę miała ochotę na jeszcze jednego.

Tata mówi, że dostanę ich pięćdziesiąt, jeśli zechcę. Pewnie zapomniał, że nie wolno mi jeść cukru ani nabiału.

- Mam dla ciebie coś jeszcze. - Grzebie w kieszeni i wyciąga magnes na lodówkę. Jest w kształcie serca, pomalowany na czerwono i nierówno pociągnięty lakierem. - Cał go zrobił. Kazał cię pozdrowić.
- A mama?
- Odwiedziła cię kilka razy. Byłaś bardzo słaba, Tesso. Musieliśmy ograniczyć liczbę wizyt.
- Więc Adam nie przyszedł?
- Jeszcze nie.

Oblizuje patyk, starając się wyssać trochę więcej smaku. Drewno drapie mnie w język.

- Przynieść ci kolejnego lodu?
- Nie. Idź już.

Moja odpowiedź go zaskoczyła.

- Dokąd?
- Odbierz Cała ze szkoły i wybierzcie się do parku. Zagrajcie w piłkę. Kup mu frytki, a potem wróć i opowiedz mi o tym.

Tata wydaje się trochę zdziwiony, ale się śmieje.

- Widzę, że masz nastrój do świętowania.

- Chcę, żebyś zadzwonił do Adama. Powiedz mu, że może dzisiaj do mnie przyjść.
- Coś jeszcze?
- Powiedz mamie, że chcę dostać prezenty: drugi sok, mnóstwo czasopism i nowy podkład do makijażu. Jeśli sobie nie radzi z całą tą sytuacją, to niech mi przynajmniej coś kupi.

Tata poweselał. Bierze kurtkę i zapisuje, jakich odcienie pudru i szminki używam. Zachęca mnie, żebym zastanowiła się, na co jeszcze mam ochotę, więc zamawiam jagodzianki, mleko czekoladowe i sześciopak kremowych jajek. Ostatecznie zbliża się Wielkanoc. Całuje mnie trzy razy w czoło i mówi, że niedługo wróci.

Po jego wyjściu ptak przysiadła na parapecie. Jest zwyczajny, to nie sęp ani feniks, lecz po prostu szpak. Wchodzi pielęgniarka z czystą pościelą, nalewami wody do kubka. Pokazuje jej ptaka i żartuję, że to zwiastun śmierci. Przygryza wargi i ostrzega, żebym nie kusiła losu. Ale szpak patrzy na mnie znacząco i unosi łebek.

- Jeszcze nie teraz – szepczę.

Przychodzi lekarz.

- Udało nam się dobrać odpowiedni antybiotyk – oznajmia.
- Nareszcie
- Było trochę strachu.
- Naprawdę?
- Mam na myśli ciebie. Tak silna infekcja może oszołomić.

Ośluchoje mnie, a ja odczytuje jego nazwisko z plaketki. Doktor James Wilson. Jest mniej więcej w wieku mojego taty, ale szczuplejszy, ma ciemne włosy, lekko łysieje nad czołem. Wydaje się być zmęczony. Ogląda moje ręce, nogi i plecy, szukając śladów podskórnego krwawienia. Potem siada na krześle przy łóżku i zapisuje coś w karcie choroby. Lekarze oczekują, że będę uprzejma i wdzięczna. Dzięki temu ich praca stanie się łatwiejsza. Tymczasem nie mam ochoty zachowywać się taktownie.

- Ile czasu mi zostało?

Patrzy na mnie zaskoczony.

- Może zaczekamy z tą rozmową na twojego tatę?
- Po co?
- Wspólnie rozważymy dalszą terapię.
- Przecież to ja jestem chora, nie on.

Wkłada długopis do kieszeni. Zaciska usta.

- Nie chcę się bawić w zgadywanie, Tesso. To nie pomaga.
- Mnie pomoże.

Nie chodzi o to, że postanowiłam być dzielna. Nie podejmuję postanowień noworocznych. Ale jestem podłączona do kroplówki i straciłam mnóstwo czasu na pobyt w szpitalu. Nagle dostrzegam wyraźnie, co jest naprawdę ważne.

- Moja najlepsza przyjaciółka urodzi dziecko za osiem tygodni i muszę wiedzieć, czy jeszcze je zobaczę.

Krzyżuje nogi i zaraz je rozkłada. Trochę mi go żal. Lekarze nie przechodzą szkolenia w dziedzinie przekazywania pacjentom złych wiadomości.

- Gdybym przedstawił teraz nadmiernie optymistyczne prognozy, poczułabyś się potem rozczarowana. Podobnie byłoby, gdybym okazał się pesymistą.
- Nie szkodzi. Pan się w tym lepiej orientuje niż ja. Proszę, James.

Nawet pielęgniarkom nie wolno zwracać się do lekarzy po imieniu i normalnie nigdy bym się na to nie ośmieliła. Ale coś się zmieniło. To moja śmierć i o niektórych rzeczach muszę

wiedzieć.

- Nie pozwę cię, jeśli się pomylisz.

Posyła mi blady uśmiech.

- Udało nam się zwalczyć infekcję i czujesz się znacznie lepiej, lecz badanie krwi nie przyniosło zadowalających wyników. Przeprowadzimy więcej testów. Możemy je omówić, gdy wróci twój ojciec.
- Czy choroba zaatakowała naczynia obwodowe?
- Nie wiemy tego jeszcze na pewno, Tesso. Nie wolałabyś poczekać z tą rozmową na tatę?
- Po prostu powiedz.

Wzdycha głęboko, jakby sam nie mógł uwierzyć w to, że mi ulega.

- Tak, wykryliśmy chorobę w naczyniach obwodowych. Bardzo mi przykro.

Więc tak to wygląda. Toczy mnie rak, mój układ odpornościowy przestał funkcjonować i nie mogą już nic dla mnie zrobić. Sprawdzali to podczas cotygodniowych badań krwi. Stało się.

Zawsze myślałam, że nieodwołalna diagnoza będzie jak cios w żołądek – najpierw ostry ból, a potem otępienie. Ale nic takiego nie czuję. Jestem całkowicie skoncentrowana.

- Tata już wie?

Kiwa potakująco głową.

- Zamierzaliśmy powiedzieć ci razem.
- Co ze mną będzie dalej?
- Twój układ odpornościowy przestał funkcjonować, Tesso. Masz ograniczone możliwości. Możemy nadal podawać ci krew, jeśli chcesz, ale poprawa potrwa krótko. Gdy dostaniesz anemii zaraz po transfuzji, będziemy musieli zrezygnować.
- I co wtedy?
- Zrobimy wszystko, żebyś nie cierpiała, i zostawimy cię w spokoju.
- Codzienne transfuzje nie wchodzi w grę?
- Nie.
- Więc nie przeżuję ośmiu tygodni?

Doktor Wilson patrzy mi prosto w oczy.

- Będiesz miała dużo szczęścia, jeśli ci się uda.

Wiem, że zostały ze mnie skóra i kości. Adam jest wstrząśnięty.

- Nie taką mnie zapamiętałeś, co?

Pochyla się i całuje mnie w policzek.

- Wyglądasz strasznie.

Myślę, że właśnie tego bał się najbardziej – udawać zainteresowanie, kiedy stanę się brzydka i bezużyteczna.

Przyniósł tulipany z ogrodu. Wkładam je do kubka z wodą, podczas gdy on ogląda kartki z życzeniami. Rozmawiamy przez chwilę o niczym – o tym, jak przyjęły się rośliny, które kupił w sklepie ogrodniczym, o tym, że jego mama częściej wychodzi na dwór i cieszy się ładną pogodą. Adam wygląda przez okno i żartuje sobie z tego, co widzi na parkingu.

- Chcę, żebyś zachowywał się naturalnie.

Marszczy brwi, jakby nie rozumiał.

- Nie udawaj, że ci na mnie zależy. Nie potrzebuję litości.
- Co to ma znaczyć?

- Nie zniosę udawania.
- Nie udaję.
- To nie twoja wina. Nie wiedziałeś, że moja choroba jest tak poważna. A będzie jeszcze gorzej.

Zastanawia się przez chwilę, a potem zrzuca buty.

- Co robisz?
- Zachowuję się naturalnie.

Odchyła koc i kładzie się do łóżka obok mnie. Unosi mnie i obejmuje ramionami.

- Kocham cię – szepcze gniewnie z ustami przy mojej szyi. - Czuję ból, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyłem, ale kocham cię. Nie masz prawa temu zaprzeczać. Nie mów tak więcej!

Leżę z głową opartą na dłoni tuż przy jego twarzy, a on przyciska się do mnie. Przychodzi mi na myśl, że jest samotny.

- Przepraszam.
- I słusznie.

Nie patrzy na mnie. Chyba usiłuje powstrzymać łzy.

Zostaje ze mną całe popołudnie. Oglądamy MTV, potem on czyta gazetę pozostawioną przez tatę, a ja zapadam w drzemkę. Śnię o nim, mimo że jest przy mnie. Brniemy razem przez śnieżne zasy, ale jest nam gorąco i mamy na sobie stroje kąpielowe. Idziemy pustymi alejami wśród marznących drzew, drogą, która wije się przed nami bez końca.

Kiedy się budzę, znów jestem głodna, więc posyłam Adama po lody truskawkowe.

Zaczynam zanim tęsknić w tej samej chwili, gdy zamyka za sobą drzwi. Czuję się tak, jakby cały szpital opustoszał. Jak to możliwe? Zaciskam palce pod kocem i nie poruszam się, dopóki nie wróci do łóżka.

Rozpakowuje loda i podaje mi. Kładę go na stoliku.

- Dotknij mnie.

Jest zmieszany.

- Lód ci się roztopi.
- Proszę.
- Jestem tutaj. Dotykam cię.

Przesuwam jego dłoń na moje piersi.

- W ten sposób.
- Nie, Tesso, nie chcę ci sprawić bólu.
- Nie sprawisz.
- A jeśli wejdzie pielęgniarka?
- Zagrozimy, że wylejemy na nią zawartość basenu.

Delikatnie ujmuje w słońce moje piersi.

- Czy tak dobrze?

Dotyka mnie, jakbym była bardzo cenna, jakby moje ciało wprowadzało go w oszołomienie i zachwyty, nawet teraz, kiedy umiera. Oboje drżymy pod wpływem tej bliskości.

- Chcę się kochać.

Jego ręka nieruchomieje.

- Kiedy?
- Po powrocie do domu. Ostatni raz, zanim umrę. Obiecuj mi to.

Jego wzrok mnie przeraża. Nigdy wcześniej tak nie patrzył. Tak głęboko i prawdziwie, jakby widział rzeczy, które inni mogą sobie tylko wyobrażać.

- Obiecuję.

Rozdział 34

Zmieniają się przy mnie strażnicy. Tata przychodzi każdego ranka, Adam popołudniami. Potem tata wraca wieczorem z Caem. Mama wpada nieregularnie, ale podczas drugiej wizyty znosi cały zabieg transfuzji krwi.

- Nadciągają płytki krwi i hemoglobina – oznajmiła, kiedy mnie podłączono do kroplówki.

Podoba mi się to, że potrafi znaleźć właściwe słowa.

Jestem w szpitalu od dziesięciu dni. Spędziłam tu nawet święta wielkanocne. Marnuję zbyt wiele czasu.

Każdej nocy leżę w łóżku i pragnę Adama, jago nóg splecionych z moimi, jego ciepła.

- Chcę wrócić do domu – mówię pielęgniarce.
- Jeszcze nie teraz.
- Czuję się lepiej.
- Ale nie dostatecznie dobrze.
- Na co czekacie? Macie nadzieję, że wrócę do zdrowia?

Słońce zagląda do mojego pokoju każdego ranka, gdy gasną uliczne latarnie. Chmury pędzą po niebie, na parkingu przed szpitalem robi się ruch, który dopiero pod wieczór ustaje, potem słońce znowu znika za horyzontem i kolejny dzień dobiega końca. Czas pędzi za siebie. Krew pulsuje.

Pakuję torbę i się ubieram. Siadam na łóżku i staram się przybrać dziarską minę. Czekam na Jamesa.

- Chcę wrócić do domu – oznajmiam, kiedy przegląda kartę choroby.

Kiwa głową, jakby się tego spodziewał.

- Jesteś pewna?
- Całkowicie. Brakuje mi powietrza. - Wskazuję okno, na wypadek gdyby był zbyt zajęty, żeby zauważyć łagodne światło i chmury na błękitnym niebie.
- Musisz przestrzegać określonych procedur, żeby utrzymać wyniki krwi na tym samym poziomie, Tesso.
- A nie da się tego robić w domu?

Patrzy na mnie z powagą.

- Istnieje poważna różnica między życiem, które zostawiłaś, a tym obecnym, wymagającym zabiegów medycznych. Tylko ty możesz podjąć decyzję. Masz już dość?

Widzę w myślach nasz dom, kolory dywanów i zasłon, ustawienie mebli. Droga, którą lubię szczególnie, prowadzi z mojego pokoju po schodach, przez kuchnię, aż do ogrodu. Chcę posiedzieć w fotelu na trawie.

- Efekty ostatniej transfuzji utrzymały się zaledwie trzy dni.

Kiwa głową ze współczuciem.

- Wiem, przykro mi.
- Dziś rano znów podawano mi krew. Jak długo to jeszcze potrwa?

Wzdycha.

- Nie wiem.

Wyglądam prześcieradło na łóżku.

- Chcę wrócić do domu.
- Pozwól, że porozmawiam najpierw z pracownikami socjalnymi w twojej okolicy.

Jeśli zagwarantują, że będą cie codziennie odwiedzać, możemy rozważyć takie rozwiązanie. - Odwiesza kartę choroby na poręcz łóżka. - Zadzwońię do nich i wrócę, kiedy pojawi się twój tata.

Po jego wyjściu liczę do stu. Mucha idzie po stoliku. Wyciągam palec, żeby dotknąć jej delikatnych skrzydełek. Wyczuwa moje zamiary, ożywia się i wznosi w powietrze zygzakowatym ruchem. Znajduje się w moim zasięgu.

Wkładam płaszcz, owijam szyję szalikiem i biorę torbę. Pielęgniarka nie widzi, jak mijam jej biurko i wsiadam do windy.

Na parterze piszę SMS-a do Adama: CZY PAMIETASZ O SWOJEJ OBIETNICY?

Umrę tak, jak chcę. To moja choroba, moja śmierć i mój wybór.

To właśnie oznacza słowo „tak”.

Ogromną przyjemność sprawia mi chodzenie, stawianie jednej stopy przed drugą wzdłuż żółtych linii wymalowanych na podłodze korytarza i prowadzących aż do izby przyjęć.

Wspaniale patrzeć na zewnętrzne drzwi obrotowe – zanim wyjdę, czekam, aż miną mnie dwa razy po to, by oddać hołd ich genialnemu konstruktorowi. Jak przyjemny jest powiew świeżego powietrza. Wita mnie słodki, rześki, wstrząsający swym pięknem świat.

Przed wyjściem ze szpitala leży kiosk. Kupuję mleczną czekoladę i paczkę gumy do żucia.

Kobieta za ladą dziwnie mi się przygląda, kiedy płacę. Przychodzi mi do głowy myśl, że mogę świecić po tych wszystkich zabiegach i niektórzy to widzą. Każdy mój ruch wywołuje błysk neonu.

Idę powoli w kierunku taksówek i cieszę się z widoku wszystkiego, co mnie otacza –

kamery zawieszona na słupie latarni i kołyszająca się wokół własnej osi, ludzi rozmawiających przez telefony komórkowe. Szpital rozmywa się za moimi plecami, kiedy szepczę do niego słowa pożegnania, cienie rzucane przez drzewa padają na jego okna.

Mija mnie dziewczyna idąca rozkołysanym krokiem, postukuje wysokimi obcasami; czuję zapach pieczonego kurczaka, musiała go właśnie zjeść i teraz oblizuje palce do czysta. Jakiś mężczyzna niosący na rękach płaczące dziecko krzyczy do słuchawki:

– Nie! Nie mogę przynieść ziemniaków!

Tworzymy pewne wzory, pojawiają się w życiu innych tylko na chwilę. Czasem myślę, że jestem jedyną osobą, która to dostrzega.

Częstuję kierowcę taksówki czekoladą, kiedy włączamy się w ruch uliczny. Mówi, że ma dzisiaj podwójną zmianę i że na jezdni jest zbyt wiele samochodów jak na jego gust.

Rozpaczliwie macha w ich kierunku, kiedy przejeżdżamy mozolnie przez centrum.

– Kiedy to się skończy? - pyta.

Proponuję mu gumę na poprawę humoru. Znów piszę SMS-a do Adama : PAMIETAJ O OBIETNICY.

Pogoda się zmienia, słońce chowa się za chmurami. Zimne kwietniowe powietrze wnika w moje płuca.

Taksówkarz bębni palcami w kierownicę.

– Utknęliśmy!

Podoba mi się i korek, i ruch na ulicy, głębokie buczenie silnika autobusu, nagłący klakson karetki jadącej gdzieś w oddali. Cieszę się, że suniemy tak wolno przez High Street.

Dostrzegam jaj wielkanocne, których nie wykupiono, na wystawie kiosku, niedopałki papierosów zamiecione w kupkę przed barem z kurczakami. Widzę dzieci niosące w ramionach niesamowite przedmioty – niedźwiedzia polarnego, ośmiornicę. A pod kołami

wózka stojącego przed sklepem Mothercare dostrzegam litery tworzące moje imię, nieco już zatarte, ale wciąż widoczne na chodniku, rozpościerające się aż do banku.

Dzwonię do Adama. Nie odbiera, więc wysyłam mu kolejną wiadomość: PRAGNĘ CIĘ

To proste.

Na skrzyżowaniu stoi karetka z otwartymi drzwiami, rzuca na drogę błękitne światła. Docierają one nawet do chmur wiszących nisko nad nami. Jakaś kobieta leży na jezdni przykryta kocem.

– Widzisz- pyta kierowca.

Wszyscy się przyglądają – pasażerowie samochodów, urzędnicy, którzy wyszli na lunch. Kobieta ma zakrytą twarz, ale spod koca wystają jej nogi w rajstopach; jej buty są ułożone pod nienaturalnym kątem. Obok znajduje się kałuża krwi czarnej jak deszcz.

Kierowca zerka na mnie w lusterku.

– Robi wrażenie, co?

Tak. Wszystko jest takie namacalne. Istnienie i popadanie w niebyt.

Odnoszę wrażenie, że w palcach moich nóg gromadzi się żywica i płynie w górę aż do goleni. Pukam do drzwi Adama.

Sally wygląda. Czuję przyływ miłości do niej.

– Czy jest Adam?

– Nie powinnaś być w szpitalu?

– Już nie.

Wygląda na zdezorientowaną.

– Nie wspomniał, że mają cię wypisać.

– Niespodzianka.

– Jeszcze jedna. - Wzdycha. Otwiera drzwi szerzej i spogląda na zegarek.

– Nie wróci przed piątą.

– Piątą?

Marszczy brwi.

– Dobrze się czujesz?

Nie. Nie mogę czekać do piątej. Wtedy dopadnie mnie już anemia.

– Gdzie on jest?

– Pojechał pociągiem do Nottingham na uniwersytet. Zgodzili się z nim porozmawiać.

– O czym?

– Chce zacząć studia od września.

Ogród wiruje mi przed oczami.

– Jesteś tak samo zaskoczona jak ja.

Zasypiałam w jego ramionach w szpitalu.

– Dotknij mnie – powiedziała i on mnie dotknął.

– Kocham cię – powtarzał. - Nie masz prawa temu zaprzeczać.

Obiecał mi.

Zaczyna padać, kiedy odchodzę od drzwi. Piękny srebrny deszcz osiada na ziemi niczym pajęczyna.

Rozdział 35

Zdejmuję jedwabną sukienkę zwieszaka i wycinam otwarte usta poniżej talii. Nożyczki są tak ostre, że przychodzi mi to bez trudu, jakbym metalem przenikała przez wodę. Błękitna, obcisła kiecka zostaje rozcięta na ukos na wysokości piersi. Układam rzeczy obok siebie na łóżku jak chore przyjaciółki i głaszczę je.

Nie pomaga.

Idiotyczne džinsy, które kupiłam razem z Calem, i tak nigdy na mnie nie pasowały, więc

odcinam nogawki na wysokości kolan. Obrywam kieszenie od dresowych spodni, robię dziury w bluzkach i rzucaam to wszystko obok sukienek.
Długo nie mogę się uporać z rozerwaniem butów. Bola mnie ramiona i zaczynam charczeć. Ale dziś rano miałam transfuzję, w moich żyłach płynie cudza krew, więc nie przerywam. Rozcinam buty wzdłuż. Powstają dwie wielkie rany.
Chcę być pusta. Pragnę żyć sobie gdzieś całkiem zdrowa.
Otwieram okno i wyrzucam buty. Lądują na trawniku.
Szare chmury wiszą nisko na niebie. Mży.
Moknie szopa. Trawa też wchłania krople deszczu. Grill na kółkach rdzewieje.
Wyciągam z szafy wszystkie ubrania. Świszcze mi w płucach, ale nie przerywam. Drę płaszcze na strzępy, guziki spadają na podłogę. Rwę swetry. Rozszarpuje spodnie, jedne po drugich. Ustawiam buty na parapecie i obcinam języki.
Dobrze. Czuję, że żyję.
Zbieram sukienki z łóżka i wyrzucam przez okno razem z butami. Wielki tłumok opada na patio i leży na deszczu.
Oglądam komórkę. Brak wiadomości. Brak nieodebranych połączeń.
Nienawidzę tego pokoju. Wszystko w nim przypomina mi o czymś innym. Miseczka z chińskiej porcelany z St.Ives. Brązowy gliniany słój, w którym mama trzymała herbatniki. Figurka śpiącego psa z pantoflem, stojąca kiedyś na kominku babci. Zielone jabłko ze szkła.
Wszystko ląduje na trawie oprócz psa, który rozbija się o płot.
Zrzucam książki z półki. Otwierają się w locie. Kartki opadają na podłogę niczym egzotyczne ptaki. Płyty CD i DVD szybują nad ogrodzeniem jak ringo. Adam będzie mógł je puszczać swoim nowym przyjacielom z uniwersytetu, kiedy umrę.
Kołdra, prześcieradło, koce – wszystko trafia za okno. Fiolki z lekarstwami i pudełka stojące na nocnym stoliku, strzykawki, maść Diprobase, krem nawilżający. Szkatułka z biżuterią.
Rozcinam sakiewkę i rozsypuję na podłodze plastikowe kulki, pusty woreczek ląduje na trawie. Ogród się zapełnia. Rosną sterty przedmiotów. Na drzewie wiszą spodnie. W winorośli zaplątały się książki. Samą siebie wyrzucę później i zapuszczę korzenie w tym zacienionym miejscu obok szopy.
Nadal brak wiadomości od Adama. Telefon znika za płotem.
Telewizor jest ciężki jak samochód. Łupie mnie w plecach. Czuje palenie w nogach.
Taszcze go i przesuwam po dywanie. Brakuje mi tchu, muszę zrobić sobie przerwę. Pokój się przechyła. Oddychaj. Oddychaj. Dasz radę. Musisz wyrzucić wszystko.
Ustawiam telewizor na parapecie i wypycham go za okno.
Ląduje ze strasznym hukiem, wybucha, strzelając kawałkami szkła i plastiku.
Koniec. Uporałam się ze wszystkim.

Wpada tata. Przystaje na chwilę z otwartymi ustami.

– Ty potworze – szepcze.

Muszę zatkać uszy.

Podchodzi i obejmuje mnie ramionami. Pachnie zatęchłym tytoniem.

– Chcesz mnie zostawić z niczym?

– Nikogo nie było w domu!

– Więc postanowiłaś wszystko zniszczyć?

– Gdzie poszedłeś?

– Do sklepu. Potem pojechałem do szpitala, ale ciebie tam nie było. Wszyscy wpadli w

panikę.

- Gównu mnie to obchodzi, tato!
- Za to mnie obchodzi! Będziesz kompletnie wyczerpana!
- To moje ciało. Mogę robić, co zechcę.
- Więc ono także przestało cię już obchodzić?
- Mam go dość! Mam dość lekarzy, igieł, badań i transfuzji. Rzygać mi się chce na myśl, że jestem przykuta do łóżka i tak mija dzień za dniem, a wy macie swoje życie. Nie mogę tego znieść! Nienawidzę was wszystkich! Wiedziałeś, że Adam wybiera się na uniwersytet? Ma przed sobą długie lata świetlanej przyszłości, a ja już za parę tygodni będę gryzła ziemię!

Tata płacze. Siada ciężko na łóżku, chowa głowę w dłoniach i łka. Nie wiem co robić. Dlaczego nagle okazuje się słabszy ode mnie? Siadam obok i kładę rękę na jego kolanie.

- Nie wrócę do szpitala, tato.

Wyciera nos w rękaw koszuli i patrzy na mnie. Wygląda zupełnie jak Cal.

- Naprawdę masz już dość?
- Naprawdę.

Obejmuję go jedną ręką, a on kładzie głowę na moim ramieniu. Głaszczę go po włosach. Czuje się tak, jakbyśmy płynęli łodzią. Przez otwarte okno wpada bryza. Siedzimy tak całą wieczność.

- Kto wie, może wcale nie umrę, jeśli zostanę w domu.
- Byłoby cudownie.
- Zdam egzaminy i pojedę na uniwersytet.

Wzdycha, rozciąga się na łóżku i zamyka oczy.

- Dobry pomysł.
- Dostanę pracę i może kiedyś będę miała dzieci: Chestera, Merlina i Daisy.

Tata otwiera na chwilę jedno oko.

- Niech mi Bóg dopomoże!
- Zostaniesz dziadkiem. Będziemy cię często odwiedzać. Przez całe lata, aż skończysz dziewięćdziesiątkę.
- A potem co? Przestaniecie mnie odwiedzać?
- A potem umrzesz. Przede mną. Tak jak powinno być.

Nie odzywa się. Zmierzch powoli sączy się przez okno i cienie okrywają jego ramiona. Tata powoli znika.

- Wyprowadzisz się z tego domu i zamieszkas w mniejszym, nad brzegiem morza. Będę miała do niego klucze. Któregoś dnia otworzę drzwi, tak jak zwykle, ale zasłony zastane rozsunięte, a na wycieraczkę ujrzę pocztę. Pójdę na górę do twojej sypialni. Poczuję ogromną ulgę, kiedy zobaczę cię leżącego spokojnie na łóżku, i wybuchnę głośnym śmiechem. Rozsunę zasłony, a wtedy zauważę, że masz posiniąte usta. Dotknę twojego policzka. Będzie zimny. Tak jak i ręce. Zacznę wołać cię po imieniu, ale ty nie usłyszysz i nie otworzysz oczu.

Tata siada. Znowu płacze. Obejmuję go i klepię po plecach.

- Przepraszam. Wystraszyłam cię?
- Nie, nie. - Odsuwa się i przeciera oczy. - Lepiej pójdę posprzątać, zanim zrobi się ciemno. Mogę zostawić cię teraz samą?
- Jasne.

Obserwuję go z okna. Rozpadało się na dobre, więc wkłada kalosze oraz nieprzemakalną kurtkę. Idzie do szopy po miotłę i taczkę. Wkłada rękawice ogrodowe. Podnosi telewizor.

Zmiata kawałki szkła. Bierze karton i układa w nim książki. Zbiera nawet luźne kartki, które dygoczą na płocie.

Pojawia się Cal w szkolnym mundurku, z tornistrem i rowerem. Wygląda zdrowo i normalnie. Tata podchodzi do niego i przytula go na powitanie.

Cal rzuca rower i pomaga mu sprzątać. Wygląda jak poszukiwacz skarbów, kiedy podnosi kolejno pierścionki i ogląda je pod światło. Znajduje srebrny naszyjnik, który dostałam na ostatnie urodziny, i bransoletkę z bursztynów. Potem wygrzebuje jakieś śmieszne przedmioty – ślimaka, piórko, kamyk. Odkrywa błotnistą kałużę i wchodzi w nią obiema nogami. Tata się śmieje. Opiera się na miotle i głośno chichocze. Cal mu wtóruje. Deszcz będzie miękko o szybę, przesłaniając mi widok; ich sylwetki się rozmywają.

Rozdział 36

– Zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

Adam patrzy na mnie ponuro, siedząc na krawędzi krzesła.

– Było mi trudno.

– To znaczy, że nie zamierzałeś.

Wzrusza ramionami.

– Próbowałem kilka razy. Ale czułem, że to jest nie w porządku, jakbym nie miał prawa do życia.

Pochyliam się na łóżku.

– Tylko nie użalaj się nad sobą, bo i tak znajdziesz się w lepszej sytuacji.

– Wcale nie.

– Gdybyś chciał umrzeć razem ze mną, mam plan. Wybierzemy się na przejażdżkę motorem. Wystarczy, że przyspieszysz na ostrym zakręcie, gdy z naprzeciwka nadjedzie samochód, i gotowe. Będzie mnóstwo krwi, wspólny pogrzeb i nasze kości zostaną złączone na wieki. Podoba ci się?

Na jego twarzy maluje się takie przerażenie, że wybucham śmiechem. Czuję się tak, jakbym właśnie wyszła z gęstej mgły albo jakby słońce nagle zajaśniało do pokoju.

– Zapomnijmy o tym. Po prostu dowiedziałam się nie w porę.

– Wyrzuciłaś wszystko przez okno!

– Nie miałaś z tym nic wspólnego.

Opiera głowę na krześle i zamyka oczy.

– Nie.

Tata powiedział mu, że nie wrócę do szpitala. Wszyscy już wiedzą. Philippa przyjdzie rano, żeby omówić dalsze postępowanie, ale nie sądzę, żeby miało ono coś zmienić. Dzisiejsza transfuzja już jest wstanie mi pomóc.

– Jak było na uniwersytecie?

Wzrusza ramionami.

– Wielki kompleks, mnóstwo budynków. Zgubiłem się.

Ale cieszy się namysł o rozpoczęciu studiów. Widzę to w jego oczach. Wsiadł do pociągu i pojechał do Nottingham. Tyle miejsc zobaczył beze mnie.

– Spotkałeś jakieś dziewczyny?

– Nie!

– Czy nie po to ludzie idą na uniwersytet? Żeby kogoś poznać?

Wstaje z krzesła i siada na krawędzi łóżka. Patrzy na mnie bardzo poważnie.

- Wybieram się na studia dzięki tobie. Zanim cie poznałem, życie wydawało mi się pozbawione sensu. Wyjadę, bo nie chcę tu zostać, kiedy ciebie nie będzie. Nie chcę mieszkać z mamą i żyć tak, jak do tej pory. Gdyby nie ty, nie zdecydowałbym się na to
- Założę się, że zapomnisz o mnie do końca pierwszego semestru.
- Nie zapomnę.
- Tak już jest.
- Przestań! Czy muszę zrobić coś szalonego, żebyś mi wreszcie uwierzyła?
- Tak.

Uśmiecha się.

- Co proponujesz?
- Spełnij obietnicę.

Wyciąga rękę, żeby unieść kołdrę, ale powstrzymuje go.

- Najpierw zgaś światło.
- Dlaczego? Chcę cię widzieć.
- Zostały ze mnie tylko kości. Proszę.

Wzdycha, gasi górne światło i siada na łóżku. Chyba go wystraszyłam, bo nie próbuje się zbliżyć, tylko gładzi mnie przez kołdrę po nodze, od biodra do kostki, i po drugiej. Jego ręce są takie pewne. Wygląda to tak, jakby stroił instrument.

- Mógłbym spędzać całe godziny przy każdym fragmencie twojego ciała – mówi i śmieje się, próbując w ten sposób ukryć zmieszanie. - Jesteś niesamowita \

Pod jego dłońmi. To jego palce nadają kształt mojemu ciału.

- Mogę cię tak dotykać?

Kiwam głową, a on zsuwa się z łóżka, kłeka na dywanie i ujmuje w dłonie moje stopy, rozgrzewając je przez skarpetki.

Masuje mnie tak długo, że prawie usypiam, ale budzę się, kiedy zdejmuje mi skarpetki, unosi moje stopy na wysokość ust i całuje. Oblizuje każdy palec z osobna. Leciutko kąsa pięty. Wodzi po nich językiem.

Myślałam, że moje ciało nie potrafi już zdobyć się na namiętność, wykrzesać z siebie pragnienia, które ogarniało mnie dawniej w obecności Adama. Jestem zdziwiona, gdy to przychodzi. Wiem, że on czuje to samo. Zdejmuje koszulkę i zrzuca buty. Patrzymy na siebie, kiedy rozpina dżinsy.

Jest nieskończenie piękny – ostrzyżonymi włosami, krótszymi niż moje, linią pleców wygiętych w łuk, którą podziwiam, kiedy zdejmuje spodnie, z mięśniami wykształconymi dzięki pracy w ogrodzie.

- Wejdz do łóżka – mówię.

W pokoju jest ciepło, kaloryfery są rozkręcone do granic możliwości, a mimo to dygoczę z zimna, gdy unosi kołdrę i kładzie się obok. Jest ostrożny, nie chce mnie przygnieść swoim ciężarem. Opiera się na łokciu i całuje delikatnie w usta.

- Nie bój się mnie, Adamie.
- Nie boję się.

Ale to mój język odnajduje jego. To ja naprowadzam jego rękę na swoje piersi i zachęcam go, żeby rozpiął mi guzik.

Wydaje gardłowy, głęboki jęk, kiedy całuje mnie coraz niżej. Ujmuję w dłonie jego głowę. Głaszczę go po włosach, gdy delikatnie ssie moje sutki, tak jak mogłoby to robić niemowlę.

- Bardzo za tobą tęskniłam.

Przesuwa rękę po moim ciele do talii, brzucha i ud. Za dłonią podążają pocałunki, coraz

nżej i nżej, aż jego głowa znajduje się między moimi nogami. Wtedy patrzy na mnie, pytając wzrokiem o pozwolenie.

Wstrząsa mną myśl o tym, że mógłby mnie tak pocałować.

Jego głowa leży w cieniu, ramiona znajdują się pod moimi nogami. Czuję ciepły oddech na udach. Zaczyna bardzo powoli.

Gdybym potrafiła wierzgać jak zwierzę, wierzgałabym. Gdybym umiała wyć do księżyca, zawyłabym. Tylko w ten sposób mogłabym wyrazić uczucie, które mną zawładnęło. A kiedy już pomyślałam, że jest po wszystkim, moje ciało zasnęło. Więcej nie przeżyję takiej rozkoszy.

Dostałam łaski.

– Chodź tutaj. Podejź do mnie.

Widzę niepokój w jego oczach.

- Wszystko w porządku?
- Skąd wiedziałeś, jak to się robi?
- Podobało ci się?
- Byłam zachwycona!

Uśmiecha się, wyraźnie zadowolony.

- Widziałem to kiedyś na filmie.
- A ty? Nie zadbałeś o siebie?

Wzrusza ramionami.

- Nie szkodzi, jesteś zmęczona. Nie musimy robić nic więcej.
- Mógłbyś sam się sobą zająć.
- Przy tobie?
- Patrzyłabym na ciebie?

Rumieni się.

- Serio?
- Dlaczego nie? Będę potrzebowała wspomnień.

Uśmiecha się nieśmiało.

- Naprawdę chciałbyś?
- Naprawdę.

Kłęką. Nie mam już siły, ale mogę patrzeć.

Nigdy nie dzieliłam z nikim tak intymnej chwili, nie widziałam jeszcze takiego miłosnego oszołomienia, kiedy usta otwierają się a oczy patrzą szeroko.

- Kocham cię, Tesso! Cholernie cię kocham!

Rozdział 37

– Opowiedz mi, jak będzie.

Philippa kiwa głową, jakby spodziewała się takiego pytania. Ma dziwny wyraz twarzy – profesjonalny, chłodny. „Zaczyna się wycofywać” - myślę. Co innego mogłaby zrobić? Jej praca polega na pomaganiu umierającym, ale jeśli zanadto się zaangażuje, może spaść w otchłań.

- Nie będziesz miała apetytu, za to pewnie zechcesz więcej spać. Przejdzie ci ochota na długie rozmowy, chociaż niewykluczone, że znajdziesz w sobie dość siły na krótkie pogawędki między drzemkami. Może nawet przyjdzie ci do głowy, żeby zejść na dół wyjść na dwór, jeśli będzie ciepło albo jeśli tata da radę cię wynieść. Przeważnie jednak będziesz spała. Za kilka dni pojawią się chwile utraty

przytomności, ale cały czas będziesz zdawała sobie sprawę z obecności ludzi i słyszała, co do ciebie mówią. Na koniec po prostu odpłyniesz, Tesso.

- Czy będzie bolało?
- Myślę, że z tym damy sobie radę.
- W szpitalu wciąż czułam ból. Przynajmniej na początku.
- Tak – przyznaje. - Mieli problem z doborem odpowiednich leków. Ale mam dla ciebie siarczan morfiny, który stopniowo uwalnia się w organizmie. Dostałam też oramorph, który możemy stosować w razie potrzeby. Nie powinnaś odczuwać bólu.
- Myślisz, że będę się bała?
- Wydaje mi się, że nie da się w tej sytuacji mówić o dobrych lub złych reakcjach. - Widzi po mojej minie, że zaczyna pleść bzdury.
- Sądzę, że masz cholernego pecha, Tesso, i gdybym znalazła się na twoim miejscu, bałabym się jak diabli. Wierzę jednak, że jakkolwiek się zachowasz w ciągu ostatnich dni, będzie to właściwe.
- Nie mogę znieść, kiedy mówisz o dniach.

Marszy brwi.

- Wiem. Przepraszam.

Philippa opowiada jeszcze o środkach znieczulających i pokazuje mi tabletki oraz fiolki z lekami.

Ma łagodny głos. Jej słowa nie docierają do mnie, nie słyszę jej zaleceń. Czuję się tak, jakby wszystko redukowało się do poziomu zera, a całe moje życie było dziwnym wytworem wyobraźni. Urodziłam się i dorastałam po to, by usłyszeć, jak przebiega proces umierania, i dostać leki z rąk tej kobiety.

- Pragniesz jeszcze o coś zapytać, Tesso?

Zastanawiam się, czy chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Czuję się niezręcznie, tak, jakby Philippa przysłała na stację, żeby mnie pożegnać, i jakbyśmy obie czekały, aż przyjedzie pociąg i uwolni nas od przymusu podtrzymywania rozmowy.

Już czas.

Na zewnątrz jest rześki kwietniowy poranek. Świat będzie trwał beze mnie. Nie mam wyboru. Rak rozpanoszył się w całym moim ciele. Pożera je. Już nic nie można zrobić.

- Zejdę zaraz do twojego taty, a potem zajrzę jeszcze do ciebie – mówi pielęgniarka.
- Nie musisz.
- Wiem, ale zajrzę.

Gruba, dobra Philippa pomaga umrzeć wszystkim ludziom na trasie z Londynu do południowego wybrzeża. Wyciąga ręce i przytula mnie. Jest ciepła, spocona i pachnie lawendą.

Po jej wyjściu zapadam w sen. Wchodzę do salonu, w którym zgromadzeni są moi bliscy. Tata wydaje dźwięk, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałam.

- Dlaczego płaczesz? - pytam. - Co się stało?

Mama i Cal siedzą obok siebie na kanapie. Cal jest ubrany w garnitur i krawat. Wygląda jak mały gracz w snookera.

I nagle wszystko rozumiem – umarłam.

- Jestem tutaj, tutaj! - krzyczę, ale oni mnie nie słyszą.

Oglądałam kiedyś film o zmarłych. Nie odchodzili, tylko żyli cicho obok nas. Chcę dać

znak, że nadal tu jestem. Próbuję zrzucić ołówek ze stołu, jednak moja ręka przenika go, podobnie jak kanapę. Przechodzę przez ścianę i wracam tą samą drogą. Zagłębiam palce w głowie taty, a on zachowuje się tak, jakby nagle przeszedł go dreszcz.

Budzę się.

Tata siedzi na krześle przy łóżku. Bierze mnie za rękę.

– Jak się czujesz?

Zastanawiam się przez chwilę i próbuję poczuć całe ciało.

– Nic mnie nie boli.

– To dobrze.

– Jestem trochę zmęczona.

Kiwa głową.

– Zjadłabyś coś?

Chciałabym mieć apetyt. Dla niego. Chciałabym poprosić o ryż, krewetki i pudding polany słodkim syropem, ale wówczas bym skłamała.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Chcesz czegoś?

Chcę zobaczyć dziecko Zoey. Skończyć szkołę. Dorosnąć. Podróżować po świecie.

– Zrobić ci herbaty?

Tata wydaje się zadowolony, gdy przytakuję.

– Może coś jeszcze? Herbatniki?

– Długopis i papier.

Pomaga mi usiąść. Poprawia poduszki, zapala lampkę przy łóżku, podaje mi notes i długopis z pólki. Potem schodzi do kuchni, żeby włączyć czajnik.

Numer jedenasty. Filiżanka herbaty.

Numer dwunasty...

Instrukcje dla taty

Nie chcę trafić do lodówki w zakładzie pogrzebowym. Zatrzymaj mnie w domu. Proszę, żeby ktoś przy mnie siedział, na wypadek gdybym poczuła się samotna. Obiecuję, że nie będę was straszyć.

Chcę zostać pochowana w sukience w motyle, staniku w kolorze bzu, majtkach od kompletu i czarnych kozakach na zamek błyskawiczny (wszystko jest w walizce spakowanej na Sycylię). Włóżcie mi też bransoletkę, którą dostałam od Adama.

Nie malujcie mnie. Makijaż wygląda idiotycznie na twarzach zmarłych.

NIE chcę zostać skremowana. Kremacja zanieczyszcza atmosferę dioksynami, kwasem wodorowym i chlorowym, fluorowodorowym, dwutlenkiem siarki i węgla. Poza tym w krematoriach mają okropne kotary,

Chcę leżeć w trumnie wierzbowej, która ulega biodegradacji. Pochowajcie mnie w lesie.

Wraz z ludźmi z Ośrodka Śmierci Naturalnej wybrałam miejsce niedaleko naszego domu; pomogą Ci wszystko zorganizować.

Chcę, żebyś zasadził jakieś miejscowe drzewo na moim grobie albo tuż obok. Może to być dąb, ale nie mam nic przeciwko orzechowi włoskiemu ani, na przykład, wierzbie. Zróbcie drewnianą tabliczkę z moim imieniem i nazwiskiem. Na grobie niech rosną dzikie rośliny i kwiaty.

Uroczystość ma być skromna. Powiedz Zoey, żeby przyniosła Lauren (jeśli się urodzi).

Zaproś Philippę z mężem Andym (jeśli on zachce przyjść) i Jamesa ze szpitala (choć może być zajęty).

Nie chce, żeby przemawiali ci, którzy mnie nie znali. Ludzie z Ośrodka Śmierci Naturalnej wezmą udział w pogrzebie, ale nie będą się wtrącać. Niech zabiorą głos ci, których kocham, wolno Wam nawet płakać. Tylko, proszę mówcie prawdę. Możesz oznajmić, że byłam potworem i kazałam Wam skakać wokół siebie. Jeśli przyjdzie Ci do głowy coś dobrego, też o tym wspomnij. Najlepiej zapisz sobie wszystko wcześniej, ludzi często zapominają, co chcieli powiedzieć na pogrzebie.

Pod żadnym pozorem nie czytajcie wiersza Audena. Jest śmiertelnie nudny (ha ha) i zbyt smutny. Niech ktoś przeczyta XII sonet Szekspira.

Muzyka - „Blackbird” Beatlesów, „Plainsong” The Cure, „Live Like You Were Dying” Tima McGrawa, „All the Trees of the Field Will Cap Their Hands” Suffjana Stevensa. Może nie starczy czasu na wszystkie utwory, ale zadbaj o to, żeby puścili ten ostatni. Zoey pomagała mi wybierać muzykę i ma to wszystko na iPodzie (ma też głośniki, gdybyś chciał pożyczyć).

Po wszystkim idźcie do pubu na lunch. Zostało mi na koncie 260 funtów i chciałbym, żebyście wydali je na poczęstunek. Mówię serio – ja stawiam. Zamów pudding (gęste toffi), ciasto czekoladowe, lody kremowe, czyli same niezdrowe rzeczy. Możesz się upić, jeśli chcesz (tylko nie wystrasz Cala). Wydaj całą forszę.

Później, w ciągu następnych dni, wypatruj znaków ode mnie. Mogę napisać coś na zaparowanym lustrze, kiedy będziesz się kąpał, albo bawić się liśćmi jabłoni, gdy przysiądziesz w ogrodzie. Lub prześlizgnę się do twoich snów.

Odwiedzaj mój grób, kiedy zdołasz, ale nie rób sobie wyrzutów, jeśli nie dasz rady albo będziesz miał za daleko, bo się wyprowadzicie. To miejsce ładnie wygląda jesienią (sprawdź w internecie). Możesz tam urządzić piknik i posiedzieć ze mną. Będzie mi miło.

Kocham Cię.

Całuję, Tessa.

Rozdział 38

- Będę jedynym dzieckiem w szkole, któremu umrze siostra.
- Fajnie. Zwolnią cie z odrabiania lekcji, a wszystkie dziewczyny zaczną się za tobą oglądać.

Cal zastanawia się przez chwilę.

- Ale nadal będę bratem?
- Oczywiście.
- Tylko, że ty nie będziesz już o tym wiedziała.
- Spokojna głowa.
- A będziesz mnie straszyć?
- Chciałbyś?

Uśmiecha się nerwowo.

- Chybabym się bał.
- To nie będę.

Nie może usiedzieć w miejscu, chodzi w tę i z powrotem, od łóżka do szafy. Nasze relacje zmieniły się od czasu mojego pobytu w szpitalu. Nie żartujemy tak swobodnie jak dawniej.

- Wyrzuć telewizor przez okno, jeśli chcesz, Cal. Mnie to poprawiło samopoczucie.
- Nie chcę.

- To pokaż mi jakąś sztuczkę.

Wybiega z pokoju po przyrządy i wraca w czarnej marynarce z ukrytymi kieszeniami.

- Patrz uważnie.

Związuje dwie jedwabne chustki za rągi i upycha je w zamkniętej pięści. Potem otwiera ją palec po palcu. Jest pusta.

- Jak to zrobiłeś?

Kręci głową i dotyka czubka nosa czubkiem różdżki.

- Czarodzieje nie zdradzają swoich sekretów.
- Zrób to jeszcze raz.

Ale cal już tasuje karty i rozkłada je przede mną.

- Wybierz jedną, zapamiętaj ją i nic nie mów.

Wyciągam królową trefl i wkładam ją z powrotem do talii. Cal znów rozkłada wszystkie karty, tym razem są odsłonięte. Królowa trefl znikła.

- Dobry jesteś!

Rzuca się na łóżko.

- To za mało. Chciałbym umieć zrobić coś poważniejszego, coś przerażającego.
- Możesz mnie przeciąć piłą na pół, jeśli chcesz.

Uśmiecha się, ale niemal w tej samej chwili zaczyna płakać. Najpierw cicho, a potem łka coraz głośniej. O ile pamiętam, płacze po raz drugi w życiu, więc pewnie jest to mu potrzebne. Oboje odbieramy ten płacz jak coś, co nie ma nic wspólnego z jego uczuciami. Przyciągam go do siebie i trzymam w ramionach. Płacze wtulony we mnie, jego łzy moczą mi piżamę. Mam ochotę je zlizać. Jego prawdziwe, najprawdziwsze łzy.

- Kocham cię, Cal.

To łatwe. Cieszę się, że odważyłam się to powiedzieć, mimo że teraz płacze dziesięć razy głośniej.

Numer trzynasty na mojej liście – trzymać w ramionach brata, kiedy zmierzch podpełza pod okno.

Adam wchodzi do łóżka. Podciąga kołdrę pod brodę, jakby zmarzył albo bał się, że sufitu spadnie mu na głowę.

- Jutro twój tata kupi łóżko polowe i ustawi je tutaj dla mnie – mówi.
- Nie będziesz spał obok mnie?
- Możesz nie mieć na to ochoty, Tesso. Nie będziesz chciała, żebym cały czas trzymał cię w ramionach.
- A jeśli będę chciała?
- To będę cię trzymał.

Jest przerażony. Widzę to w jego oczach.

- W porządku, pozwalam ci odejść.
- Ćśśśś.
- Naprawdę, jesteś wolny.
- Nie chcę takiej wolności. - Pochyla się i całuje mnie. - Obudź mnie, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Zasypiam szybko. Leżę w łóżku i słucham, jak w całym mieście gasną światła. Ludzie życzą sobie dobrej nocy. Słyszę skrzypienie sprężyn w łóżkach.

Odnajduje rękę Adama i mocno ją ściskam.

Cieszę się z istnienia nocnych portierów, dyżurnych pielęgniarek i kierowców ciężarowej.

Podtrzymuje mnie na duchu myśl, że w innych krajach, w innej sferze czasowej, kobiety właśnie piorą ubrania w rzekach, a dzieci idą do szkoły. Gdzieś daleko jakiś chłopiec słyszy wesoły dźwięk dzwonka zawieszzonego na szyi kozła i idzie w góry. Napawa mnie to otuchą.

Rozdział 39

Zoey szyje. Nie wiedziałam, że umie. Rozłożyła na kolanach cytrynowe śpioszki dla dziecka. Nawleka igłę, przymykając jedno oko, przeciąga nitkę i wiąże supełek poślinionymi palcami. Kto ją tego nauczył? Obserwuję ją kilka minut. Szyje z taką wprawą, jakby zawsze umiała to robić. Jasne włosy upięła wysoko na głowie, a jej kark wygina się we wdzięczny łuk. Zoey przygryza dolną wargę w skupieniu.

– Żyj – mówię. - Będziesz żyła, prawda?

Nagle podnosi wzrok i wysysa krew z małej ranki na palcu.

– Cholera! Nie wiedziałam, że nie śpisz.

Chichoczę.

– Rozkwitasz.

– Jestem gruba! - Prostuje się na krześle i wystawia brzuch w moją stronę, żeby mi to udowodnić. - Jestem wielka jak niedźwiedzica.

Chciałabym być tym dzieckiem spoczywającym w jej łonie. Malutkim i zdrowym.

Instrukcje dla Zoey

Nie mów swojej córeczce, że nasza planeta gnije. Pokazuj jej piękne rzeczy. Bądź dla niej olbrzymką, nawet jeśli Twoi rodzice nie potrafili być tacy dla Ciebie. Nie zadawaj się z chłopakami, którzy nie będą Cię kochali.

– Myślisz, że po narodzinach dziecka będziesz tęskniła za dawnym życiem?

Zoey patrzy na mnie z powagą.

– Powinnaś się ubrać. Nie marnuj czasu na spędzanie dni w piżamie.

Opadam na poduszki i spoglądam w kąty pokoju. Kiedy byłam mała, zawsze chciałam mieszkać na suficie – wydawał się taki czysty i przestronny jak wierzch tortu. Teraz przypomina mi tylko prześcieradła.

– Czuję, że cie zawiodłam. Nie będę mogła pomagać ci w opiece nad małą.

– Ładny dzień – oświadcza Zoey. - może poproszę Adama albo twojego tatę, żeby cię wynieśli na zewnątrz?

Na trawniku zebrało się stadko ptaków. Na niebie wiszą pierzaste obłoczki. W pokoju jest jasno i ciepło, jakby godzinami gromadził promienie słońca.

Zoey czyta czasopismo, Adam głaszcze moje stopy przez skarpetki.

– Posłuchajcie – prosi Zoey. - Ten dowcip zajął pierwsze miejsce w konkursie na

najlepszy kanał roku.

Numer czternasty na mojej liście – dowcip.

- Przychodzi facet do lekarza i mówi: „Mam truskawkę w tyłku”. „Och- odpowiada lekarz. - Dam panu trochę kremu”.

Wybucham śmiechem. Jestem śmiejącym się szkieletem. Zachowywanie naszej trójki – Adama, Zoey i moje – świadczy o tym, że wszystko może się zdarzyć.

Zoey podaje mi swoje dziecko.

- Ma na imię Lauren.

Jest tłusciutka, lepi się i ocieka mlekiem. Ładnie pachnie. Macha do mnie rączkami, chwytając powietrze. Małe paluszki z paznokietkami w kształcie półksiężyców pakuje mi do nosa.

- Cześć, Lauren.

Mówię jej, jaka jest duża i mądra. Wygaduję głupstwa, myśląc, że małe dzieci to lubią. Przygląda mi się bezdennymi oczami i ziewa szeroko. Zaglądam w głąb jej buzi przez maleńkie różowe usta.

- Lubi cię – stwierdza Zoey. - Wie, kim jesteś.

Trzymam Lauren Tessę Walker w ramionach i głaszczę ją po plecach. Słucham bicia jej serca. Jest ostrożnie i zdeterminowane. Lauren wydaje się niesamowicie ciepła.

Pod jabłónką tańczą cienie. Słońce prześwituje przez konary. Z oddali dobiega warkot kosiarki. Zoey wciąż czyta swoje czasopismo, ale odkłada je, gdy spostrzega, że się obudziłam.

- Długo spałaś – stwierdza.
- Śniło mi się, że Lauren się urodziła.
- Była śliczna?
- Oczywiście.

Adam podnosi głowę i uśmiecha się do mnie.

- Cześć – mówi.

Tata idzie w naszą stronę z kamerą, nagrywa nas.

- Przestań- proszę. - To chore.

Odnosi kamerę do domu i wraca z kartonowym pudełkiem na odpady. Stawia je przy furtce i obcina głowy kwiatom.

- Usiądź z nami, tato.

Ale on nie może usiedzieć w spokoju. Idzie do domu i wraca z miską winogron, czekoladą i szklankami z sokiem.

- Czy ktoś ma ochotę na kanapkę?

Zoey kręci przecząco głową.

- Mnie wystarczą winogrona.

Podoba mi się, jak wysysa z nich sok.

Czary odpędzające śmierć.

Poproś najlepszą przyjaciółkę, żeby przeczytała ci jakieś soczyste kawałki ze swojego czasopisma – dotyczące mody, plotki. Zachęć ją, żeby usiadła tak blisko ciebie, żebyś mogła dotknąć jej zadziwiająco wielkiego brzucha. A kiedy będziesz musiała już iść do domu, weź

głęboki oddech i powiedz, że ją kochasz. Przecież to prawda. Kiedy pochyli się nad tobą i szepnie ci to samo, przytul ją mocno, bo nie są to słowa, których normalnie ludzie używają. Poproś brata, żeby usiadł przy tobie po powrocie ze szkoły i opowiedział ci ze szczegółami jak spędził cały dzień. Niech mówi o każdej lekcji, każdej rozmowie, nawet o tym, co jadł na obiad, do chwili, aż będzie tak znudzony, że zacznie błagać, żebyś pozwoliła mu pójść pograć w piłkę z kolegami.

Obserwuj mamę, jak zrzuca buty i masuje sobie stopy, bo nowa praca w księgarni wymaga od niej uprzejmości i radosnego uśmiechu na twarzy, mimo że stoi na nogach cały dzień. Okazuj wesołość, kiedy widzisz, jak ofiarowuje tacie książkę, którą kupiła, ponieważ przysługuje jej rabat.

Patrz, jak tata całuje ją w policzek. Obserwuj ich uśmiechy. Wiedz, że cokolwiek się zdarzy, pozostaną twoimi rodzicami.

Słuchaj, jak twoja sąsiadka nuci pod nosem jakaś starą piosenkę, pieląc róże w ogródku. Cienie wydłużają się na trawniku, a ty leżysz pod kocem ze swoim chłopakiem. Powiedz mu, że jesteś z niego dumna, bo założył ogród i znalazł matce zajęcie.

Obserwuj księżyc. Znajduje się całkiem blisko, otoczony różową poświatą. Twój chłopak twierdzi, że to złudzenie, a księżyc wydaje się duży tylko dlatego, że jest zwrócony do ziemi pod pewnym kątem.

Zmierz się na tle księżyca.

Nocą, kiedy już zniosą cie na górę i kolejny dzień dobiegnie końca, nie pozwól swojemu chłopakowi zasypiać na łóżku polowym. Powiedz mu, że chcesz, żeby cie tulił w ramionach, i nie obawiaj się, że nie ma na to ochoty. Wystarczy, że się zgodzi, a będziesz wiedziała, że cie kocha, i nic prócz tego się nie liczy. Spleć swoje nogi z jego nogami. Obserwuj, jak zasypia, wsłuchaj się w jego delikatny oddech.

A kiedy usłyszysz dźwięk przypominający cichy łopot latawca, szelest ramion wiatraka na słabym wietrze, powiedz „Jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz”.

Oddychaj. Nie przestawaj oddychać. To proste. Wdech i wydech.

Rozdział 40

Zaczyna się rozjaśniać. Absolutna ciemność powoli mija. Mam sucho w ustach. W gardle pozostał proszek po wieczornych lekach.

– Cześć – mówi Adam.

Ma erekcję, przeprasza z nieśmiałym uśmiechem, a potem rozsuwa zasłony i wygląda za okno. Za nim rozciągają się różowe poranne obłoki.

– Zostaniesz tu jeszcze długie lata beze mnie – oznajmiam.

– Zrobić śniadanie? - pyta.

Wraca z tacą jak lokaj. Niesie cytrynowego loda, butelkę z gorącą wodą, plasterki pomarańczy ułożone na talerzu. Podaje mi drugi koc. Układa kawałki cynamonu na piecyki, bo chcę poczuć zapach świąt Bożego Narodzenia.

Dlaczego to się stało tak szybko? Jak to się mogło stać?

proszę chodź do łóżka połóż się na mnie i otul mnie swoim ciepłem sprawa żebym w twoich ramionach znalazła ukojenie

- Mama ustawia pergolę – opowiada Adam. - Najpierw chciała mieć zielnik, potem róże, a teraz sadi wiciokrzew. Pójdę jej pomóc, kiedy przyjdzie do ciebie tata. Zgadzasz się?
- Jasne.
- Może wyjdiesz do ogrodu?
- Nie.

Nie chcę żeby mnie ruszali. Słońce przenika do mózgu i wszystko mnie boli.

ten świr każe wszystkim wyjść na pole i mówi wybiorę jedno z was tylko jedno z was umrze każdy myśli że to na pewno nie będzie on ponieważ są nas tysiące i jest to statystycznie bardzo mało prawdopodobne ale świr przechadza się i przygląda nam po kolei kiedy zbliża się do mnie waha się i uśmiecha a potem celuje palcem w moją pierś i mówi ty przeżywasz szok nie mogę uwierzyć że właśnie mnie wybrał ale przecież spodziewałam się tego

Wpada Cal.

- Mogę wyjść?

Tata wzdycha.

- Dokąd?
- Na dwór.
- A dokładniej?
- Dam ci znać, kiedy będę na miejscu.
- To nie wystarczy.
- Każdy może czasem wyjść.
- Nie interesuje mnie każdy.

Cal wspaniale się wścieka. Ma żdzbła trawy we włosach i brudne paznokcie. Jego ciało jest tak mocne, że może otworzyć drzwi na oścież i zatrzasnąć je za sobą.

- Wszyscy jesteście świniami! - wrzeszczy, zbiegając po schodach.

Instrukcje dla Cala

Nie umieraj młodo. Nie choruj na zapalenie opon mózgowych, AIDS ani nic innego. Bądź zdrowy. Nie bierz udziału w żadnych walkach, nie wstępuj do sekt, nie popadaj w fanatyzm religijny ani nie trać serca dla kogoś, kto nie jest tego wart. Nie sądź, że musisz zachowywać się grzecznie, bo tylko ty zostałeś. Bądź niegrzeczny, jak tylko zechcesz.

Biorę tatę za rękę. Jego palce przypominają surowe mięso, naskórek jest całkiem starty.

- Co z nimi zrobiłeś?

Wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Nawet nie zauważyłem.

Dalsze instrukcje dla taty – niech Cal ci wystarczy.

Kocham cię. Kocham. Wysyłam tę wiadomość przez palce do jego dłoni, wzdłuż ramienia, aż do serca. Usłysz mnie. Kocham Cię. Przepraszam, że cię zostawiam.

Budzę się kilka godzin później. Jak to się stało?

Wraca Cal, siada obok mnie na łóżku zasłanym poduszkami.

- Przepraszam, że krzyczałem.
- Tata kazał ci mnie przeprosić?

Kiwa głową. Zasłony są rozsunięte, a mimo to ciemność wróciła.

- Boisz się? - pyta miękko, jakby mimowolnie powiedział coś, o czy myślał.
- Boje się zasypiać.
- Bo możesz się już nie obudzić?
- Tak.

Cal ma błyszczące oczy.

- Ale wiesz, że to się nie stanie dzisiejszej nocy, prawda? Będziesz wiedziała, tak?
- Nie dzisiejszej nocy.

Opiera głowę na moim ramieniu.

- Nienawidzę tego, nienawidzę – mówi.

Rozdział 41

Dzwonek, który mi dali, głośno rozbrzmiewa w ciemnościach, ale trudno. Wchodzi Adam z nie przytomnym wzrokiem, w bokserkach i koszulce.

- Zostawiłeś mnie samą.
- Na sekundę, poszedłem zaparzyć herbatę.

Nie wierzę mu. I nie obchodzi mnie jego herbata. Jeśli był spragniony, mógł napić się letniej wody z mojego kubka.

- Potrzyмай mnie za rękę. Nie puszczaj.

Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, spadam. Spadam bez końca.

Rozdział 42

Wszystko każdego dnia jest takie samo – światło sączące się przez zasłony, odległy szum ruchu na ulicy, grzejnik na wodę. Mógłby to być Dzień Świstaka, gdyby nie to, że moje ciało robi się coraz bardziej zmęczone, a skóra bardziej przezroczysta. Jestem mniejsza niż wczoraj.

Adam leży na łóżku polowym.

Próbuję usiąść, ale nie mam siły.

- Dlaczego tam spałeś?

Dotyka mojej ręki.

– Bolało cie w nocy.

Rozsuwa zasłony tak samo, jak robił to wczoraj. Wygląda przez okno. Za nim rozciąga się blade, rozmyte niebo.

kochaliśmy się dwadzieścia siedem razy i spędziliśmy w jednym łóżku sześćdziesiąt dwie noce a to dużo miłości

– Śniadanie? - pyta.

Nie chcę umierać.

Za krótko byłam kochana.

Rozdział 43

Mama rodziła mnie przez czternaście godzin. Był wtedy najgorętszy maj w historii. Panowały tak wysokie temperatury, że przez pierwsze dwa tygodnie życia wcale mnie nie ubierała.

– Układałam cie na swoim brzuchu i spałyśmy tak godzinami – mówi. - W tym upale nie można było robić niczego innego.

Wspomnienia układają się w szarady.

– Jeździłam z tobą autobusem do taty w czasie jego przerwy na lunch. Siadałaś mi na kolanach i patrzyłaś na ludzi. Miałaś wręcz hipnotyzujące spojrzenie. Wszyscy to komentowali.

Światło jest niezwykle jasne. Wpada przez okno szerokim strumieniem i ląduje na łóżku. Mogę położyć rękę na słońcu bez przemieszczania się.

– A pamiętasz, jak pojechaliśmy do Cromer i zgubiłaś taka śliczną bransoletkę na plaży?

Przyniosła zdjęcie i ogląda je po kolei.

Zielono-białe popołudnie, trawa usłana stokrotkami.

Kredowe światło zimy na miejskiej farmie.

Żółte liście, ubłocone buty i czarne wiadro.

– Pamiętasz, co złapałaś?

Philippa powiedziała, że słuch zacznę tracić na końcu. Nie uprzedziła mnie jednak, że będę widziała w kolorach słowa wypowiedane przez innych.

Zdania tworzą w pokoju kolorowe łuki przypominające tęcze.

Mąci mi się w głowie Siedzę przy łóżku i to mama umiera, a nie ja. Odchylam pościel, żeby jej się przyjrzeć. Widzę nagą, starą, pomarszczoną kobietę z siwymi włosami łonowymi.

Opląkuje psa, którego potrafił samochód. Pochowałam go. Nigdy nie mieliśmy psa. To nie są moje wspomnienia.

Jestem mama przejeżdżającą przez miasto na kucyku, żeby spotkać się z tatą. Mieszka on w osiedlu domów komunalnych. Usiłuję wejść do windy razem z kucem, żeby pojechać na ósme piętro. Konik postukuje podkowami, które wydają metaliczny dźwięk. Rozśmiesza mnie to.

Mam dwanaście lat. Wracam do domu ze szkoły i widzę mamę na schodach przed wejściem. Jest w płaszczu, u stóp postawiła walizkę. Podaje mi kopertę.

– Oddaj ją tacie, kiedy wróci.

Całuje mnie na pożegnanie. Odprowadzam ją wzrokiem, dopóki nie dotrze do linii horyzontu na szczycie pagórka i nie zniknie jak obłok dymu.

Rozdział 44

To światło łamie mi serce.

Tata popija herbatę przy łóżku. Chcę mu powiedzieć, że przegapi GMTV, ale nie jestem tego pewna. Nie wiem, która godzina.

Przyniósł też coś na przekąskę. Kremowe krakersy z sosem piccalilli i stary, dojrzały cheddar. Chciałbym mieć na to apetyt. Poczuc smak – kruchość i twardość.

Odstawia talerz, kiedy zauważa, że mu się przyglądam. Bierze mnie za rękę.

– Moja piękna dziewczyna – szepcze.

Dziękuję mi.

Ale moje usta nie poruszają się i on nie słyszy.

Potem mówię: właśnie wspominałam kosz do piłki, który dla mnie zrobiłeś, kiedy wstąpiłam do szkolnej drużyny. Pamiętasz, że pomyliłeś się w pomiarach i umieściłeś go wyżej, niż należało? Tak często przy nim ćwiczyłam, że w szkole zawsze rzucałam za wysoko i w końcu mnie wywalili z drużyny.

Tego chyba też nie słyszy.

W takim razie powiem więcej.

Tato, grałeś ze mną w palanta, mimo że go nie znosiłeś, wolałeś krykieta. Nauczyłeś się, jak dbać o kolekcję znaczków, bo ja chciałam się tego nauczyć. Godzinami siedziałeś w szpitalach i nigdy się nie skarżyłeś. Czesaleś moje włosy, choć powinna to robić matka. Zrezygnowałeś dla mnie z pracy i przyjaciół, poświęciłeś mi cztery lata życia. Ani razu nie narzekałeś. Nigdy. Pozwoliłeś mi mieć Adama. Pozwoliłeś mi zrealizować moja listę. To było szaleństwo. Tak bardzo chciałam mieć wszystko. A ty nigdy nie powiedziałeś: „Dość. Przestań”.

Już dawno chciałam ci to powiedzieć.

Cal zagląda do pokoju.

– Cześć – rzuca. - Jak się czujesz?

Mrugam do niego.

Siada na krześle i mi się przygląda.

– Nie możesz mówić?

Chcę mu powiedzieć, że, oczywiście, mogę. Zgłupiał czy co?

Wzdycha, wstaje i podchodzi do okna.

- Myślisz, że jestem za mały, żeby mieć dziewczynę? - pyta.

Oświadczam, że tak.

- Moi kumple już mają dziewczyny. Ale nie umawiają się z nimi. Wymieniają się SMS-ami. - Potrząsa głową z niedowierzaniem. - Nigdy nie zrozumie, na czym polega miłość.

Myślę jednak, że on już rozumie. Lepiej niż większość ludzi.

- Cześć, Cal – rzuca Zoey.
- Cześć – odpowiada.
- Przyszłam się pożegnać. To znaczy, wiem, że już się pożegnałam, ale pomyślałam, że zrobię to jeszcze raz.
- Dlaczego? - pyta. - Dokąd się wybierasz?

Lubię ciężar marnej ręki w mojej dłoni.

- Gdybym tylko mogła się z tobą zamienić, zrobiłabym to – mówi. Potem dodaje: - Chciałbym móc cie ocalić.

Chyba myśli, że jej nie słyszę.

- Mogłabym napisać opowiadanie dla jednej z gazet o tym, jak trudno było mi cie zostawić. Nie chcę, żebyś myślała, że łatwo mi to przyszło.

Kiedy miałam dwanaście lat szukałam Szkocji na mapie i zobaczyłam że powyżej Zatoki leżą Wyspy Orkney wiedziałam że znajdują się łodzie które zabiorą mamę jeszcze dalej ode mnie

Instrukcje dla mamy

Nie porzucaj Cala. Nie uciekaj od niego, żeby wrócić do Szkocji. Nie myśl, że jakkolwiek mężczyzna może się stać od niego ważniejszy. Będę Cie straszyć, jeśli to zrobisz. Będę przesuwać meble, rzucać w Ciebie różnymi przedmiotami i sprawię, że popadniesz w obłąd ze strachu. Bądź miłą dla taty. Poważnie. Obserwuj Cię.

Podaje mi łyk wody z lodem. Delikatnie kładzie mokrą flanelę na moim czole. Potem mówi:

- Kocham cię.

Słowa jak dwie krople krwi spadające na śnieg.

Rozdział 45

Adam kładzie się na łóżku polowym, które skrzypi. Potem przestaje.

Pamiętam, jak ssal moja pierś. To było niedawno. Leżeliśmy w tym samym pokoju, w moim

łóżku, obejmowałam go ramieniem, a on opierał się o mnie i czułam się jak jego matka. Obiecał, że zostanie ze mną do samego końca. Zmusiłam go do tej obietnicy. Ale nie sądziłam, że będzie leżał grzecznie jak harcerzyk. Nie wiedziałam, że dotyk zacznie sprawiać mi ból, a on poczuje się zby przerażony, żeby trzymać mnie za rękę.

Powinien być teraz na mieście z jakąś dziewczyną o ślicznych krągłościach i piersiach jak pomarańcze.

Instrukcje dla Adama

Troszcz się tylko o siebie. Idź na uniwersytet, mniej mnóstwo przyjaciół i upijaj się. Gub klucze. Śmiej się. Jedz makaron na śniadanie. Zawalaj wykłady. Bądź nieodpowiedzialny.

- Dobranoc, Tesso – mówi Adam.
- Dobranoc, Adamie.

- Dzwoniłem do pielęgniarki. Powiedziała, że powinniśmy podawać oramoeph oprócz morfiny.
- Nie pogorszy się jej od tego?
- Poradzimy sobie.
- Dzisiaj znowu wołała mamę, kiedy rozmawiał pan przez telefon.

Rozmyślałam o pożarze i kłębach dymu, i dzwonach bijących jak oszalałe na alarm, i o zdziwieniu malującym się na twarzach ludzi, jakby coś zostało im skradzione.

- Posiedzę przy niej, jeśli chcesz, Adamie. Idź pooglądać telewizję albo zdrzemnij się trochę.
- Obiecałem, że jej nie zostawię.

Jakby światła gaśły kolejno, jedno po drugim.

krople deszczy spadają miękko na piasek i na bose stopy a tata nadal buduje zamek na plaży oboje z Calem nabieramy morskiej wody do wiadra i wlewamy ja do fosy a potem kiedy wchodzi słońce umieszczamy flagi na wieżach żeby łopotały na wietrze i kupujemy lody w budce na skraju wydm tata siada z nami przy brzegu i razem staramy się odpychać fale żeby nie zatopiły mieszkańców zamku

- Idź, Adami. Nie pomożemy jej, jeśli będziemy wyczerpani.
- Nie zostawię jej.

w wieku czterech lat o mało mnie nie zsunęłam się w głąb szyby kopalni cyny kiedy miałam pięć lat samochód wpadł w poślizg na autostradzie a jako siedmioletnia dziewczynka podczas wakacji przeżyłam wybuch gazu w naszej przyczepie kempingowej, którego nikt początkowo nie zauważył.

Umierałam przez całe życie.

- Jest spokojniejsza.
- Hmm.

Docierają do mnie tylko fragmenty zdań. Słowa chowają się w szczelinach, znikają na wiele godzin, a potem wlatują z powrotem i kładą się na mojej piersi.

- Jestem ci wdzięczny.
- Za co?
- Za to, że nie uciekłeś. Większość chłopców na twoim miejscu zwałby, gdzie pieprz rośnie.
- Kocham ją.

Rozdział 46

- Cześć – mówi Adam. - Obudziłaś się.

Pochyla się nade mną i zwilża mi usta gąbką. Potem osusza je flanelowym ręcznikiem i smaruje wazeliną.

- Masz zimne ręce. Potrzymam je, rozgrzeję, dobrze?

Cuchnę. Puszczam śmierzące bąki. Słyszę tykanie mojego ciała, które pozera samo siebie. Zapadam się, coraz bardziej się zapadam.

Punkt piętnasty na mojej liście – wstać z łóżka i zejść po schodach. Żartowałam.

Dwieście dziewiąty – wyjść za mąż za Adama.

Trzydziesty – iść do szkoły na zebranie, nasze dziecko to geniusz. Cała trójka jest genialna. Chester, Merlin i Daisy.

Pięćdziesiąty pierwszy, drugi, trzeci – otworzyć oczy. Cholera, otwórz oczy.

Nie mogę. Spadam.

Czterdziesty czwarty – nie spać. Nie chcę spać. Boję się.

Czterdziesty piąty – nie spadać.

Myśl o czymś. Nie umrę, jeśli będę myślała o gorącym oddechu Adama między moimi udami.

Nie mogę uchwycić się żadnej myśli.

Jak drzewo gubiące liście.

Zapominam, o czym myślałam.

- Dlaczego ona wydaje takie dźwięki?
- Pochodzą z płuc. Gromadzi się w nich płyn, ponieważ Tessa nie może się ruszać.
- Brzmi okropnie.
- W rzeczywistości nie dzieje się nic strasznego.

Czy to Cal? Słyszę trzask wieczka. Otwiera puszkę coli.

- Co robi tata? - pyta Adam.
- Rozmawia przez telefon. Chce, żeby mama przyjechała.
- To dobrze.

Cal, co się dzieje z ciałem po śmierci?

Pył, blask, deszcz.

- Myślisz, że ona nas słyszy?
- Na pewno.
- Bo mówię jej różne rzeczy.
- Jakie?
- Nie twoja sprawa!

układ słoneczny powstał na skutek wielkiego wybuchu i wtedy uformowała się ziemiaa dopiero potem mogło pojawić się na niej życie kiedy ustały deszcze i zgasł ogień narodziły się ryby potem owady płazy dinozaury ssaki ptaki naczelne i wreszcie ludzie

- Jesteś pewien, że ona powinna wydawać takie dźwięki?
- Myślę, że wszystko w porządku.
- Ale coś się zmieniło.
- Cicho, nie słyszę.
- Brzmi gorzej. Jakby nie mogła oddychać.
- Cholera!
- Czy ona umiera?
- Biegnij po tatę, Cal. Szybko!

mały ptaszek przenosi górę z piasku po jednym ziarenku bierze ziarenko raz na milion lat a kiedy cała góra zostaje przeniesiona ptaszek układa ją z powrotem i właśnie tak długo trwa wieczność to znaczy że bardzo długo będę martwa

Może wrócę jako ktoś inny.

Będę dziewczyną z burzą wspaniałych włosów, którą Adam pozna w ciągu pierwszego tygodnia na uniwersytecie.

- Cześć, ty też studiujesz ogrodnictwo?

- Jestem tutaj, Tesso. Jestem przy tobie i trzymam cie za rękę. Adam też tu jest, siedzi po drugiej stronie łóżka. I Cal. Mama już jedzie, będzie lada chwila. Kochamy cię, Tesso. Jesteśmy z tobą wszyscy.

- Nie mogę znieść tych dźwięków. Brzmi to tak, jakby ją bolało.
- Nie odczuwa bólu, Cal. Jest nieprzytomna. Nic jej nie boli.
- Adam mówił, że ona nas słyszy. Jak może nas słyszeć, jeśli jest nieprzytomna?
- To tak, jakby spała, ale zdaje sobie sprawę z tego, że tu siedzimy. Możesz usiąść przy mnie, Cal. Lub na kolanach. Jest spokojna, nie martw się.
- Nie wydaje mi się, żeby była spokojna. Wydaje dźwięki jak zepsuty bojler.

Kieruję się do środka, ich głosy są jak szum wody.

Chwile się gromadzą.

Samoloty uderzają w budynki. W powietrze wylatują ciała. Eksplodują pociągi i autobusy. Wokół opada pył promieniowania. Słońce zmienia się w mikroskopijny czarny punkcik. Rasa ludzka wymiera, a karaluchy opanowują świat.

Wszystko może się zdarzyć.

Przepyszny deser na płazy.

Widelec postukujący o miskę.

Mewy. Fale.

- W porządku, Tesso, możesz odejść. Kochamy cię. Możesz już odejść.
- Dlaczego to mówisz?
- Nie wiemy, czy nie potrzebuje naszego pozwolenia, żeby umrzeć, Cal.
- Nie chcę. Nie pozwalam jej.

Zgódźmy się.

Zgadźmy się na wszystko jeszcze przez jeden dzień.

- Chyba powinieneś się pożegnać, Cal.
- Nie.
- To ważne.
- Ona może przez to umrzeć.
- Nie umrze dlatego, że coś powiesz. Na pewno chce wiedzieć, że ja kochasz.

Jeszcze chwila. Jeszcze jedna. Dam radę.

Papierek po cukierku niesiony po ścieżce przez wiatr.

- Proszę cie, Cal.
- Głupio mi.
- Nikt z nas cię nie słucha. Podejdź bliżej i szepnij.

Moje imię wypisane na rondzie.

Mątwy wyrzucone przez morze na brzeg.

Martwy ptak na trawniku.

Miliony robaków oślepionych słońcem.

- Do widzenia, Tesso. Możesz mnie nawiedzać, jeśli chcesz. Nie mam nic przeciwko temu.

Siedzi jeź na polance i je jabłko.

Mysz utopiona w wodzie i przytrzymywana łyżką.

Trzy bąbelki powietrza uciekające jedno po drugim.

Sześć bałwanków z waty.

Sześć serwetek złożonych w lilie origami.

Siedem kamieni w różnych kolorach na srebrnym łańcuszku.

Słońce w mojej filiżance.

Zoey wygląda przez okno, a ja wyjeżdżam z miasta. Niebo ciemnie coraz bardziej.

Pozwól mi odejść.

Adam wypuszcza dym nad miastem leżącym w dole.

– Cokolwiek tam się teraz dzieje, my o tym nie wiemy – mówi.

Pozwól odejść im wszystkim.

Trzepot skrzydeł ptaka lecącego przez ogród. Potem nic. Nic. Chmura sunie po niebie.
Znowu nic. Światło zagląda przez okno, pada na mnie, wnika we mnie.

Chwile.

Wszystkie zgromadzone w tej jednej.